Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT
NR 51–52 (1526–1527) 20 grudnia 2019 – 2 stycznia 2020
ISSN 0867-2237
nr indeksu 367125

Pisiego Roku

Podwójny numer

NIE

DZIENNIK TOTYGODNIOWY

Świat nie kończy się na pedałach

str. 17

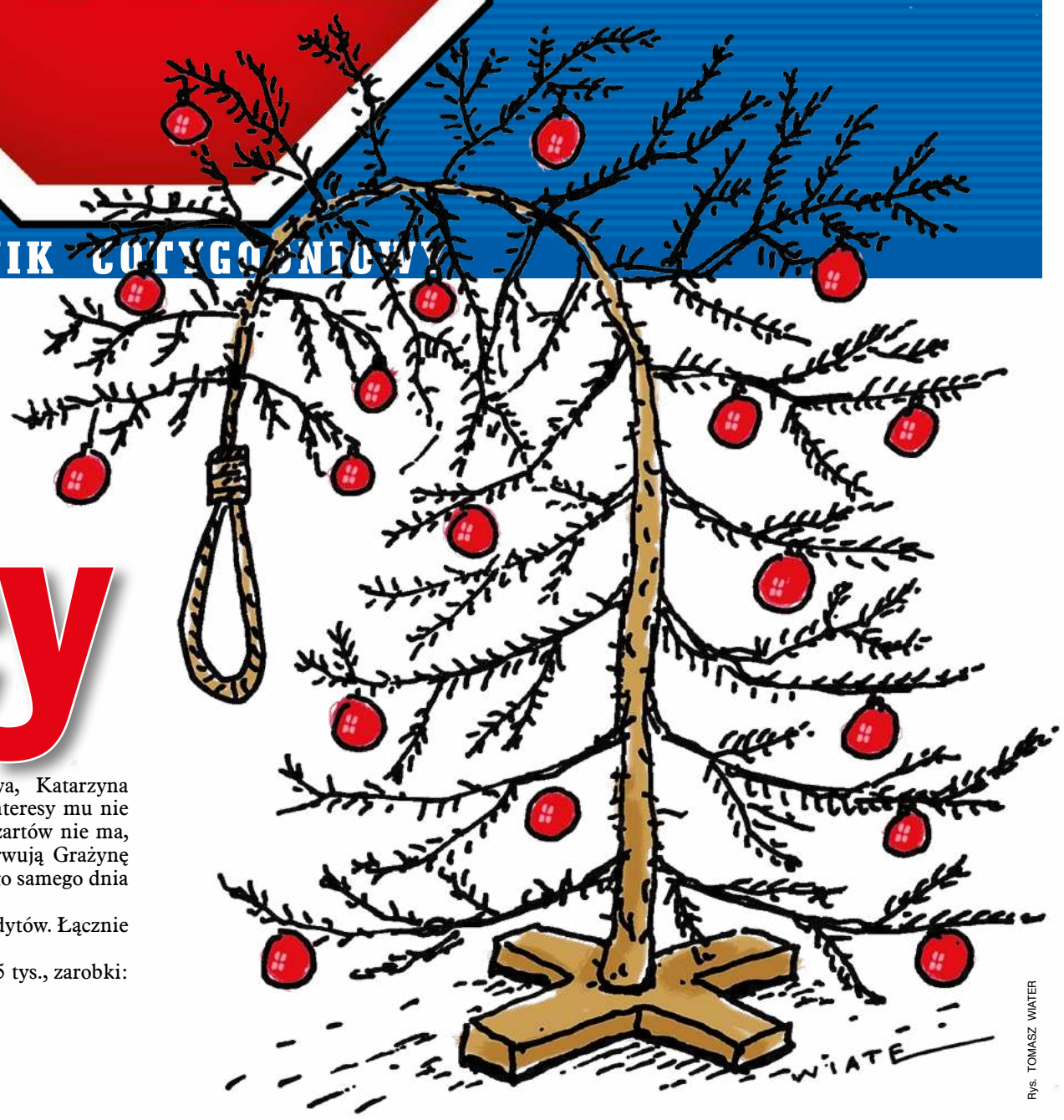

Rys. TOMASZ WIATER

Lepiej zachować cnotę niż życie.

Dzicy katolicy

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Matka: **„Powiesimy cię, córeczko, pójdziesz do nieba i będzie fajnie”.**

Córka: **„Powieście mnie, proszę, dziadziuś się ucieszy”.**

10-latkę wieszano i duszono. Truto gazem. Miała zginąć pod kołami ciężarówki. W niebie jej nie chciano.

Mięsko dla pedofilów

Katarzyna C. i Grażyna A. znają się od podstawówki, mieszkają w tej samej kamienicy, a ich mężowie pracują razem w Holandii. Kobiety odwiedzają się z okazji imienin, urodzin, świąt lub żeby połknąć kawę przy papierosie i poplotkować.

Gdy Alicja, córka Grażyny, pierwszy raz komunię świętą przyjmuje, Katarzyna kupuje w prezencie rolki, życzy szczęścia i wielu łask bożych, bo wie, co w życiu ważne. Taka przyjaciółka rodziny to skarb, Grażyna ściska Katarzynę i prawie beczy, tak jest wzruszona.

Wkrótce Katarzyna dostaje cynk, że mafioso o ksywce Maks upatrzył sobie Alicję i chce ją wywieźć do niemieckiego burdelu, żeby dla niego zarabiała, obsługując zagranicznych pedofilów. Gdyby kto inny dostał taką wiadomość, słowem by nie pisnął, ale Katarzyna jest w porządku, opowiada o wszystkim Grażynie i mówi, że postara się pomóc, bo jest ukrytą kobietą mafii, dobrze zna „Maksa” i wie, że można z nim się dogadać. Po trzech dniach okazuje się, iż „Maks” nie ma serca z kamienia – Alicji do burdelu nie wywiezie, ale Grażyna musi mu coś odpalić, żeby straty spowodowane nieobecnością dziewczynki w zamtuzie wyrównać. Nie chce wiele – 10 tysięcy wystarczy. Katarzyna uważa, że to uczciwa cena za święty spokój. Grażyna wypłaca z konta pieniądze i wręcza je przyjaciółce.

Żołnierze obserwują

Po miesiącu „Maks” domaga się dwudziestu tysięcy, bo w Niemczech popyt na 10-latki jest duży i straty rosną. Grażyna nie ma takiej kwoty, Katarzyna podpowiada, żeby wzięła kredyt, bo „Maks” nie jest taki zły, ale jeśli straci nerwy, to może wjechać do chałupy, Alicję za kłaki wywlec i tyle ją zobaczą. Grażyna idzie do banku. Żeby się odwdzięczyć za pośrednictwo, zaprasza przyjaciółkę na pizzę.

Popyt na 10-latki wciąż rośnie, „Maks” umie liczyć i po dwóch tygodniach znów żąda pieniędzy. Trzeba mu dać 50 tysięcy, mówi, że to już ostatnia rata – przekonuje Katarzyna.

„Maks” nie dotrzymuje słowa, Katarzyna przeprasza w jego imieniu, ale interesy mu nie poszły i musi sobie powetować, żartów nie ma, jego żołnierze dzień i noc obserwują Grażynę i gdy pójdzie na policję, Alicja tego samego dnia będzie obciągać Niemcom.

Grażyna bierze 5 kolejnych kredytów. Łącznie daje Katarzynie 170 tys. zł.

Wydatki miesięczne na raty: 4,5 tys., zarobki: 3 tys. zł.

Traci zdolność kredytową.

„Maks” wciąż żąda pieniędzy.

Intymne foto

Katarzyna rozumie, że Grażyna jest w trudnej sytuacji, ale może wziąć pożyczkę w Bocianie czy Providencie albo samochód sprzedać, z „Maksem” lepiej nie zadzierać; gdy mu jeden człowiek był winien pieniądze, to go potem z Odry wyłowiono z wyłupanymi oczami, zatem dla niego zrobić z Alicji kurwę to jak splunąć. Na dodatek „Maks” pokazywał jej zdjęcie intymne Alicji, takie z gołą cipką, Katarzyna nie wie, jak i kiedy je zrobił, ale to dowód na to, że prawdziwy kozak może wszystko.

Grażyna się waha.

Bo na kilka dni mąż przyjeżdża i odkrywa, że konto wyczyściła. Tłumaczy się, że źle zainwestowała na giełdzie, ale mąż nie wierzy, robi awanturę i wściekły wraca do Holandii. Gdyby się dowiedział, ile kredytów nabrała, to chyba by zatłukł.

Grażyna przysięga Katarzynie, że mężowi nie piśnie o długu wobec „Maksa”. Przysięgi dochowuje, bo Katarzyna ostrzega, że jak tylko słowo powie ślubnemu, to mafia zaraz wszystkich zajebie i Alicję wywiezie, a Alicja to najmłodsze dziecko, oczko w głowie.

O długach i wiszącym w powietrzu wywozie wie mieszkający z Grażyną 26-letni syn Tomasz. I Alicja.

Kamień z serca

„Maks” się wkurwia, że Grażyna nie chce wziąć kredytu w firmie pożyczkowej, mówi, że jeśli jej na córce nie zależy, to córka będzie zarabiać dupą, trudno, ale sam jest ojcem, dlatego daje ostatnią szansę: 3 dni i albo w tym czasie zapłaci 10 patyków, albo wywózka, relacjonuje Katarzyna.

Grażyna pojmuje, że długu wobec „Maksa” nie spłaci nigdy. Popada w depresję. Kredytu nie zaciąga.

Po trzech dniach Katarzyna wpada do mieszkania Grażyny. **„Kurwa, »Maks« i jego ludzie będą za godzinę, wywiozą Alicję, doigrałaś się, pomagałam, ale już nic nie zrobię, pakuj ją, nie zapomnij o piżamce”** – krzyczy.

Alicja wszystko słyszy. Płacze. Katarzyna mówi, że nie chce patrzeć na wywózkę, bo to przykre widoki są, wychodzi.

Tomasz wybiega z łazienki z pianą do golenia na twarzy, bo nigdy nie słyszał, żeby ciocia Kasia tak wrzeszczała.

„Uciekamy!” – zarządza Grażyna. Ale dokąd uciec przed mafią? Nie wie. Wsiadają do auta. Krążą. Alicja cały czas płacze i krzyczy, że nie chce do burdelu.

Matka ją przytula: **„Nie pojedziesz do burdelu, powiesimy cię, córeczko, pójdziesz do nieba, tam jest dziadziuś, będzie fajnie”.**

Alicja przestaje płakać. **„Powieście mnie, proszę, dziadziuś się ucieszy”** – mówi.

Grażynie spada kamień z serca. **„Jedź na działkę”** – nakazuje Tomaszowi.

Gaz się kończy

Na działce jest altana. W altanie kuchenka gazowa. Grażyna z Tomaszem naradzają się. Dochodzą do wniosku, że przyjemniej będzie Alicję zatruć gazem niż powiesić. Pytają, co woli. Alicja jest za gazem, bo po powieszeniu pręgi na szyi zostają i w trumnie będzie brzydko wyglądać. Grażyna zauważa, że gaz ma jeszcze taką zaletę, że umrzeć mogą wszyscy za jednym zamachem. Mafia nikomu nie odpuszcza, Tomasz więc zgadza się na samobójstwo, Grażyna o niczym innym nie marzy; cieszy się, że córka będzie miała towarzystwo w drodze na tamten świat. Alicja klaszcze w dłonie z radości.

Tomasz odkręca przewód od kuchenki i otwiera zawór. Ściskają się na pożegnanie **„Do zobaczenia w niebie”** – mówi Grażyna.

Chwytają się za ręce i kładą na łóżku. Z przewodu sączy się propan-butan. Po 1,5 godziny Grażyna sprawdza, co z Alicją. Na pierwszy rzut oka wygląda obiecująco: ma zamknięte oczy i jest trupio blada. Ale wciąż oddycha.

Zapach propanu-butanu jest ledwie wyczuwalny.

„Gaz się chyba skończył, kurwa” – ocenia Grażyna. Tomasz wstaje i podnosi butlę. Jest lekka jak piórko.

Plan B

Alicja otwiera oczy. **„Byłam już daleko, ale chyba mnie nie chcieli”** – twierdzi.

„Nie martw się, elegancko powiesimy cię z Tomusiem, a potem do ciebie dołączymy” – pociesza mama.

Tomasz ze sznura do prania sporządza 3 pętle, bo plan B jest taki: najpierw wieszają Alicję, a potem kończą ze sobą.

Żeby proces wieszania usprawnić, Grażyna z Tomaszem zakładają sobie pętle na szyje, gdy Alicja pójdzie do dziadziusia, będą pod ręką.

Alicja dynda przy łóżku. Grażyna oddycha z ulgą i wiesza się na poręczy schodów. Tomasz – na klamce od okna. Jest miło. Grażyna kątem oka obserwuje córkę, bo to jej oczko w głowie przecież. Córka, zamiast skonać jak należy, charczy i próbuje się wyswobodzić. Grażyna nie może na to patrzeć, uwalnia się z amatorsko sporządzonej pętli, odcina Alicję, a potem Tomasza.

„Teraz byłam jeszcze dalej, mogłaś trochę poczekać, mamusiu” – mówi Alicja.

„Dla chcącego nic trudnego, udusimy cię, córuś” – odpowiada mama.

Dość zabijania

Alicja prosi, żeby poczekali, bo musi dojść do siebie po wieszaniu, za dużo trochę tych atrakcji. Po chwili kładzie się na łóżku. Tomasz przygotowuje nowe pętle dla siebie i matki – wariant dołączenia do Alicji wciąż ma status obowiązujący.

Dokończenie na str. 4

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223904 51

eprasa.pl 10b00941c8

Wkurza Was Banaś? Do pasji doprowadza Was pisowski zamach na sądy? Martwicie się klimatem? Drżycie o wynik wyborów prezydenckich? Głowa do góry! Na frasunek najlepszy trunek. I świąteczno-noworoczny numer „NIE”:

4 Wieczór pustego talerza – Dla zbłąkanego wędrowca nie ma miejsca przy kościelnym stole.
Duda jest do duszy – Komiks: Jak niebiosa nie pozwolą Dudzie na drugą kadencję.

5 Trumpowi dzwonią bombki – Prezydent USA uratował Boże Narodzenie.

6 Ogórek kwaśno się uśmiecha – Gwiazda Kurskiej telewizji przebacza swoim prześladowcom. Poczucie przyzwoitości czy rzeczywistości?
Wzwód pana prezydenta – Były prezydent Olsztyna nie gwałcił podwładnej. Męska decyzja sądu podjęta po 10-letnim procesie.

7 Psie, podaj cegłę – Mury wznoszą się do góry. Mury państwa policyjnego.

8–9 Tylko wariat donosi oraz **Nie tylko wariat siedzi** – Szpitale psychiatryczne, czyli spisek sędziów i lekarzy.

10 Bar naszą ojczyzną – Konfederacja barska: ulubione powstanie prezesa Kaczyńskiego.

11 Moja krwawa babcia – Drzewo genealogiczne rodu Urbanów rzuca cień terroryzmu.

12 Bezpieka i jej „Solidarność” – Jerzy Milewski Hansem Klossem Czesława Kiszczaka.

13 Niemiecki Pilecki – W Berlinie pies z kulawą nogą nie wytropi polskiego bohatera narodowego.

14 Wakacje w socjalizmie – Lećcie na Kubę. Wasza przeszłość już tam jest.

15 Spierdalamy! – Wygląda na to, że przed PiS-em nie ma dokąd uciec.

16 Dziewczynka niskiej emisji – Z kim byście się umówili na kolację? Z Gretą Thunberg, młodą Szwedką z zespołem Aspergera, czy z Mateuszem Morawieckim, Polakiem w średnim wieku z kompleksem węgla kamiennego?
Bóg płaci – Sposób na zrównoważony budżet: niech rząd wypłaca „500 plus” w bitcoinach.

17 Świat nie kończy się na pedałach – Bzykać? Nie bzykać? Jak bzykać i kogo? Oto są pytania.

18 Bombkowa Paczka – Sztuka dla sztuki, a filantropia dla filantropii.

19 Zdolni do wszystkiego – Polacy są mistrzami świata w wymyślaniu najbardziej idiotycznych mistrzostw świata.

20 Gliński za żadne skarby – Lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć dzieła sztuki.
Granat na sukience – Dzieje jednego obrazu.

21 Dialogi dam w drodze do kościoła
Sierść Alfreda Nobla – Myśli nieuczesane, włosy skołtunione, księgi Jakubowe.

22 Naród i jego kanty – Polska Fundacja Narodowa wirtuozersko szasta forsą.
Lustracja sędzi Pawłowicz – Co robiła Krystyna jako peerelowska dziewczyna?

23 Dzwon w dom – Kościół na wyciągnięcie ręki. Dosłownie.
Z czarnej dupy się wyrwało

24 Brud bród – Włosy stają na głowie na wieść o tym, co się gnieździ w brodzie.
Święte kalorie – Dieta opłatkowa: kuracja nie tylko dla tłuściochów.
Wiara czyni czuba

25 Czarna dziura – Pozycja Kościoła spada w rankingach. Niedługo będzie tak niepopularny jak Kaczyński.

26 Strażnicy majtek – Ordo luris: głos średniowiecza w polskim domu.
Wina Sheena – Arcybiskup, który zostałby świętym, gdy nie ci chłopcy…

27 Wieści z kruchty

28 Wolne sądy, wolne krowy – portret państwa polskiego widziany z pozycji łąki.

29 Wieści gminne i inne
Listonosz doniósł

30 Partia Pracy na czarno – Jeśli brytyjski lewak przyspieszył brexit, to do czego jest zdolny brytyjski prawak?
Trybuna ludzi

31 Nieboski Lewandowski – Marzenie o przyjęcie złotej piłki na główkę.

32 Blog wszystkich świętych by blagier Urban
Słówka półgłówka
Przygody Jarka Niezdarka – Komiks: Zmartwychwstanie Pańskie u pana naczelnika państwa.

Kolejny numer „NIE” ukaże się w piątek 3 stycznia 2020 r.

Bóg się rodzi, karp truchleje

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Gazeta Wyborcza” odmóżdża miliony niepatriotów polskich. Czytają ją icki, ruscy agenci, warszawscy banderowcy, kurwy, onaniści, pedały oraz członkowie niemieckiej kolumny nr 5. Dziennik ten, jego dodatki i przydatki elektroniczne są wyroczniami w każdej sprawie, a tych naród ma od chuja. Ja też patrzę na świat oczami Michnika i jego Kurskiego, słucham ich uszami, wącham ich nosami.

I oto urwałem się z koszernego łańcucha. Kwestionuję doniosłego znaczenia pogląd „Wyborczej”. Ulica Czerska skłania się do mniemania, że karp, zanim mu katolik oderżnie łeb, lubi być w swoją głowę walnięty pałą. Ma wtedy znieczuloną dekapitację.

Pies jebał skrzelowate. Rozumie się, że w kostiumie ryby występuje każdy ludzki wróg „Wyborczej”: Jędraszewski, Piotrowicz, Trump, Kaczyński, Ziobro, Putin, Przewłocka i inni.

W Stanach Zjednoczonych odbyła się rytualna rzeź indyków dla uczczenia Święta Dziękczynienia. W Polsce nastąpi rytualna rzeź karpi dla uczczenia urodzin Chrystusa. Już bogowie starsi niż Jezus lubili składanie im ofiar z nieżywych zwierząt, ale były to pojedyncze sztuki, a nie miliony śmierdzących błotem ryb. Ich Holokaust nie budzi protestów. Dyskutuje się natomiast, czy mordować je bez znieczulania. Sęk w tym, że każdy, kto bywa u dentysty, wie, że znieczulanie bólu bardziej jest bolesne od tego, co następuje potem – świdrowanie lub rwanie zęba. Znieczulenie karpia polega zaś na waleniu go pałką w łeb tak mocno, żeby potem sam podawał gardło do poderżnięcia.

„Wyborcza”, a w niej Piotr Żytnicki, podjęła ten temat. Sąd w Krotoszynie skazał na 3 miesiące więzienia sprzedawcę ryb, który nie walił ich w łeb, ale go obcinał tępą gilotyną. Skazaniec oznajmił, że nie wyobraża sobie pójścia do więzienia za karpie, czym objawił lekceważenie gatunku. Złożył apelację do Sądu Okręgowego w Kaliszu. Ten powołał biegłych ichtiologów, rozpoczęli oni fundamentalny spór. Jedni twierdzili, że karp odczuwa ból i strach, inni, że ryby nie umieją cierpieć. Mniemającemu tak rybnemu magistrowi prasa zarzuciła powiązania z hodowcami i sprzedawcami karpi.

„Gazeta” Michnika, chociaż czuła na męczeństwo przyrody, wobec ryb raczej zachowuje neutralność. Broniła już ona korników, wolnych krów, tygrysów. Drukuje fotografie psów i koni czekających na adopcję. W sprawie karpi zaś nie objawia stanowczości, chociaż każdy redaktor z Czerskiej ma w sezonie choinkowym karpia w wannie, który nerwowymi ruchami płetw sygnalizuje złe przeczucia.

Walić więc w łeb czy rżnąć? Domyślam się powodów niezdecydowania „Gazety Wyborczej”. Nazywana jest ona przez prawdziwych Polaków „koszerną” ze względu na swoją prożydowskość inicjowaną przez redakcyjny personel niekatolickiego pochodzenia. Przemądrzałość Żydków bierze się zaś właśnie z upodobania do wyżerania mózgów z łbów karpi. Michnikowi ludzie dbać więc muszą o obfite dostawy źródła ich mądrości, a czy ona jest walnięta, czy dekapitowana żywcem – to obojętne.

Mój stosunek do martyrologii karpi w Polsce jest następujący. Lubię żreć tę rybę, chociaż głowę zostawiam Daniszewskiej jako gojce stojącej dopiero w kolejce do zmądrzenia. Nie znoszę jednak rytuałów w życiu i w jadłospisie. Nie jem więc ryb na kolację poprzedzającą rocznicę połogu Matki Boskiej. Przestają one być bowiem daniem, stają się natomiast masowym rytuałem, z natury rzeczy niestrawnym.

Los karpi jest udziałem ludzi czekających, czy się ich znieczuli, czy zarżnie bez ceremonii. Najbardziej znanym karpiem wśród ludzi jest nieszczęsny Banaś. Czeka, czy zanim zeżre go się na bożą kolację urodzinową, zostanie ogłuszony pałą, czy zejdzie śmiercią krwawą, ale szybką.

Banaś w gabinecie prezesa NIK powinien przeżyć jeszcze 6 boskich urodzin.

Po tym jak Kaczyński wziął pałę i próbował strącić nią swojego człowieka z sań wilkom Schetyny na pożarcie, Banaś nie ustanie w wysiłkach, żeby zrewanżować się reżimowi PiS. Będzie prezesem morderczo niezależnym. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

Rys. TOMASZ WIATER

WIATER W OCZY

PRASA ŚNIADANIOWA

■ **Jolanta Kwaśniewska** powiedziała, że **jej mąż** ma nietolerancję alkoholu. A wygląda na tolerancyjnego.

■ Według CBOS **ksiądz** jest jednym z najmniej szanowanych zawodów. Za wzwody też nie jest szanowany.

■ Jak podaje Money.pl, **strongman Pudzian** unika płacenia podatków, udając rolnika. Money, podejdź no do płota!

■ W **USA** pojawiła się **nowa metoda pochówku** polegająca na kompostowaniu zwłok. W przeciwieństwie do grillowania sędziów jest to metoda ekologiczna.

■ Jak podała Wyborcza.pl, **pracownicy Telewizji Republika** znowu nie dostali wypłat. W końcu dekalog nic o pensjach nie wspomina.

■ **Mateusz Morawiecki** opublikował film z rodzinnego przygotowywania pierniczków. Czy pierniczki zostały upieczone na kuchni węglowej?

MARTA M.

eprasa.pl 10b00941c8

eprasa.pl 10b00941c8

Dzicy katolicy

Dokończenie ze str. 1

Grażyna dusi córkę gołymi rękami. Tomasz trzyma siostrę za nogi. Alicja wierzga. Robi się sina, przestaje się bronić, meta jest blisko. Grażyna i Tomasz sądzą, że już po krzyku, wieszają się. Alicja zrywa się z łóżka. Grażyna wobec tego nie widzi powodu, żeby wisieć, wyswobadza się z pętli, odcina Tomasza, klnie pod nosem. Alicja kaszle, nie może złapać tchu. Czuje się zawiedziona, ale mama wie, jak poprawić córce humor. **„Rzucimy się pod ciężarówkę”** – obwieszcza nęcąco.

Idą na położoną nieopodal drogę krajową nr 5. Włażą tuż przed maskę ciągnika z naczepą. Zamykają oczy. Kierowca TIR-a daje po hamulcach, ciężarówkę znosi na lewy pas, Grażyna, Tomasz i Alicja wychodzą cało z wypadku.

„Ja chcę pod pociąg!” – beczy Alicja. Grażyna ma dość zabijania. **„Nie chcą cię tam, dziadziuś musi poczekać”** – wyjaśnia.

Dzwoni po Michała, drugiego syna, bo w fordzie Tomasza skończy się paliwo. Michał wsiada do auta i w mig przyjeżdża. Dziwi się, że matka, brat i siostra mają pętle na szyjach. Grażyna opowiada o „Maksie” i o tym, jak ratowali Alicję przed transportem do lupanaru.

Michał zawiadamia policję.

Wyssany gangster

Prokuratura oskarżyła Katarzynę C. o to, że **„w celu osiągnięcia korzyści majątkowej groziła Grażynie A. zamachem na życie i zdrowie jej 10-letniej córki poprzez uprowadzenie przez członków mafii w celu uprawiania nierządu w domu publicznym, czym doprowadziła do szkody w wysokości co najmniej 170 tys. zł”.** I że wskutek podjętych przez nią działań Grażyna i Tomasz **„targnęli się na własne życie, usiłując popełnić samobójstwo przez zatrucie gazem, powieszenie się oraz wtargnięcie pod samochód”.**

Śledztwo wykazało, że mafiosa o ksywce „Maks” Katarzyna wyssała sobie z palca, co oczywiście fałszywą czyni również groźbę wywiezienia Alicji do domu rozpusty.

Za wyłudzoną forsę Katarzyna C. kupiła audi a-3, meble i telewizor, resztę przeznaczyła na gruntowny remont mieszkania i spłatę zobowiązań w bankach.

Sąd Rejonowy w Rawiczu skazał ją na 8 lat więzienia.

Przed Sądem Okręgowym w Poznaniu toczy się proces Grażyny i Tomasza A. Za to, że usiłowali zabić Alicję, grozi im dożywocie. Powołano drugi zespół biegłych psychologów i psychiatrów, bo pierwszy nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dlaczego 49-letnia, zdrowa na umyśle kobieta najpierw dała sąsiadce 170 tys. zł, a potem wraz z synem usiłowała zaszlachtować córkę.

Grażyna A. zeznała, że choć trochę jej wstyd, iż chciała zabić Alicję, to uważa, że dziecko zawsze warto ratować przed burdelem.

Alicja nie ma żalu do mamy, bo wie, że gazowanie, wieszanie i duszenie były dla jej dobra. □

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Wieczór pustego talerza

Jak powszechnie wiadomo, wielowiekowa tradycja chrześcijańska wytworzyła w Polsce piękny zwyczaj pozostawiania przy wigilijnym stole jednego pustego miejsca – tak, by mógł przy nim w razie czego zasiąść człowiek potrzebujący. Oto jestem! Gdzież mógłbym szukać miłosierdzia, jeśli nie w najważniejszych instytucjach Kościoła katolickiego?

Rys. TOMASZ WIATER

Konferencja Episkopatu Polski:

– Dzień dobry, jestem osobą bezdomną. Czy mógłbym przyjść do państwa na Wigilię?

– Yyy… My nie organizujemy. Proszę dzwonić do kurii na Miodową.

Kuria Metropolitalna przy Miodowej:

(Dwa sygnały, jebnięcie słuchawką).

(Jeden sygnał, jebnięcie słuchawką).

Kuria Metropolitalna Gdańska:

– Proszę pani, jestem człowiekiem samotnym, nie mam z kim spędzić świąt. Czy mógłbym przyjść do arcybiskupa Głódzia na kolację?

– Nie mam pojęcia gdzie ksiądz arcybiskup będzie Wigilię spędzał. Nie mam pojęcia.

– Dziękuję.

– Proszę. (Jebnięcie słuchawką).

Diecezja Gliwicka:

– Szczęść Boże, kuria.

– Szczęść Boże. Czy byłaby taka szansa, żeby u państwa spędzić Wigilię?

– Nie. A o kogo chodzi?

– Jestem osobą samotną i się zastanawiam, czy byłaby taka szansa.

– Nie, tutaj nie. Ale tak myślę, gdzie tu pana skierować. Biskup nasz jedzie też do DPS-u.

– A to biskup będzie tam cały czas na Wigilii?

– A panu zależało na biskupie?

– Zawsze bliżej Boga.

– Nie, z biskupem raczej nie. Z notariuszem bym pana połączyła, ale może później. To tak wygląda, nie?

Diecezja koszalińsko-kołobrzeska:

– Kuria, słucham, szczęść Boże.

– Proszę pana, jestem osobą samotną i szukam miejsca do spędzenia Wigilii. I tak pomyślałem, że może u Państwa z biskupem taka kolacja wigilijna by była możliwa?

– W kurii to raczej nie. Może w Caritasie jest coś takiego.

– Czyli z biskupem u Państwa gdzieś to nie ma takiej możliwości?

– Nie.

Sekretariat metropolity Jędraszewskiego w Krakowie:

– Hmm… Nie mogę panu udzielić takiej odpowiedzi.

– A nie wiadomo, czy metropolita będzie spędzał Wigilię w Krakowie?

– Nie wiadomo.

Prałatura Opus Dei:

– Dzień dobry, jestem osobą bezdomną, narkomanem. Nie mam z kim spędzić świąt. Czy mógłbym przyjść do Państwa?

– Nie. Niestety my tu nie…

– Aha.

– Tu tylko takie biurowe…

– Dziękuję.

– Będziemy wspierać. Gdzie pan dzwonił?

– Na razie tak tylko…

– Na Miodowej u kapucynów organizują najlepsze.

Bazylika w Niepokalanowie:

– No, nie, nie, nie, nie…

Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu:

– My się tu zajmujemy sprawami studenta.

Radio Maryja:

– Jestem narkomanem z wirusem HIV. I tak dzwonię, czy ktoś by mnie może przyjął u Państwa na Wigilię.

– No wie pan…

– Tak?

– Jest Wigilia w kościele Marii Panny, proszę się zapisać tam, no, otwarta jest. Tutaj jest akurat…

– Żeby z ojcem dyrektorem przy stole usiąść czy jakoś u państwa spędzić to nie bardzo?

– No, yyy, na pewno ojcowie, tego… Do św. Józefa pan zadzwoni. Pozdrawiam, życzę wszystkiego dobrego.

Słuchanie litanii kolejnych wykrętów dało mi trochę do myślenia. Gdyby któryś przedstawiciel Kościoła zgodził się i łaskawie mnie w Wigilię przyjął, puste miejsce nie byłoby już puste.

MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Trumpowi dzwonią bombki

Pewnie słyszeliście o polskiej „wojnie kulturowej", którą „ideologia gender" wytoczyła „chrześcijańskim korzeniom Europy"…

W Stanach jest jeszcze gorzej. Tam toczy się ***„war on Christmas"***, czyli **„wojna z Bożym Narodzeniem"** czy też raczej **„przeciw Bożemu Narodzeniu"**. Składnia jest tu istotna: to ten sam związek frazeologiczny, którego używał George W. Bush, mówiąc o **„wojnie z terrorem"** – co oznacza nie tyle wojnę z czymś, ile przeciw czemuś: zaplanowaną Apokalipsę, w której Ameryka rzuca całą swą potęgę, żeby zmiażdżyć nikczemnego wroga.

„War on Christmas" dotyczy głównie słowa ***„Christmas"*** – anglojęzycznej nazwy Gwiazdki, która pochodzi od słów ***„Christ's mass"***, czyli **„msza Chrystusa"**. Z tego powodu – zerojedynkowo chrześcijańskiego charakteru słowa – jakaś część Amerykanów, kierując się inkluzywnym przesłaniem multikulturowego społeczeństwa, zamiast ***„Merry Christmas"*** zaczęła mówić ***„Happy Holidays"***, czyli po prostu **„Wesołych świąt"**.

I nikomu to nie przeszkadzało do 2004 r., gdy niejaki John Gibson, gospodarz radiowego talk show i nawiedzony prawicowiec, napisał książkę pod doniosłym tytułem „Wojna przeciw Bożemu Narodzeniu: dlaczego liberalny spisek, aby zakazać świętej chrześcijańskiej tradycji, jest gorszy niż myślisz". Książka przeszłaby być może bez echa, gdyby nie Bill O'Reilly – ikona prawackiego populizmu, promotor wszelkich teorii spiskowych, gwiazda prawicowo-sensacyjnej telewizji Fox News. Jego enuncjacja o **„wojnie z Bożym Narodzeniem"** odbiła się szerokim echem w konserwatywnych kręgach Ameryki.

„Boże Narodzenie jest cenzurowane przez poprawność polityczną!" – wrzasnęli konserwatyści. Ten **„lewicowy spisek, żeby wyrugować religię z życia narodu"**, miał być tylko pierwszym krokiem – orzekł O'Reilly – za nim pójdą inne punkty **„sekularno-progresywnej agendy: legalizacja narkotyków, eutanazja, aborcja na życzenie i małżeństwa gejowskie"**.

Do pewnego stopnia miał zresztą rację: coraz więcej stanów legalizuje marihuanę, a małżeństwa gejowskie zostały w całych Stanach zalegalizowane wyrokiem Sądu Najwyższego w sprawie Obergefell vs. Hodges z czerwca 2015 r., kiedy to sąd stwierdził, że równe prawa wszystkich obywateli, gwarantowane 14. poprawką do konstytucji USA, obejmują także prawa osób homoseksualnych do małżeństwa na równi z heterykami. Aborcja jest legalna od wyroku w sprawie Roe vs. Wade z 1973 r., zatem w tej mierze wizja O'Reilly'ego była nieco nieaktualna, ale czego się nie robi dla potoczystości filipiki.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ulubionym przykładem wojny z Bożym Narodzeniem, przytaczanym przez wszystkich obrońców chrześcijańskiej Ameryki, jest batalia, która Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich (ACLU) toczy przeciwko opłacaniu religijnych jasełek z pieniędzy publicznych. ACLU to stuletnia organizacja, której celem i zadaniem jest pilnowanie praw obywateli i obowiązków władz zapisanych w amerykańskiej konstytucji. Jedną z najważniejszych, umieszczoną już w 1. poprawce, jest zasada neutralności światopoglądowej państwa. Nawiasem mówiąc, ACLU występuje również w imieniu obywateli, których prawo do praktykowania religii jest naruszane przez władze – broni praw więźniów do organizowania świątecznych nabożeństw i otrzymywania świątecznych kartek czy też praw uczniów do obchodzenia i promowania religijnych świąt wśród kolegów w szkole. Wojna ACLU z Bożym Narodzeniem dotyczy wyłącznie tego, co organizacja trafnie postrzega jako naruszenie konstytucji: angażowania instytucji i środków publicznych w organizowanie imprez związanych z konkretnym wyznaniem.

Taka to, w sumie dość marginalna, batalia, trwała przez dekadę, ekscytując głównie wiernych widzów sensacyjno-prawackiej telewizji Fox News. Aż nadeszła era Donalda Trumpa.

Wojna z Bożym Narodzeniem stała się jednym z ulubionych tematów bełkotliwych monologów obecnego przywódcy wolnego świata. **„Jeśli zostanę prezydentem, będziemy mówić »Szczęśliwego Bożego Narodzenia« w każdym sklepie"** – obiecywał w kampanii, wzywając do bojkotu firm, które podjęły próbę uczynienia okresu świątecznego bardziej inkluzywnym, poprzez rezygnację z wyraziście chrześcijańskich motywów na rzecz bardziej uniwersalnego świątecznego przekazu. Szczególnie oberwało się Starbucksowi, który zrezygnował ze zdobienia papierowych kubków z wizerunkami reniferów. Joshua Feuerstein, jeden z prawackich nawiedzeńców zaludniających amerykańską przestrzeń publiczną, wezwał **„milczącą większość, która ma dość ciągłego zastraszania ze strony tych, którzy usiłują wyrugować Chrystusa z *Christmas*"**, aby kazała baristom Starbucksa pisać na kubkach ***„Merry Christmas"*** zamiast swojego imienia. Trump posunął się dalej: **„Może powinniśmy wszyscy zbojkotować Starbucksa"** – ogłosił w kampanii, dodając, że wyrzucił kawiarnię ze swojej słynnej „Trump Tower".

„Wojna została wygrana, Donald Trump to załatwił" – ogłosił radośnie O'Reilly po zwycięstwie Trumpa. W razie gdyby ktoś nie wiedział, o co w wojnie chodziło, O'Reilly wyjaśnił: **„Wielu Amerykanów obchodzi Boże Narodzenie, ponieważ wierzą, że Jezus Chrystus jest zbawicielem i jego narodziny powinny być uczczone".**

„Gdy zacząłem moją kampanię 18 miesięcy temu, powiedziałem na moim pierwszym wiecu w Wisconsin, że kiedyś tu wrócimy i powtórzymy »Szczęśliwego Bożego Narodzenia«. Tak więc Szczęśliwego Bożego Narodzenia wszystkim" – ogłosił Trump w swoje pierwsze prezydenckie święta.

O'Reilly wyleciał z pracy, ponieważ „New York Times" ujawnił, że Fox News w ciągu 15 lat zapłaciła 44 miliony dolków sześciu kobietom, które oskarżyły tego apostoła konserwatyzmu o molestowanie seksualne, Trump jest na drodze do impeachmentu, a Feuerstein przerzucił się z atakowania chrześcijan, którzy chodzą do Starbucksa **„na gorzką kawę o smaku aborcji"**, na Gretę Thunberg, którą wyzwał na pojedynek idei przed kamerami telewizyjnymi (**„Jestem głęboko niezdziwiony faktem, że Feuerstein woli debatować z dzieckiem, niż z uczonymi"** – skomentował jeden z internautów).

Ale **„wojna z Bożym Narodzeniem"** ma się świetnie. Ostatnio Jim Bakker, inny chrześcijański telecelebryta mający na swoim koncie zapłacenie za milczenie kobiecie, która oskarżyła go o gwałt, ogłosił, że **„jeśli wszystko pójdzie dalej w tym kierunku, Boże Narodzenie znowu zostanie zabronione"**.

Czyż Ameryka nie jest najwspanialszym krajem na świecie?

AWŁ

eprasa.pl 10b00941c8

Ogórek kwaśno się uśmiecha

Skandal, ministrze Ziobro! Chuligani z opozycji bezkarnie atakują gwiazdę TVPiS!

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak pamiętamy, 2 lutego 2019 r., w godzinach wieczornych przed siedzibą TVPiS w Warszawie bojówka opozycji przypuściła brutalny atak na dr Magdalenę Ogórek, niedoszłą prezydentkę lewicy zatrudnioną przez Kaczyńskiego i spółkę na stanowisku starszej redaktorki reżimowej szczujni.

„Auto oplute, porysowane, obklejone całkowicie naklejkami, wyzwiska, rzucanie się pod koła. Szarpanina i przemoc. Tak wyglądał mój wyjazd z TVP. A oni się cieszą i wklejają film” – żaliła się Ogórek, chociaż na filmie nie wyglądała na przerażoną, lecz rozbawioną całą sytuacją.

W obronie sponiewieranej niewiasty stanął wiking lewicy Adrian Zandberg, który napisał na Twitterze do szefa MSWiA Joachima Brudzińskiego: **„Głupota i zbydlęcenie. Jeśli komuś się wydaje, że plwocina na samochodzie p. Ogórek to działalność opozycyjna, to jest idiotą. Dlaczego policja nie reagowała?”.**

Brudziński odpisał: „Do jutra dałem czas komendantowi stołecznemu policji na udzielenie racjonalnej odpowiedzi na Pana zasadne pytanie”.

Potem szef MSWiA zamieścił kilka innych wpisów. M.in.:

- **„Dziś totalni pacyfiści urządzili wobec pracowników TVP Info kolejny festiwal nienawiści i agresji. Oczekuję od Policji działań adekwatnych wobec tej chuliganerii, takich samych jakie zastosowano wobec tych, którzy wzywali do agresji wobec przedstawicieli opozycji”.**
- **„Ja czekam na reakcje komendanta stołecznego policji. Brak stanowczej reakcji policjantów wobec tej dziczy porażający. Tolerowanie takiego zachowania może doprowadzić do kolejnej tragedii”.**
- **„Szanowna Pani Redaktor. Proszę przyjąć moje wyrazy ubolewania za brak stanowczej reakcji policji wobec tej dziczy, która zaatakowała Panią przed budynkiem TVP. Poleciłem analizę materiałów operacyjnych i podjęcie niezwłocznie wszelkich stosownych działań”.**
- **„Wobec kolejnych prób ataku na dziennikarzy i pracowników technicznych TVP ze strony totalnych nienawistników oczekuję od przedstawicieli opozycji, Rzecznika Praw Obywatelskich, dziennikarzy, potępienia tych przejawów agresji i nienawiści”.**

Wywołani przez Brudzińskiego zaczęli rzucać gromy na protestujących.

Adam Bodnar: **„W trakcie manifestacji nie jest dopuszczalne zagrażanie fizycznemu bezpieczeństwu adresatów protestu. Kiedy przekraczamy tę granicę i powodujemy po drugiej stronie lęk, protest przestaje być już pokojowy. Tymczasem Konstytucja gwarantuje wolność jedynie pokojowych zgromadzeń”.**

Bartosz Węglarczyk, redaktor naczelny Onetu: **„Nie ma żadnego znaczenia, czy i jak bardzo macie rację. Używając przemocy fizycznej, wykluczacie się z debaty publicznej, a jedynym miejscem nadającym się do wygłaszania waszych opinii staje się ława oskarżonych w sądzie”.**

Adam Pieczyński, wiceprezes TVN i redaktor naczelny TVN 24: **„TVN S.A. wyraża najwyższy sprzeciw wobec stosowania przemocy w życiu publicznym”.**

Dominika Wielowieyska, „Gazeta Wyborcza”: **„Absolutnie nie akceptuję takiego zachowania widzów wobec pani Ogórek. (…) To wydarzenie miało cechy linczu”.**

Tomasz Siemoniak: **„Różnice poglądów czy krytyczna ocena działań innej osoby nigdy nie może przekraczać granicy poniżenia, agresji słownej lub fizycznej wobec tej osoby. To, co spotkało dziś Panią Magdalenę Ogórek, nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Pani Magdo, proszę przyjąć wyrazy wsparcia!”.**

Sławomir Neumann: **„Ludzie, ogarnijcie się! Nie zgadzam się z tym, co robi TVP, ani z tym, co Magdalena Ogórek tam prezentuje, ale taka napaść jest nie do przyjęcia! Nie ma żadnego wytłumaczenia dla takiego zachowania. Teraz należy po prostu przeprosić”.**

Jerzy Buzek: **„Każdy, każdy akt agresji czy przemocy zasługuje na zdecydowane potępienie, bez względu na to, kogo to dotyka”.**

Marek Borowski: **„Pani Ogórek nie jest – jak wiadomo – bohaterką mojej pieśni, ale takie zachowanie protestujących uważam za niedopuszczalne”.**

Media od prawicy do lewicy pisały o **„ataku na Ogórek”** i **„agresywnych napastnikach”**. Premier Mateusz Morawiecki zajście przed TVP nazwał **„haniebną napaścią”.**

Po intensywnym oburzeniu temat ucichł. Minęło 10 miesięcy od **„wstrząsających”** wydarzeń. W prokuraturze zapytałem, czy bandyci siedzą na ławie oskarżonych, a może już w więzieniu. Gdzie tam!

Prokurator Łukasz Łapczyński, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie: **„Postanowieniem z dnia 29 marca 2019 r. Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście Północ w Warszawie umorzyła dochodzenie w sprawie: publicznego znieważenia pokrzywdzonej słowami powszechnie uznanymi za obelżywe oraz pomawiania w/w o takie postępowanie, które mogłoby ją poniżyć w opinii publicznej, tj. o czyn z art. 212 § 1 kk w zb z art. 216 § 1 kk – wobec braku interesu społecznego w kontynuowaniu ścigania z urzędu; uszkodzenia auta należącego do pokrzywdzonej, wobec braku znamion czynu zabronionego (w tym zakresie ustalono, iż działania potencjalnych sprawców nie spowodowały trwałej ingerencji w strukturę auta, a ślady ingerencji osób trzecich udało się usunąć bez naruszenia powłoki lakierniczej w związku z czym nie doszło do powstania trwałych uszkodzeń)”.**

A teraz najlepsze! Jak twierdzi prokuratura, **„pokrzywdzona przesłuchana w charakterze świadka zeznała, że nie wnosi o ściganie sprawców i nie chce, by postępowanie było kontynuowane”.** Czyli nic się nie stało i nie ma sprawy.

Wszyscy oburzeni, którzy rzucali gromy na chuliganów, powinni się ugryźć w język. Albo przeprosić.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Znów mieliśmy rację.

Wzwód pana prezydenta

Były prezydent Olsztyna Czesław Małkowski jest niewinny. Tak prawomocnie postanowił 13 grudnia 2019 r. Sąd Okręgowy w Olsztynie.

Pamiętacie, jak 10 lat temu telewizje pokazywały Małkowskiego wyprowadzanego z ratusza przez stróżów prawa? Pamiętacie pikantne nagrania, które wyciekły do sieci? Bo ofiara nagrała oprawcę. Pamiętacie, jak każdego dnia media piłowały prokuraturę: jak to możliwe, że ten pan wciąż jest prezydentem? Jak to możliwe, że jeszcze nie siedzi?

Prokuratorzy stanęli na wysokości zadania. Małkowski trafił do aresztu i został odsunięty od rządzenia.

Choć wyjaśniał, że dotknął go jedynie **„syndrom Billa Clintona”,** został skazany przez polityków. Rzecz niesłychana: tego samego zdania byli w jego sprawie Donald Tusk, wówczas premier, i Jarosław Kaczyński. Obaj wypowiadali się w tej sprawie w tonacji: zakopać!

Mimo tych zachęt dopiero w styczniu 2011 r., 3 lata po ciupcianku, prokuratorzy przygotowali akt oskarżenia. Choć przecież sprawa o gwałt powinna być prosta, zwłaszcza że pobrano DNA gwałciciela.

Małkowski 3 razy próbował wrócić na urząd prezydenta. Nie prowadził kampanii. Przegrywał o włos. On i ludzie z jego komitetu, w większości kobiety, zdobywali mandaty radnych.

Miasto hańby! – wkurzały się media. A Olsztyn po prostu nie wierzył w gwałt.

Małkowski, chociaż w przeszłości komunistyczny cenzor, nie jest z naszej bajki. Jako prezydent właził w dupę biskupom, co przez lata mu wytykaliśmy. Miał wrogów. Kogoś wystawił, to była gruba sprawa. Komuś odmówił pozwolenia na budowę, to była duża biznesowa katastrofa. Skrzyknęli się, powstało Stowarzyszenie Pokrzywdzonych przez Małkowskiego. Rozmawiałam z tymi ludźmi na długo przed aferą rozporkową. Nie kryli, że szykują topór na prezydenta.

Próbowali zainteresować organy ścigania inwestycjami miejskimi. Oskarżenie o korupcję nie utrzymało się w sądzie. Każdy wiedział: hak na Małkowskiego powinien być w spódniczce. „NIE” jako jedyne zgłosiło wątpliwości w sprawie oskarżenia o gwałt i było konsekwentne.

„Są słowa przeciwko słowom. Biegli stwierdzili, że Małkowski nie jest typem gwałciciela. Z ofiarą łączyła go więź erotyczna” – pisaliśmy 11 lat temu („Gwałt po gwałcie”, „NIE” nr 6/2008).

„Pewnie akt oskarżenia w końcu powstanie, bo żaden śledczy dobrowolnie nie przyzna się do tak grubego błędu, jak zapuszkowanie niewinnego. Inna bajka, czy uda się to obronić w sądzie” – to słowa sprzed dziewięciu lat. („Powrót Erosa”, „NIE” 49/2010).

Komentując wyrok, Małkowski powiedział, że padł ofiarą spisku zawiązanego przez przedsiębiorcę, któremu jako prezydent kazał rozebrać nielegalnie zbudowany pawilon, oraz swojej sekretarki, z którą miał romans. Wymienił nazwisko. Powiedział, że bezgranicznie ufał kobiecie i będzie domagał się zadośćuczynienia.

B.D.

Pisaliśmy m.in.:
• „Wzwód pana prezydenta” – „NIE” nr 42/2005; • „Ojciec z miasta” – 31/2006; • „Gwałt po gwałcie” – 6/2008; • „Złote serce aktywnego członka” – 48/2008; • „Powrót Erosa” – 10/2010.

eprasa.pl 10b00941c8

Państwo PIS

Psie, podaj cegłę

Polska kwitnie. Policyjna Polska.

Powoli odczuwamy rezultaty kupowania miłości wyborców przez PiS w geografii finansowej państwa. Brakuje forsy w samorządach, rosną podatki i opłaty lokalne, domorośli ekonomiści obliczają inflację na podstawie zwyżkujących cen żywności na 7 proc.

Którzy wiedzą

Chociaż prezentowane wyniki budżetowe wydają się zadowalające, co zadziwia garstkę ludzi potrafiących liczyć, to to, jak jest naprawdę, wie zapewne była, zdymisjonowana w niejasnych okolicznościach, minister finansów Teresa Czerwińska. Za zachowanie milczenia otrzymała lukratywną, choć mało znaczącą posadę w Narodowym Banku Polskim. Opłacana zapewne lepiej niż stanowisko ministra.

Być może też obecny minister finansów Tadeusz Kościński wie, jaka jest prawda. PiS oczekuje od niego cudu, a on cudu zobowiązał się dostarczyć, mniemając, że wyeliminowanie gotówki z obiegu gospodarczego i zastąpienie jej pieniądzem elektronicznym przyniesie korzyści budżetowe w kwocie 17 mld zł rocznie. Tyle *circa* kosztuje program „500 plus".

Programy, które rzekomo miały rozpędzić gospodarkę, wkurzały odrealnieniem rozumną część społeczeństwa. Budowa lotniska w Baranowie, miliony samochodów elektrycznych, setki kilometrów autostrad, „Mieszkanie plus", siłownia jądrowa etc. spotykają się z litościwym kiwaniem głową. Nic z tego nie wyszło i dalej tak będzie.

Które budują

Jednak jest program, który o dziwo PiS realizuje z żelazną konsekwencją. Jego wszechpolskie skutki można sobie wyobrazić, jadąc do **Ostrołęki,** gdzie w środku miasta za 42 mln zł wybudowano 8 tys. mkw. obiektu wywołującego podobne skojarzenia jak Świątynia Opatrzności Bożej w Warszawie. Jest to budynek miejskiej komendy policji postawiony ze środków centralnych.

Takie same odczucia mają mieszkańcy **Kalisza,** którym PiS zafundowało komendę za 60 mln zł (miało być 58). Od września jest największym obiektem tego rodzaju w Polsce. Uczy respektu wobec władzy 100 tysięcy kaliszan.

Bez nowoczesnej komendy nie mogliby się też obyć przestępcy w **Pile,** których będzie obsługiwał personel urzędujący na 7 tys. mkw. o wartości 69 mln zł. Kosztorys był już kilkakrotnie podwyższany o 2–3 mln zł.

Nowa komenda w **Sosnowcu** będzie miała 4 kondygnacje i ponad 8,5 tys. mkw. powierzchni użytkowej usytuowanej na 16 tys. mkw. działki. Wszyscy będą się nią cieszyć już w 2021 r., jeżeli oczywiście 49 mln zł wystarczy na jej wykończenie.

Komendę policji na miarę XXI w., na miarę marzeń PiS o prawie i sprawiedliwości buduje się w **Bolesławcu.** Zapłacimy za nią 33 mln zł, a policjanci będą w niej urzędować już w 2021 r.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Cieszą się mieszkańcy kolebki ludzkości **Wadowic,** ponieważ ich ukochany Mariusz Błaszczak wyasygnował 30 mln zł na nową komendę o kubaturze 5 tys. metrów sześciennych. Koparki, betoniarki i dźwigi pracują od roku, niekiedy nawet w niehandlowe niedziele.

Zajrzeliśmy na plac budowy siedziby komendy powiatowej w **Sławnie,** którą na pierwszy, drugi i trzeci rzut oka trudno będzie odróżnić od tej w Ostrołęce. Stoi już ostatnie piętro budynku głównego. Prace za 27 mln zł mają zakończyć się w terminie.

Kładzenie glazury, instalacja ceramicznych dolnopłuków firmy Grohe oraz cybernetycznych urządzeń antypodsłuchowych w 4-piętrowej nowej siedzibie Komendy Powiatowej Policji w **Nowym Tomyślu** zakończy się w wakacje 2020 r. Powstaje tu również strzelnica – policjanci muszą umieć strzelać do obywateli – oraz garaże dla leniwych pościgowych beemek mających diabła pod maską. 2,5 tys. mkw. powierzchni użytkowej miało kosztować 17 mln zł, ale już wiadomo, że będzie 19.

Największe inwestycje budowlane MSWiA są na Warmii i Mazurach. W **Bartoszycach** za 23 mln zł powstaje przestronna i oszałamiająco poważna komenda powiatowa.

Monumentalne pałace dla aparatu przymusu budują się także w **Bralinie, Łęce Opatowskiej, Mikstacie, Dubeninkach, Izabelinie, Trzcinicy, Zagórzu, Laskach, Sztabnie, Wiązownie, Uściu Gorlickim, Osowej Górze, Kielcach, Jezioranach, Grodzisku na Podlasiu, Słobódce, Zaściankach, Szypiszach, Krościenku, Świętajnie, Osowej Górze, Chmielniku, Zagórzu.**

Którzy siedzą

Jeszcze nie skończyłem. Rządy PiS myślą przecież logicznie i perspektywicznie o potrzebach państwa i obywateli. W związku z wizją budowy IV Rzeczpospolitej do końca 2022 r. ma być gotowy Zakład Karny w **Chmielowie** za 67 mln zł. Obiecał to wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł. To jest bardzo dobra lokalizacja, ponieważ klimat jest tu łagodny, charakteryzujący się dużą zmiennością pogody oraz najwyższym w kraju stopniem nasłonecznienia. Jest to bardzo ważne antidotum na nudę towarzyszącą osadzonym oraz tzw. październikową depresję związaną z niedoborem światła słonecznego.

Klamka zapadła także w kwestii budowy nowoczesnego więzienia w **Sanoku** dla tysiąca osadzonych. Ma powstać do końca 2021 r. Inwestycja ta, jak to ładnie, choć błędnie nazwano, pochłonie ponad 250 mln zł. Zgodnie z makietą prezentowaną przez policję, obiekt składający się z czternastu budynków zostanie posadowiony na idealnie zielonej łące w pobliżu Parku Krajobrazowego Gór Słonnych w otoczeniu lasu o charakterze mieszanym – buczyny karpackiej z dodatkiem jodły i jawora.

W **Działdowie** na powierzchni 16 ha stanie również nowoczesne więzienie. W planach budowa trzech hal produkcyjnych, w których tania siła robocza, szacowana na 1000 skazańców, pracować będzie na potęgę gospodarczą IV Rzeczpospolitej. Koszt budowy, która nigdy się nie zwróci, wyniesie 250 mln zł.

Nie rozpoczęto jeszcze z przyczyn proceduralnych budowy więzienia w **Dębem** pod Kaliszem, w którym zamieszka 800 skazanych. Inwestycja szacowana jest na 250 mln zł, co wskazuje, że polska architektura więzienna powstaje w tej samej pracowni architektonicznej.

Natomiast nie będzie więzienia w Brzegu, ponieważ nie zgodzili się na to miejscowi radni. Byłoby to już drugie więzienie w tym mieście. Ministerstwo z projektu się nie wycofało. Poszukuje nowej lokalizacji. Proponowalibyśmy okolicę Arłamowa w Bieszczadach albo Pojezierza Wschodniosuwalskiego, skąd trudno będzie uciec, a przyroda stwarza idealne warunki kontemplacyjne.

Który myśli

Pomysły umacniania resortów siłowych oraz aparatu represji przekute zostały przez PiS w 2016 r., w ustawę zwaną „Programem modernizacji Policji, Straży Granicznej, Państwowej Straży Pożarnej i Służby Ochrony Państwa w latach 2017–2020"?

Wymyślił to w 2007 r. obiema półkulami mózgu premier Jarosław Kaczyński (pokłosiem tego pomysłu jest wspomniana komenda w Ostrołęce). Pomysł zarzucony został przez rządy PO–PSL jako szkodliwy, jednak przetrwał w głowie prezesa aż do 2015 r., kiedy to Sejm z wyjątkową werwą zaczął procedować nad nową ustawą, materializującą wolę władcy narodu.

Wydatki na siły policyjne w Polsce są nominalnie mniejsze niż w innych krajach Unii. Jeżeli jednak analizować je w stosunku do PKB – to obecnie są one większe nawet niż w Republice Federalnej Niemiec. Jeżeli patrzymy na wskaźniki przestępczości, okazuje się, że są one na podobnym poziomie rok do roku i nie ma powodów, aby policję wzmacniać.

Nowelizacji wspominanej ustawy, która zwiększyła jej moc z 9 do 18 mld zł, dokonano w Sejmie 18 października tego roku. Jedynym uzasadnieniem było to, że policja zgłosiła zapotrzebowanie na obsadzenie tysiąca etatów. Mówimy oczywiście o pieniądzach ekstra, czyli niemających wiele wspólnego z dorocznym 12-miliardowym budżetem MSWiA.

Być może Kaczyński myśli tak: kupiliśmy sobie władzę za pieniądze, których nie było. Rujnujące skutki przełożą się na perturbacje społeczne. Gdy dojdzie do niepokojów, to aby pozostać przy władzy, trzeba mieć po swojej stronie policję.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 10b00941c8

Tylko wariat donosi

Winni są niewinni. Niewinny jest winny i będzie osądzony.

Prokuratura od ponad trzech lat morduje się ze śledztwem dotyczącym przypadków śmierci i tortur, do których dochodziło w szpitalu psychiatrycznym w Rybniku. Na razie zarzut popełnienia przestępstwa ma jedna osoba. Jest nią rzecznik praw pacjenta wspomnianego szpitala. Zasiądzie na ławie oskarżonych pod zarzutem, że mówił prawdę o potwornościach, do których tam dochodziło.

Sprawa Krystiana Brolla i innych pacjentów szpitala psychiatrycznego w Rybniku nieco już przycichła. Dziennikarze „Państwa w państwie" Polsatu odebrali nagrodę Wolności Słowa za program o Brollu. Telewizja publiczna oraz TVN kręciły programy o kolejnym pacjencie tego szpitala – Feliksie Meszce, który jeszcze dłużej był tam więziony.

Przypomnienie: Krystian Broll więziony był przez ponad 8 lat w rybnickim szpitalu. Tam go

torturowano,

podając mu końskie dawki leków psychotropowych odbierających zdolność samodzielnego funkcjonowania. Torturowano go, zmuszając do przebywania na jednym oddziale z psychopatami. Został ciężko pobity. Dopiero gdy jego sprawa zrobiła się głośna, szpital rybnicki pozbył się go, przewożąc do szpitala psychiatrycznego w Toszku. Stamtąd wkrótce go zwolniono. Broll był już wtedy umierający. Z Rybnika wyszedł z nieleczoną białaczką – prawdopodobnie wywołaną podawanymi środkami psychotropowymi. Przy życiu podtrzymywały go kolejne transfuzje krwi. Po dwóch latach zmarł, nie doczekawszy się odszkodowania, którym chciał sfinansować leczenie.

Feliks Meszka więziony był dłużej od Brolla. W szpitalu psychiatrycznym spędził 11 lat. Obaj zostali skierowani do psychiatryka przez sądy. Obaj mieli zarzuty gróźb karalnych. Obaj zostali z nich oczyszczeni. Meszka również nie żyje.

W obie te ponure historie trudno uwierzyć. Nie wierzyłem, gdy przed laty spotkałem się z Bogusławem Palą w kawiarni dworca kolejowego w Bielsku-Białej. Pala miał okazję poznać obydwóch pacjentów. To, co opowiadał, budziło

grozę,

lecz przede wszystkim niewiarę. Pala miał jednak dokumenty. Wśród nich był raport rzecznika praw pacjenta rybnickiego szpitala psychiatrycznego. Zawierał szczegółowy opis tortur.

Czy tylko tych dwóch ludzi było dręczonych? Skądże!

Inny pacjent – podobnie jak Broll – przebywał w rybnickim psychiatryku 8 lat. W tym czasie poddawano go elektrowstrząsom, aby wyleczyć z ewentualnej skłonności do kradzieży. Albowiem

człowiek ten trafił na ławę oskarżonych za kradzież czterech paczek kawy.

Złodziej kawy, podobnie jak Broll i Meszka, do rybnickiego szpitala został skierowany na mocy wyroku sądowego. Jego pobyt formalnie nadzorował sąd. Dlatego wymiar sprawiedliwości jest współwinny wszystkim tym potwornościom.

Kolejny pacjent poskarżył się rzecznikowi praw pacjenta, że przymuszany był w szpitalu do ciężkiej pracy, od której dostał przepukliny. Gdy się poskarżył, zaczęto go „lekować". „Lekowanie" to termin potoczny, oznaczający podawanie tak dużych ilości leków, by odbierały człowiekowi możliwość sprawnego myślenia. Tego samego dnia po południu pielęgniarka przyniosła pacjentowi pół kieliszka tabletek. On na to do pielęgniarki: – Pani się chyba pomyliła.

– Nie. To jest dla pana. Musi pan to wziąć.

I pacjent połknął tabletki. Nazajutrz siedział w świetlicy z innymi pacjentami. Być może to uratowało mu życie. Nagle przewrócił się i stracił przytomność. Inni wszczęli alarm. Okazało się, że pacjent miał zapaść.

Rys. TOMASZ WIATER

Po tym incydencie przestano mu podawać psychotropy.

Na nieuzasadnione względami medycznymi ilości podawanych leków poskarżył się Andrzej Durmowicz. Już następnego dnia wyrzucono go z oddziału, na którym przebywał od kilku lat. Przeniesiono go na oddział mieszczący się na piętrze szpitalnego pawilonu bez windy. Miało to znaczenie, bo Durmowicz był niepełnosprawny i poruszał się na wózku inwalidzkim. Natychmiast zmieniono mu także sposób „leczenia". Podwojono dawkę leku i dorzucono kolejny specyfik. Nowe „lekowanie" trwało 2 dni. Trzeciego nastąpiło zatrzymanie akcji serca. Durmowicz trafił na OIOM szpitala ogólnego, gdzie po dwóch tygodniach zmarł.

Rzecznik Stanisław Frydrychowicz o tej śmierci powiadomił prokuraturę. Prokuratura Okręgowa w Częstochowie już czwarty rok bada przypadek Brolla i Durmowicza. W szpitalu zmieniła się dyrekcja. Odeszło wielu lekarzy.

Wiele się zmieniło. Przestano stosować odpowiedzialność zbiorową. Czy jednak pacjenci mogą się czuć bezpieczni?

Rzecznik praw pacjenta jakiś czas temu był świadkiem słownej agresji.

– Jak cię jebnę, to zobaczysz! – krzyczała pielęgniarka do niepełnosprawnego pacjenta, który nie potrafił samodzielnie wstać z łóżka.

Nie wiedziała, że rzecznik przebywa w sali obok. Tłumaczyła się później, że żartowała. Została upomniana za używanie wulgarnych słów w obecności pacjenta.

Ta pobłażliwość być może przyczyniła się do poważniejszego incydentu. Doszło do niego na wiosnę 2019 r. na tym samym oddziale. Pielęgniarka pobiła pacjenta. Pobicie to opisano mi jako

makabryczne.

Pielęgniarka biła pacjenta. Gdy pacjent upadł, kopała go. Czyniła to na oczach dwudziestu pacjentów i członków personelu. Następnie zadzwoniła na izbę przyjęć i oznajmiła, że pacjent był agresywny. Na tej podstawie lekarz na kilkanaście godzin unieruchomił go w kaftanie.

Sprawa przez blisko miesiąc była ukrywana, mimo że na oddziale działa monitoring wizyjny i kamery sfilmowały incydent. Po miesiącu któraś z pracujących w szpitalu osób anonimowo poinformowała rzecznika praw pacjenta o pobiciu. Frydrychowicz napisał o tym do dyrektora szpitala. Ten zbadał sprawę. Pielęgniarka została wyrzucona, nagranie zabezpieczono i złożono doniesienie do prokuratury.

W czasach Brolla, Meszki i Durmowicza szpital psychiatryczny w Rybniku kontrolowany był przez liczne instytucje. Rzecznik Frydrychowicz o Brollu napisał do Komisji Psychiatrycznej. Ta na inspekcję przysłała dwóch przedstawicieli. Obaj byli dyrektorami regionalnych ośrodków psychiatrii. Gdy rozmawiali z Brollem, zjawił się ówczesny dyrektor medyczny szpitala. Wyprosił Brolla na zewnątrz i długo rozmawiał z kontrolującymi. O czym – tego rzecznik nie wie. W każdym razie po wyjściu dyrektora medycznego zmieniła się atmosfera rozmowy. Brolla pytano, czy jest kryminalistą. A gdy w rozmowie padł termin „lekowanie", obaj psychiatrzy zwrócili uwagę, że takie pojęcie nie istnieje.

Kontrola nie stwierdziła nieprawidłowości – nie badała np. kwestii zwiększania dawek leków podawanych bez uzasadnienia w dokumentacji medycznej. Nie zajęto się przypadkami szykanowania Brolla, choć przedstawiciele komisji otrzymali ich opis.

Po nagłośnieniu sprawy Brolla szpital skontrolowała Najwyższa Izba Kontroli. Kontrola trwała miesiąc. Już pierwszego dnia przedstawiciel NIK oznajmił, że sprawa dręczenia Brolla i innych pacjentów kompletnie go nie interesuje. Będzie się zajmował wyłącznie kwestiami proceduralnymi związanymi ze stosowaniem bądź nie przepisów ustawy o ochronie zdrowia psychicznego i innych. Napiętnował obyczaj podawania pacjentom parówek bez talerzy.

Bogusław Pala bez skutku usiłuje zmusić instytucje państwa do zbadania, czy w rybnickim szpitalu popełniano

zbrodnie.

W październiku 2019 r. spuścił go na drzewo urząd Rzecznika Praw Obywatelskich, czyniąc tak samo, jak czynił przed laty, gdy skargi słał do niego Broll. Teraz Pali odpisał: **„Mylnie pojmuje Pan kompetencje Rzecznika. Rzecznik jest specyficzną instytucją kontrolną, która ma chronić przewidziane w Konstytucji RP i ustawach prawa obywatelskie, w przypadkach ich naruszeń przez organy, organizacje i instytucje zobowiązane do ich przestrzegania i realizacji. Ta ochrona ze strony Rzecznika sprawowana jest drogą kontroli działalności tych podmiotów, natomiast nie polega na zastępowaniu ich w załatwianiu spraw należących do ich kompetencji. Organem powołanym do przeprowadzenia postępowania wyjaśniającego w sprawach o popełnienie przestępstw jest prokuratura. Rzecz-**

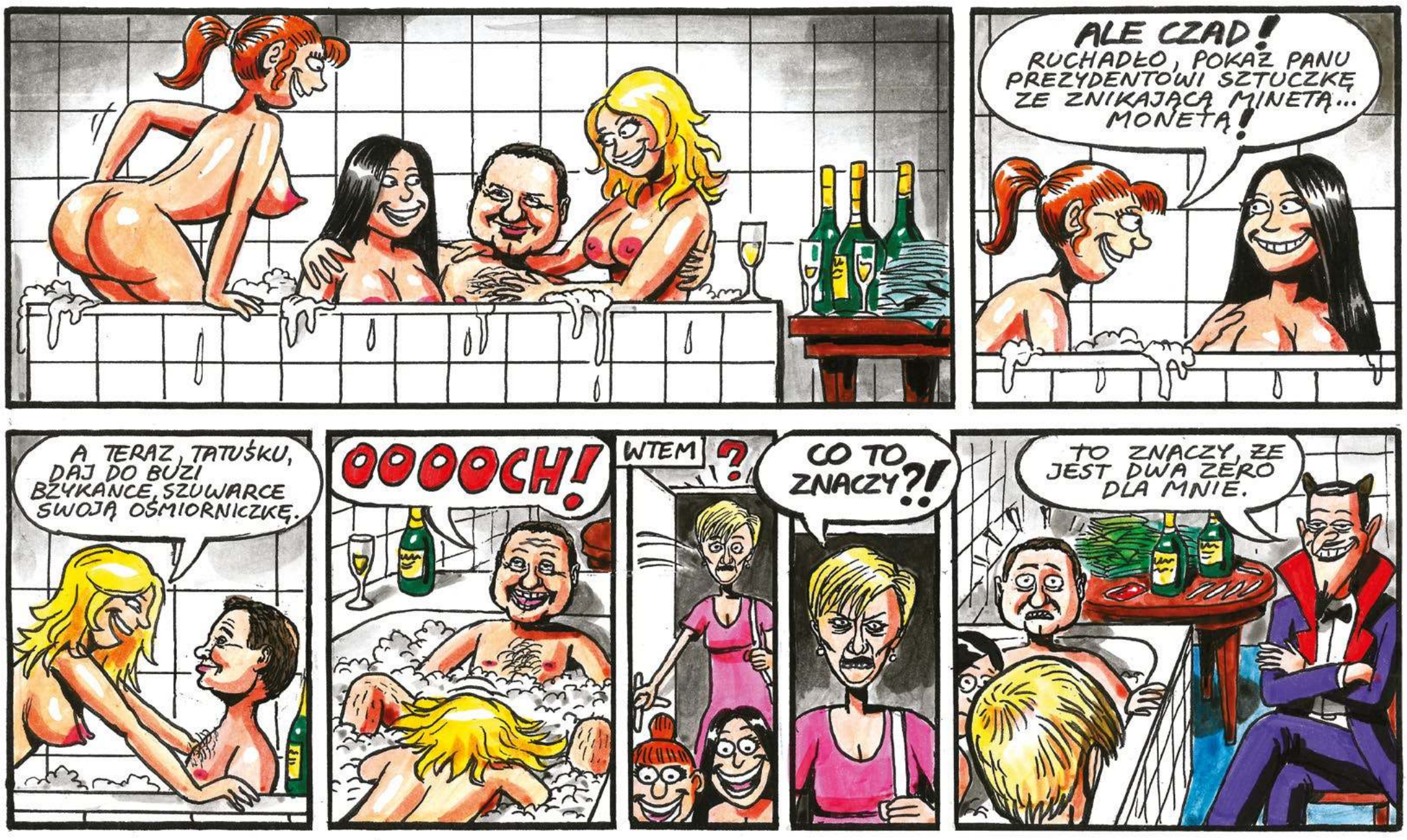

eprasa.pl 10b00941c8

nik takich uprawnień nie posiada. Jeżeli jest Pan w posiadaniu informacji o popełnieniu przestępstwa, może Pan złożyć zawiadomienie w tej sprawie do właściwej miejscowo prokuratury. W zawiadomieniu należy podać bliższe informacje o zdarzeniu i okolicznościach, w jakich do niego doszło, jak również sprawcach i ewentualnych świadkach zdarzenia".

Kilka prokuratur nie chce się zająć doniesieniami dotyczącymi personelu rybnickiego szpitala, tłumacząc to na różne sposoby. Inne doniesienie dotyczyło **„niedopełnienia obowiązków przez prokuratorów, sędziów, poprzez ukrycie szeregu przestępstw popełnionych przez lekarzy i personel szpitala psychiatrycznego w Rybniku".** Trafiło do Ministerstwa Sprawiedliwości, które przesłało je do prokuratury z Rybnika. Ta 2 października 2019 r. napisała, że już w 2013 r. przeprowadziła w tej sprawie postępowanie sprawdzające. Zakończyło się wówczas odmową wszczęcia śledztwa, która to decyzja obowiązuje do dziś. Sam Ziobro (sprawa trafiła do jego biura poselskiego) uznał, iż jest to temat dla Ministerstwa Zdrowia. W imieniu Ziobry decyzję o przekazaniu doniesienia o zbrodniach resortowi lecznictwa podjął dyrektor biura.

Nieprawdą jest jednak, że to, co się działo w szpitalu psychiatrycznym w Rybniku, nie ma finału sądowego. Proces się toczy.

Kilka razy szpital zawiadamiał prokuraturę, że przyszpitalny rzecznik praw pacjenta miał popełnić

przestępstwo,

np. że szkalował tę instytucję czy wtargnął na oddział szpitalny. Za każdym razem prokuratura odmawiała wszczęcia śledztwa. W listopadzie 2018 r. Frydrychowicz wystąpił w „Superwizjerze" TVN. Użył tam słowa „lekowanie". Szpital skierował akt oskarżenia do sądu. Następnie Frydrychowicz został zwolniony z pracy. Od kilku tygodni nie jest już pracownikiem Biura Rzecznika Praw Pacjenta. Pozbyło się ono człowieka, który walczył o ludzi, nie zamykając oczu na ich krzywdę i niesprawiedliwość. Ten jeden były urzędnik uczynił więcej niż wszystkie instytucje państwowe.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Nie tylko wariat siedzi

Związek Radziecki więził w psychiatrykach dysydentów politycznych. Wolna Polska więzi w psychiatrykach Bogu ducha winnych ludzi.

Nie tylko w rybnickim szpitalu psychiatrycznym latami trzymano ludzi bez medycznego uzasadnienia. Do innych szpitali rzekomi wariaci trafiali na jeszcze dłużej. Rekordzistą był złodziej przyłapany na kradzieży trzech słoików konfitur. W szpitalu psychiatrycznym spędził 34 lata.

• • •

Jan K. z Lublina trafił do psychiatryka na 20 lat. We własnym domu (co nie miało znaczenia) spalił 3 gazety. Uznano, że jest niebezpiecznym dla otoczenia piromanem.

W szpitalu psychiatrycznym w Rybniku przebywał złodziej złomu. Był członkiem 6-osobowego gangu, który, zaopatrzony w dźwig i samochód ciężarowy, okradał śląskie kopalnie. Na złodziei donieśli członkowie konkurencyjnego gangu. Policja całą szóstkę zgarnęła. Pięciu złodziei skazano na kary grzywny. Szósty był kiedyś w szpitalu psychiatrycznym. Zamiast go również skazać, sąd orzekł, że jest niewinny: kradnąc złom z innymi, był niepoczytalny. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że czyni źle. Kazano go leczyć psychiatrom z rybnickiego szpitala, co czynili przez 2 lata.

• • •

Gdy sprawa Krystiana Brolla zrobiła się głośna, wielu innych „pacjentów", skazanych przez sądy na leczenie psychiatryczne zaczęło pisać do Sądu Najwyższego wnioski o kasację wyroków. Wówczas szpitale, śledząc burzę medialną, zaczęły przeglądać historie chorób pacjentów. Wielu z nich wypuszczono. W rybnickim psychiatryku pozamykano opustoszałe sale. Podobnie w innych placówkach w Polsce. To oznacza, że wszyscy ci ludzie przebywali w szpitalach na podstawie fikcyjnych przesłanek. A to z kolei znaczy, że wielu z nich faszerowano lekami niepotrzebnie.

• • •

Ktoś mądry zauważył ryzyko trzymania pacjentów w szpitalach psychiatrycznych w nieskończoność. Aby temu zapobiec, wymyślono następującą zasadę – im dłużej trwa leczenie pacjenta, tym mniej za niego szpital dostaje pieniędzy. Chodziło o wymuszenie skuteczności leczenia. Wprowadzono więc przepis, że gdy ktoś leczony jest dłużej niż 10 tygodni, szpital przestaje dostawać zwrot stu procent kosztów utrzymania pacjenta. Dostaje tylko 70.

Przepis ten jednak nie dotyczy pacjentów, których do szpitali kierują sądy. Za takich pacjentów szpitale psychiatryczne otrzymują pełny zwrot kosztów utrzymania, niezależnie od tego, czy są oni leczeni 10 tygodni, czy 10 lat. Szpitalom psychiatrycznym opłaca się więc mieć jak najwięcej takich pacjentów. A jeszcze lepiej, gdy są to osoby uznane za niebezpieczne, za które jest dodatkowa stawka.

Przymusowe umieszczenie człowieka w szpitalu psychiatrycznym odbywa się tylko na mocy orzeczenia sądowego. Taki stan nazywamy detencją. Odrębny przepis mówi, że detencję można stosować tylko wówczas, gdy rzekomy bądź prawdziwy wariat popełnił czyn zabroniony o dużym stopniu szkodliwości społecznej. Bardzo często ten przepis lekceważono albo naciągano. Trudno przecież uznać za taki właśnie czyn kradzież czterech paczek kawy.

• • •

Czy kradzież roweru to czyn o wysokiej szkodliwości społecznej? Szczególnie, że rower został oddany. Przez to, iż złodzieja poruszyło sumienie, został on schwytany i postawiony przed sądem. Sąd uznał zapewne, że nikt o zdrowych zmysłach sam się nie przyzna do kradzieży. Złodzieja roweru umieszczono więc w szpitalu psychiatrycznym w Suchowoli, gdzie spędził 8 lat.

W Suchowoli przebywał na detencji wąchacz kleju. Próbował ukraść tubkę butaprenu z kiosku, lecz uczynił to nieudolnie i został złapany. Sąd uznał, iż ktoś, kto narkotyzuje się oparami kleju, musi mieć ograniczoną poczytalność, a próba kradzieży kleju była czynem wysoce szkodliwym społecznie.

Gdy wielbiciel oparów trafił do szpitala psychiatrycznego, miał 20 lat. Gdy rozmawiał z nim szpitalny rzecznik praw pacjenta, miał lat 36. Nazajutrz po tej rozmowie został wypuszczony na wolność.

Wszyscy ci ludzie przebywali w szpitalach pod nadzorem sądów, które uniewinniając ich od zarzutu popełnienia przestępstwa, skazywały zarazem na pobyt w psychiatrykach.

• • •

Co pół roku pacjent taki stawał przez komisją psychiatrów. Oni podejmowali decyzję, której nikt nie chciał kwestionować. Brolla, który był sądzony za groźbę karalną, pytano, czy czuje się wyleczony. Mówił, że jest zdrowy. Pytano go wówczas, czy jest pewien, że nie popełni po raz kolejny przestępstwa, za które był sądzony. Odpowiadał, że niczego złego nie uczynił, nikomu nie groził. Pytano, skąd w nim ten brak samokrytycyzmu. A na argument, że przecież w jego sprawie materiał zebrała policja, prokurator sporządził akt oskarżenia, a sąd go osądził, Broll odpowiadał, że padł ofiarą spisku. To wystarczało. Psychiatrzy diagnozowali utrzymujące się urojenia i zalecali kolejne pół roku pobytu w szpitalu psychiatrycznym.

Panami losu takich ludzi jak Broll byli psychiatrzy. To oni przecież mówili sędziom, czy pacjenci są zdrowi, czy wymagają leczenia. Kontrola sądowa była iluzoryczna. Czasami nawet sami sędziowie usiłowali robić z podsądnych wariatów.

• • •

Mieszkanka Olkusza odkryła, że na jej niepełnosprawnego ojca lekarka wypisuje lewe recepty. Złożyła doniesienie na policji. Pech chciał, że lekarka była krewną komendanta policji i ta, która wykryła przestępstwo, sama została oskarżona. Miała pobić lekarkę. Sędzia odkrył szwindel. Bał się skazać kobietę za fikcyjne przestępstwo. Nie chciał też szkodzić policjantom i prokuratorowi. Powołał biegłą psychiatrę. W rozmowie z nią oskarżona kobieta stwierdziła, że padła ofiarą spisku. Biegła uznała to za urojenie. Sąd natychmiast uniewinnił kobietę, orzekając jej niepoczytalność. Następnie zalecił obserwację psychiatryczną w warunkach szpitala zamkniętego.

Kilka lat usiłowano kobietę umieścić w psychiatryku. Ponieważ ukrywała się przed policją, wystawiono za nią list gończy. Sprawa przymusowego umieszczenia w szpitalu psychiatrycznym z sądu w Olkuszu powędrowała do sądu w Miechowie, a następnie do kolejnych sądów Małopolski. Wystarczyło jedno moje pismo z pytaniami do rzecznika Sądu Okręgowego w Krakowie, aby odpuszczono kobiecie. Po prostu żaden z sędziów nie przeczytał akt sprawy.

• • •

Wariatem miał być również poseł poprzedniej kadencji Jerzy Jachnik. W zamierzchłej przeszłości został fałszywie oskarżony o próbę wyłudzenia pieniędzy. Rzekomo miał żądać zwrotu pożyczki, która już mu została zwrócona. Z akt sprawy wprost wynikało, że to on jest ofiarą, ale kolejni prokuratorzy prowadzący śledztwo udawali, że tego nie widzą. Jachnik został skazany w Sądzie Rejonowym w Żywcu. Apelacja trafiła do Sądu Okręgowego w Bielsku-Białej. Być może sąd odwoławczy nie chciał robić wbrew sędzi z Żywca. Uznał, że Jachnik też był chwilowo niepoczytalny. Żądając drugi raz wcześniej otrzymanych pieniędzy, nie pamiętał, że je dostał. Proces odwoławczy powtórzono i ostatecznie Jachnik wyszedł z sądu jako zdrowy na umyśle. Co niekoniecznie skończyłoby się tak właśnie, gdyby Jachnik nie był wówczas posłem.

Sprawa Brolla i innych wieloletnich pacjentów, bezpodstawnie przetrzymywanych w psychiatrykach, wpłynęła na zmianę prawa. O przedłużeniu detencji sędziemu nie wolno zdecydować jedynie na podstawie opinii komisji szpitalnych psychiatrów. Dziś przed podjęciem decyzji sędzia ma obowiązek zobaczyć wariata i z nim porozmawiać. Niewiele, ale jednak.

M.C.

eprasa.pl 10b00941c8

Bar naszą ojczyzną

Anachronizm i polityczna reakcja – ulubiona ruchawka prezesa Kaczyńskiego.

Przez dziesięciolecia czciliśmy pamięć trzech powstań narodowo-wyzwoleńczych – kościuszkowskiego, listopadowego i styczniowego – oraz dwóch lokalnych – śląskich i wielkopolskiego. Uzupełniło tę listę na trwałe powstanie warszawskie.

Od niedawna pisowska polityka historyczna dodaje kolejne 2 powstania. Na końcu listy: żołnierze wyklęci (powojenne podziemie zbrojne). Na początku: konfederacja barska.

I.

Te dodatkowe powstania stały się ulubieńcami oficjalnej propagandy, mówi się i pisze o nich więcej niż o pozostałych. Ostatnio prezes PiS wymieniał z namaszczeniem tę nową listę powstań dwukrotnie: w elegii na cześć zmarłego Kornela Morawieckiego i w preambule do programowej deklaracji niepodległościowej 10 listopada. W jednej z tych mów użył nawet takiego zwrotu: **„przynajmniej od konfederacji barskiej poczynając…”.** Czyżby kroiło się nam jakieś nieznane powstanie?

O konfederację barską historycy spierają się od ponad 150 lat. Zastanawiają się, czym była. Buntem fanatycznych obrońców katolickiego monopolu religijnego i szlacheckich przywilejów, który wyrządził Rzeczypospolitej wielkie szkody materialne i moralne oraz bezpośrednio spowodował pierwszy rozbiór, czy też ruchem niepodległościowym, pierwszą insurekcją.

W opinii naukowej pierwsza ocena zdecydowanie przeważała, druga miała niewielu zwolenników, choć jednego wybitnego – Władysława Konopczyńskiego. Ale nawet oni nie byli w opiniach jednoznaczni.

Polityka historyczna PiS, częściowo wsparta przez PO, ożywiła ten wydawało się już rozstrzygnięty naukowo spór i przesądziła go na rzecz wariantu niepodległościowego decyzjami państwowymi, m.in. uchwałą Sejmu o 250. rocznicy konfederacji barskiej.

Publicystyka dość pokornie przytaknęła tej powstańczej nobilitacji barżan, nauka historyczna raczej ostrożnie ją przemilczała.

Jakie szanse ma ta motywowana czysto politycznie ingerencja państwa w oceny wydarzeń historycznych? Czy się umocni i utrzyma? Można powątpiewać, głównie z powodu oporu rzeczywistości, czyli obiektywnej prawdy historycznej, wnikliwie w ciągu dziesięcioleci zbadanej i opisanej. Od klasyków szkoły krakowskiej w XIX w. poczynając, przez szkołę warszawską, a na pokoleniu Emanuela Roztworowskiego i Jerzego Michalskiego kończąc.

II.

U genezy konfederacji barskiej leżał bunt większości ówczesnego polskiego narodu szlacheckiego przeciwko reformom ustrojowym podjętym przez nowo wybranego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i stronnictwo Czartoryskich zwane Familią oraz narzuconej przez Katarzynę II ustawie o równouprawnieniu innowierców. Stanisław August, podobnie jak dwaj jego sascy poprzednicy, został wybrany królem dzięki poparciu Rosji, w asyście kilkudziesięciotysięcznej armii rosyjskiej. Po wyborze – już nie po myśli carycy, a także większości szlachty polskiej – podjął ostrożnie, ale konsekwentnie reformowanie ustroju państwa (zmniejszenie roli sejmików, umocnienie rządu centralnego, sanacja skarbu, wzmocnienie wojska). Zmierzał przede wszystkim do zniesienia zgubnego *liberum veto* – za rządów ostatniego Sasa tylko jeden sejm doszedł do skutku, pozostałe zostały zerwane.

Zaniepokojona tymi planami młodego władcy Katarzyna II, aby je pokrzyżować, zażądała przywrócenia pełni praw politycznych innowiercom (prawosławnym i protestantom), których zostali pozbawieni w 1733 r. Nastawiony tolerancyjnie i nowocześnie król obawiał się jednak konfliktu, jakim to groziło, z większością szlachty, szukał kompromisu i zwlekał. Powstała atmosfera wojny religijnej. Zawiązywały się inspirowane przez Rosję i Prusy konfederacje w obronie innowierców i liczniejsze w obronie katolickiego monopolu religijnego. Zręczny intrygant, rosyjski ambasador Nikołaj Repnin skłonił przywódców prokatolickich konfederacji do połączenia się w jednym silnym związku zbrojnym, generalnej konfederacji radomskiej (1764), której marszałkiem został Karol Radziwiłł, notoryczny pijaczyna. Repnin łudził konfederatów, że za cenę akceptacji praw innowierców mogą uzyskać gwarancje dawnych (saskich) zasad ustrojowych, a nawet detronizację znienawidzonego króla.

Efektem tych manipulacji był Sejm w 1767 r., zwany repninowskim. Ulegając rosyjskiemu przekupstwu i przemocy (porwanie i wywiezienie do Rosji przywódców opozycji), uchwalił zarówno umiarkowane równouprawnienie dysydentów (innowierców), jak i tzw. prawa kardynalne, czyli niezmienne zasady ustrojowe (wojna elekcja, *liberum veto*, prawo szlachty do wypowiadania władcy posłuszeństwa, monopol szlachty na posiadanie ziemi itp.). Gwarantką tych praw została Katarzyna II, obejmując w ten formalny sposób protektorat nad Polską.

Jednak stronnicy Repnina byli rozczarowani, króla nie zdetronizowano. Zatem najaktywniejsi z radomskich zauszników Repnina postanowili bunt kontynuować już nie tylko przeciw królowi, ale też przeciwko Katarzynie II. 29 lutego 1768 r. w miasteczku Bar na Ukrainie zawiązali nową konfederację w obronie wiary katolickiej, przeciw schizmatykom i za detronizacją króla.

Emanuel Rostworowski, wybitny znawca epoki, tak to ocenił: **„Radomianie, starając się wysadzić Poniatowskiego z tronu przy pomocy Rosji, kierowali się, jak sądzę, swoiście rozumianą koncepcją independencji (niezależności). Jeśli sołdaty wprowadzą na tron Sasa i przywróci się dawny wolny rząd, to będzie tak jak bywało za Augusta II i za Augusta III. Rosja zawiodła pokładane w niej nadzieje i rozdrażniła katolicką opinię forsowaniem sprawy dysydenckiej. Ale myślę, że radomscy politycy stawszy się politykami barskimi podnieśli sztandar independencji rozumianej przede wszystkim jako przywrócenie wolnego rządu i uprawnień Kościoła. (…) Konfederacja barska był to ruch długotrwały, szeroki, wielokierunkowy. Ale sądzę, że w mentalności tego kręgu ludzi, independencja to wciąż jeszcze walka nie tyle z Rosją, co z widmem królewsko-moskiewskiego despotyzmu”.**

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Bardziej barwnie opisał to Konopczyński: **„Po żarliwych modłach i naradach gromada szlachty… podniósłszy chorągiew z wizerunkiem Maryi królowej Korony Polskiej, ruszyła czyścić kraj z Moskwy i heretyków!”.**

III.

Początkowo nie było jednolitego kierownictwa ruchu. Powstało ponad 60 lokalnych konfederacji, dopiero pod koniec 1769 r. ukonstytuowała się władza zwierzchnia zwana Generalnością. Od początku rej wodzili biskup Adam Krasiński i starosta warecki Kazimierz Pułaski.

Ruch konfederacki nie był jednolity. Przeważali fanatycy wojującego katolicyzmu, dziwaczni i wsteczni na tle ówczesnej oświeceniowej Europy, zwłaszcza w kraju o 50 procentach prawosławnej ludności. Przewodził im charyzmatyczny karmelita Marek Jandołowicz, który – według Konopczyńskiego – próbował bez powodzenia stać się Kordeckim tego ruchu.

Liczni też byli nostalgicy po czasach saskich. Nurt niepodległościowy był najsłabszy. Wszystkich jednoczyła wrogość do króla i marzenie o jego detronizacji. Brakowało temu ruchowi przywództwa o szerszych horyzontach. Przyznaje to Konopczyński, skądinąd skłonny do idealizacji konfederacji: **„Politycy barscy to byli prawie bez wyjątku ludzie słabi i ciemni, chorzy na wewnętrzne zakłamanie. Ileż fałszu musiano zużywać, aby utrzymać w szeregach przekonanie, że partia saska to patrioci, a król i adherenci to zdrajcy; Ile blagi w pantoflowej poczcie konfederackiej otrąbującej po świecie niebywałe zwycięstwa, ile sztuczek godnych kauzyperdów w ich aktach” .**

Polityka barżan nacechowana była myśleniem życzeniowym. Liczyli na pomoc Turcji, spodziewali się wojny turecko-rosyjskiej, nawet Turka w Moskwie. Wojna rzeczywiście wybuchła, ale słabe już wtedy państwo otomańskie nie miało szans w starciu z Rosją. Ponosiło klęskę za klęską i traciło posiadłości nad Morzem Czarnym.

Początkowo koniunktura wydawała się sprzyjać konfederatom. Francja w obawie, że wzrost rosyjskiej potęgi zachwieje równowagą sił w Europie, gotowa była wesprzeć barżan pieniędzmi i instruktorami wojskowymi. Z innych powodów sprzyjały konfederacji jawnie Austria, a skrycie Prusy. Obydwa mocarstwa liczyły na to, że zanarchizowanie przez wojnę domową Polski skłoni Rosję do zgody na częściowy jej rozbiór. Od czasów Piotra I Rosja prowadziła politykę uzależniania Rzeczypospolitej, ale też ochrony jej integralności terytorialnej. Nie zamierzała się dzielić wpływami. Teraz miało się to zmienić.

IV.

Historia militarna konfederacji barskiej to nieliczne sukcesy i pasmo niepowodzeń. Do konfederacji przystąpiło co najmniej 100 tysięcy szlachty, a sprzyjała jej większość. W formacjach zbrojnych uczestniczyło nie więcej niż 50 tysięcy. Stoczono w ciągu czterech lat ok. 500 mniejszych i większych bitew i potyczek. Tylko kilkadziesiąt z nich z regularnymi wojskami rosyjskimi i królewskimi. Ekspedycyjny korpus rosyjski, sprawny i dobrze dowodzony (początki kariery Suworowa), nie był liczny, nigdy nie przekroczył 50 tysięcy żołnierzy. Wojsko królewskie liczyło najwyżej 20 tysięcy. Wojna miała głównie charakter partyzancki. Watahy barskie napadały na królewszczyzny i dobra stronników króla, niszcząc je i grabiąc. Przy okazji rujnując kraj. Przypominały pod tym względem późniejszych o 180 lat żołnierzy wyklętych.

Ze względu na spodziewany sojusz z Turcją początkowo akcję skoncentrowano na Ukrainie. Gwałtowna agitacja antyprawosławna spowodowała wśród tamtejszej ludności wzrost nastrojów antypolskich, i tak silnych wskutek napięć socjalnych. Przyczyniło się to do wybuchu latem 1768 r. krwawej wojny chłopskiej o silnym zabarwieniu religijnym. Przewodzili jej Kozacy zaporoscy Maksyma Zaliźniaka i z milicji magnackich pod wodzą Iwana Gonty. Ukraina spłynęła krwią polskiej szlachty, księży i Żydów. Wieszano Polaków, Żydów i psy, według porzekadła: ***Lach, Żyd i sobaka – wse wira odnaka.*** W miasteczku Humań 20 i 21 czerwca wymordowano według Konopczyńskiego około 20 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy szukali tam schronienia.

Szlachta, do niedawna jawnie antyrosyjska, teraz modliła się o ratunek rosyjskiej armii. Ta wkroczyła, choć z opóźnieniem, i bunt chłopski krwawo stłumiła.

W tych okolicznościach konfederacja na Ukrainie szybko wygasła, w czerwcu 1768 r. wojska rosyjskie i koronne zdobyły Bar.

Po niepowodzeniach na Ukrainie ruch z dużą siłą odrodził się na ziemiach rdzennie polskich: w 1769 r. w Krakowskiem i na Mazowszu, w następnym ogarnął Wielkopolskę, Pomorze, a na koniec Litwę.

V.

Klęskę konfederatów spowodowała nie tyle przewaga wojsk rosyjskich i królewskich, ile ich własna nieroztropność i fanatyzm. Sfrustrowana brakiem upragnionej detronizacji

REBUS 1

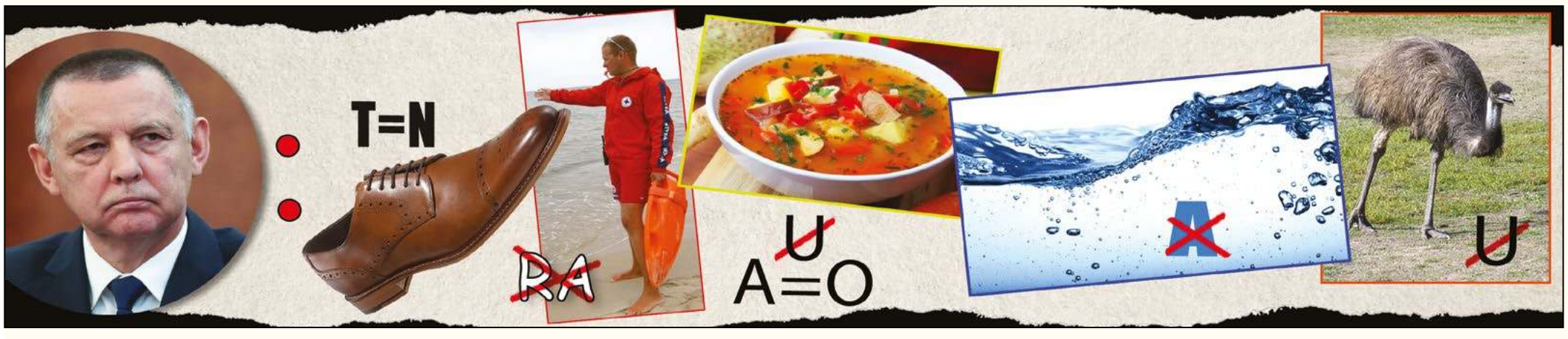

eprasa.pl 10b00941c8

Poniatowskiego Generalność 22 października 1770 r. zdecydowała się uroczystym aktem obwieścić bezkrólewie. Spodziewano się, że spowoduje to zwołanie nowej elekcji oraz zgłoszenie się zagranicznych pretendentów. Skutek był odwrotny. Nikt nie kwapił się do tronu w kraju pogrążonym w wojnie domowej i oferującym władcy niewiele więcej poza tytułem. Detronizacja ponadto pogrążyła konfederację w opinii europejskiej, tej oficjalnej, monarchom nie spodobał się pomysł, że zbuntowani poddani mogą detronizować władcę.

W kraju również oddźwięk nie był przychylny. Wyschły zagraniczne źródła finansowania, cofać się zaczęło społeczne poparcie. Gwoździem do trumny okazała się awanturnicza próba porwania króla, zaplanowana przez Pułaskiego i urzeczywistniona 3 listopada 1771 r. Zamach był nieudolny: król, ranny w głowę, zdołał uwolnić się po kilku godzinach, jeszcze w pobliżu Warszawy. Zamierzano go przewieźć do Częstochowy i tam wymusić abdykację. Zamach, uznany za próbę królobójstwa, przyjęto w Europie z oburzeniem, a w kraju też z niechęcią i zażenowaniem.

Po tym konfederacja już tylko dogorywała. Ostatni punkt oporu padł 14 grudnia 1772 r. Ujęci przez wojsko rosyjskie konfederaci zostali zesłani na Sybir, skąd wracali dopiero po kilku latach. Jeńców wojsk królewskich potraktowano łagodniej. Przywódcy poszli na emigrację. Zagrożony banicją „królobójca" Pułaski salwował się ucieczką do republikańskich Stanów Zjednoczonych, gdzie został generałem i bohaterem wojny z Anglią o niepodległość, w której to wojnie poległ.

VI.

Bezpośrednią konsekwencją konfederacji i wojny domowej było porozumienie trzech sąsiadujących z Polską mocarstw o pierwszym rozbiorze. Zwyciężył argument, że mniejsze państwo łatwiej będzie utrzymać w ryzach. Traktat podpisano 5 sierpnia 1772 r., Rzeczpospolita straciła 30 proc. terytorium z 4,5 milionem mieszkańców. Nadal jednak pozostawała dużym państwem z 9 milionami ludności.

Oprócz strat terytorialnych dotkliwą konsekwencją konfederacji barskiej było uwstecznienie nastrojów szlachty na pokolenia. Odczuli to już twórcy Konstytucji 3 maja w 1791 r. Wystrzegali się w niej zbytniego radykalizmu, zastrzegli panującą pozycję religii katolickiej, a apostazję zagrozili karą, niczego też nie zmienili w sytuacji chłopów pańszczyźnianych. Mimo to nie zdołali zdobyć większości w Sejmie Wielkim. Musieli konstytucję forsować podstępem w drodze swoistego zamachu stanu. Natomiast zawiązana w sprzeciwie i sponsorowana przez Rosję konfederacja targowicka została początkowo przez większość szlacheckiego narodu przyjęta entuzjazmem, wiwatami i dziękczynnymi nabożeństwami. Większość historyków ze wstydu pomija ten fakt milczeniem.

Konfederację barską od późniejszych insurekcji odróżniał przede wszystkim wsteczny, reakcyjny charakter i społeczny anachronizm. Trudno nie zgodzić się z opinią, że **„nazywanie tego nieskoordynowanego i destrukcyjnego ruchu pierwszym powstaniem polskim, poprzednikiem insurekcji kościuszkowskiej – jest oczywistym nieporozumieniem"** (cytat za „Królami elekcyjnymi").

VII.

Trudno dociec pobudek, dla których PiS, poszukując dla siebie tradycji, z zapałem kieruje się w stronę apologii ruchów szczególnie wstecznych i destrukcyjnych. Nieuctwo to i brak wyobraźni czy też poczucie ideowego pobratymstwa?

M.Z.

Wykorzystano m.in.:
* Władysław Konopczyński „Dzieje Polski Nowożytnej", t. II, Warszawa 1986;
* Emanuel Roztworowski, recenzja z Jerzego Michalskiego, „Schyłek konfederacji barskiej", w „Przeglądzie Historycznym" nr 4/1971;
* „Królowie elekcyjni", praca zbiorowa pod redakcją Ireny Kaniewskiej, Kraków 1997.

Podwieczorek w Adelmówku. Na wprost moja babka Brodaczowa z domu Frumkin – siostra terrorystki. Obok z siwą brodą mój pradziadek Brodacz. Bez brody Brodacz, jego syn, a mój dziadek. 4 siostry Brodaczówny. W drzwiach stoi pokojówka.

JERZY URBAN

Moja krwawa babcia

Nadszedł czas, żebym pokazał swoje korzenie. Są bardziej pokręcone od tych, którymi przechwalają się fetowani potomkowie żołnierzy wyklętych.

Moja babka po kądzieli, czyli matka matki, miała dziesięcioro rodzeństwa, w tym siostrę, dla mnie ciocię babcię. Osiągnęła ona światową sławę jako jedyna wówczas w Europie, a może na całym świecie kobieta, która zadyndała.

W cioci budzi się lew

Mordechajówna Frumkina, z zawodu terrorystka, urodziła się w Borysowie koło Mińska w roku 1873 jako córka bogatego Żyda. Pierwszy raz aresztowana została w 1898 r. w Łodzi za przynależność do Bundu, partii bezkrwawych żydowskich socjalistów. Odsiedziała rok więzienia w Witebsku, gdzie zradykalizowała się. Wstąpiła do partii socjalistów-rewolucjonistów, czyli eserowców. Obalali oni carat, stosując terror indywidualny. Uważali się za partię chłopską, chociaż nie mieli włościan w szeregach, lecz tylko sfanatyzowanych inteligentów. Mniemali, że gdy zabiją imperatora i jego pomocników, to z braku nosicieli zniknie sam carat. Po przewrocie bolszewickim SR wygrała wybory do konstytuanty, przez co Lenin kazał rozpędzić ten parlament. Potem lewe skrzydło SR wzięło udział w rządzie Lenina, ale źle się to skończyło dla tej partii. To tak w skrócie. Wróćmy do caratu…

W 1902 r. ciocia babcia w pojedynkę szykowała zamach na pułkownika żandarmerii w Mińsku. Rok później strzelała do burmistrza Odessy, hrabiego Szuwałowa. Partia uznała burmistrza za winnego pogromów antyżydowskich. Aresztowana została w Kijowie, bo ruchliwa to była babcia.

Rzuciła się tam z nożem na żandarmów. Sam nóż widocznie zachowała po zatrzymaniu, bo próbowała poderżnąć nim gardło przesłuchującemu ją generałowi Nowickiemu, szefowi żandarmów w Kijowie. Niezupełnie jej to wyszło. 23 maja owego roku skazana została za swe czyny na 11 lat katorgi w Gornym Zerentui.

Po rewolucji 1905 r. wystraszony imperator Mikołaj II ogłosił amnestię i odsiadkę skrócono Frumkinej o połowę, następnie jeszcze o 2 lata. Nie chciała przyjąć tych łask, odmówiła wyjścia zza krat. Zesłano ją na osiedlenie w okolicy Transbajkału. Uciekła stamtąd. W lutym 1907 r. w Teatrze Wielkim w Moskwie strzelała więc z rewolweru. Chciała upolować w jego loży mera Moskwy, generała Rainbowa, ale była krótkowzroczna. Moja matka twierdziła, że jej ciotka została wylosowana do tego dzieła w jej komórce partyjnej. Doniosła na nią tajna agentka Ochrany Zinajda Schuczenko-Gerngross.

Światowa sława cioci babci

Do więzienia w Moskwie, gdzie czekała na proces, towarzysze przemycili browninga. Postrzeliła z niego oficera straży żeńskiej części kryminału. Precyzując: w prawe ramię.

Moja babka, matka matki, pani Michalina Brodacz pojechała z Łodzi na moskiewski proces swojej dzielnej siostry. 25 czerwca 1907 r. sąd wojskowy skazał na śmierć moją bojową przodkinię. Dwa tygodnie później w więzieniu Butryki powieszono nieboraczkę, chociaż w końcu nikogo nie zabiła. Zadyndała za same starania.

Zdarzenie to jako bestialstwo caratu miało światowy rozgłos. Poeta M. Berdiagin napisał wiersz „O śmierci F. Frumkiny", który szedł tak: **„Inna ofiara wielkiej walki/ za udział i szczęście ludu…"** itd., po czym z uniesienia popełnił samobójstwo. Moja babka Brodaczowa była ponoć nieutulona w żalu po siostrze, która zamiast umrzeć na gruźlicę, jak wtedy było w modzie, skonała od stryczka.

Siedmioro dalszych jej krewnych o nazwisku Frumkin wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych. Losy dziewięciorga pozostałych braci i sióstr babci były zróżnicowane. W każdym razie tylko powieszona Frumkina uchodziła w rodzinie za królową zabójczej determinacji.

Jadłospis Szerszenowskiej

Matka opowiadała mi o innej jeszcze siostrze jej matki, która była bojową rewolucjonistką. Pamiętała ją jako ciocię Szerszenowską, gdyż takie nazwisko nosiła po mężu. Zsyłana na Syberię, ciotka ta uciekała i wtedy jeździła do Szwajcarii podreperować zdrowie w sanatoriach.

Moja babka i jej mąż fabrykant Marek Brodacz mieli rozległy dom letniskowy w Adelmówku (stacja kolejki Helenów między Łodzią a Zgierzem). Samych werand budynek liczył cztery. Szerszenowska w drodze nad Jezioro Lemańskie zatrzymywała się tam u siostry.

Jako eserówka uznawała tylko menu chłopsko-robotnicze. Była pewna, że solidarnie żrąc to, co lud, wyzwoli go swą dietą z nędzy, upodlenia i ciemnoty.

Kucharka moich dziadków i jej pomocnice musiały dla rewolucjonistki gotować odrębne dania – kapuśniak i kaszę – oraz piec dla niej specjalny czarny chleb gliniasty. Nienawidziły więc bojowniczki o sprawę ludu, chociaż personel kuchni się do niego zaliczał.

W latach 90. XX w. pojechałem z Daniszewską obejrzeć, co zostało z dawnej letniej siedziby moich dziadków goszczących tam Szerszenowską. Niegdyś dom okalały kilkunastohektarowe ogród, park i sad. Teraz posiadłość podzielona była na małe działki. Na nich za socjalizmu zbudowano kilkadziesiąt klocków z betonu. Wznieśli je sobie drobni powojenni handlarze i defraudanci. Swoje domki nazywali willami.

Dom dziadków stał i się walił. Zasiedlony w imię sprawiedliwości społecznej mnogimi rodzinami biedoty, za wczesnego kapitalizmu był w ruinie. Lokatorzy dowiedzieli się, że oto przyjechał wnuk dawnego właściciela Brodacza, nowobogacki Urban znany im z TVP, wylegli więc z ruin. Próżno mówiłem, że nie, nie zamierzam odzyskiwać własności domu.

Nadzieja, że ich wysiedlę, fundując w zamian nowe mieszkania, podobno nie zgasła po moim odjeździe. Żyła tak długo, aż dom się zawalił. A przecież w latach 90. byłem już nauczony, że na żadne budynki nie wolno mi patrzeć, chyba że jest to Zamek Królewski albo katedra. Gdy dekadę wcześniej pracowałem jako rzecznik rządu, mieszkałem w Wilanowie i spacerowałem po nim z psem. Budowano tam liczne wille. Gdy tylko stawałem, żeby pogapić się na budowę i dać się pieskowi wyszczać, płynęły gdzie trzeba donosy ludności, że doglądam budowy swojej wypasionej siedziby, co to więc za socjalistyczna władza, która buduje sobie pałace.

Towarzyszka podróży wodza

Wracając do moich przodków Frumkinów: z dwojgiem zetknąłem się żywcem. Było to we Lwowie. W 1940 r. mieszkaliśmy tam pod władzą radziecką jako uchodźcy z okupowanej przez Niemców Łodzi. We Lwowie bywała u nas w domu kuzynka mojej matki Bronka D. przybyła z Leningradu. Pamiętam tylko pierwszą literę nazwiska jej ojca, które figuruje we wszystkich książkach o rewolucji 1917 r. w Rosji i w biografiach Lenina. Poświęca mu się tylko jedno zdanie, trudno więc je odszukać. Ojciec Bronki ożeniony był z Frumkinówną, ciotką mojej matki, inną niż ta, która podrzynała gardła i strzelała do carskich generałów.

Jej mąż mienszewik w czasach I wojny wraz z żoną z domu Frumkiną był na emigracji w Szwajcarii, podobnie jak Lenin. Rosyjscy lewicowi wychodźcy stykali się ponadpartyjnie. D., mąż cioci Frumkiny, był osobą, która pierwsza zawiadomiła przyszłego wodza rewolucji, że ona wybuchła i że carat upadł. Przez to właśnie towarzysz D. przeszedł do historii. Potem z Leninem jechał do Rosji w zamkniętym niemieckim wagonie wraz z żoną, która była w ciąży. Ciocia D. *de domo* Frumkin wiozła w macicy płód Bronki. Ta to embrionalna towarzyszka podróży Lenina bywała u nas we Lwowie. Ojciec Bronki za rządów Kiereńskiego pełnił funkcję wiceministra. W 1940 r., gdy Bronka nas odwiedzała, jej rodzice już oczywiście nie istnieli.

Zdobycie jesionki

W radzieckim Lwowie zjawił się u nas także inny Frumkin, brat mojej babki. Zadzwonił do drzwi i nie wchodząc, podał przez próg wizytówkę. Wynikało z niej, że jest profesorem, członkiem Akademii Nauk ZSRR i zwierzchnikiem archiwów państwowych w całej federacji radzieckiej. Zapytał przez próg, który bał się przekroczyć, czy ojciec mógłby mu sprzedać swoją jesionkę. Papa dał ją przybyszowi w prezencie na schodach, uczony podziękował i spiesznie poszedł sobie.

W owym roku z głębi Rosji przyjeżdżało do Lwowa wielu ludzi pragnących się obsprawić, gdyż uchodźcy z Polski wyprzedawali przedwojenną garderobę. Było jednak coś wstrząsającego w widoku prominentnego uczonego, który odbywa daleką podróż w pożądaniu używanego palta. Jeszcze bardziej przygnębiał strach akademika przed wypiciem herbaty z bliską, ale zachodnią rodziną. A był to przecież lękliwy brat brawurowej terrorystki. Ten przybywający po palto stryj matki był ostatnim śladem po rodzie Frumkinów w Związku Radzieckim.

Wielki terror 1937–1938 był bowiem bardziej udany niż terror Frumkiny, córki Mordechaja. Tak też rosły moje rosyjskie korzenie – od dzielności do lękliwości. Za to po mieczu mam gładkie pochodzenie.

Przodkowie ojca Urbachowie nie operowali nożami ani bronią palną, a rodzinę miewali nie na Wschodzie, ale w Niemczech i Francji. Tam też studiowali. Rozczarowali się do Niemiec zapewne wtedy, gdy Hitler przybył do Polski i zagazował kogo tylko z Urbachów złapał, a ręce miał chwytne. Po tych doświadczeniach moja rodzina jest polska bez naleciałości, ale za rządów PiS narodowości tej trzeba się wstydzić.

Chętnie ufundowałbym powieszonej cioci babci okazały nagrobek – nie w hołdzie dla terroru, ale dla przejawów dzielności w naszej na ogół tchórzliwej rodzinie. Gdzie jednak w Rosji szukać grobu? Potrafi to tylko IPN, ale nie obejmuje on staraniami powieszonej nie bez racji Żydówki. Woli zastrzelonych katolików. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Bezpieka i jej „Solidarność”

Podziemie finansował Ronald Reagan przy pomocy Czesława Kiszczaka.

O pomocy materialnej – w pieniądzach i sprzęcie – którą otrzymała „Solidarność” w latach 80. XX w. krążą legendy. Kto dawał? Ile? Komu? W jaki sposób? CIA? Wywiad niemiecki za pomocą banków w Luksemburgu? Bank Ambrosiano i watykański Instytut Dzieł Religijnych? Ciekawe i sensacyjne te sprawy do tej pory nie znalazły solidnego naukowego opracowania. Żyjących świadków jest coraz mniej, a indagowani sporadycznie przez dziennikarzy wypowiadają się niechętnie albo lekceważąco.

Archiwa dotyczące pomocy dla podziemnej „S” – będące w gestii Archiwum Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku – nie są dostępne do tej pory.

Sala D

Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku. Wystawa stała. Ekspozycja zajmuje 3000 mkw. na dwóch kondygnacjach wielkiego budynku. Podzielona jest na 7 sal. Zwiedzający spędzają tu średnio dwie godziny. Kopie archiwalnych dokumentów, rękopisy, zdjęcia i projekcje wideo, interaktywne instalacje. Sala D zatytułowana „Wojna ze społeczeństwem”: **„Wprowadzenie stanu wojennego w Polsce wywołało żywiołową reakcję na całym świecie. W wielu krajach pospiesznie organizowano pomoc i zbiórki pieniędzy, wysyłano transporty z lekami, odzieżą, żywnością i sprzętem medycznym. Na fali poparcia dla wolnościowych marzeń Polaków w wielu krajach powstały stowarzyszenia solidarności z »Solidarnością«”.** W Sali D kilka maszyn drukarskich i powielaczy. Na ściance z dykty wypisana Struktura Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. W ramach struktury Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Obok zdjęcie, na którym stoi 6 postaci. Trudno dostrzec kto. Dobrze nie widać, bo zdjęcie jest niewielkie, odległość 4 m, a podejść nie można.

Biuro

Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli oficjalnie było odpowiedzialne za utrzymywanie współpracy z zagranicznymi związkami zawodowymi. Nieoficjalnie **było kluczowym ośrodkiem do pozyskiwania i przekazywania pieniędzy podziemnej „S” w Polsce**. Ze względu na problemy z zaopatrzeniem w Polsce i zagrożenia związane z zakupami biuro zajmowało się zakupem sprzętu **technicznego i dostarczaniem go do kraju. Kluczowym partnerem była AFL-CIO, największa federacja związków zawodowych w Stanach Zjednoczonych, w skład której wchodzi ponad 50 central związkowych. AFL-CIO finansowana była przez** rząd amerykański poprzez rozmaite programy zatwierdzane przez Kongres (głównie *National Endowment for Democracy* – Narodowy Fundusz dla Demokracji) oraz programy, o których Kongres nie musiał wiedzieć, bo ukryte były w budżecie CIA. To przez tę organizację związkową szły główne środki w okresie zimnej wojny na walkę z komunizmem w Ameryce Łacińskiej i Europie.

Brukselę wybrano na siedzibę biura, gdyż mieściły się tam siedziby dwóch głównych międzynarodowych związków zawodowych: Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych (ICFTU) oraz Światowej Konfederacji Pracy (WCL), przy których biuro było akredytowane, oraz niektórych instytucji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Była tam też siedziba NATO.

Z ramienia podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „S” (TKK) nadzór nad nim sprawował Bogdan Lis i Jacek Merkel. Oficjalnie działalność biura finansowana była wyłącznie przez zachodnie związki zawodowe. Biuro podporządkowało sobie wszystkie delegatury „S” we wszystkich krajach. Choć nie wszyscy chcieli takiego podporządkowania, ilość przechodzących przez Brukselę pieniędzy wywoływała bowiem zazdrość, a wśród pozostających na emigracji działaczy „S” narastały podejrzenia o współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa w kraju.

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Przez dekadę, w latach 1982–1991 – a zatem w najbardziej newralgicznych dla tzw. pierwszej, a potem podziemnej „Solidarności” biurem kierował Jerzy Milewski. Z Polski otrzymywał zarys celów, jakie powinien osiągać; miał pełną swobodę w wyborze środków.

Milewski miał być zarejestrowanym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa jako TW „Franciszek”.

„Franciszek”

Milewski pracował w Instytucie Maszyn Przepływowych Polskiej Akademii Nauk w Gdańsku i tam zapoczątkował strajk w sierpniu 1980 r. Po sierpniu zasłynął jako przewodniczący tzw. Sieci, pozastatutowej struktury poziomej „S”, skupiającej 17 komisji zakładowych najważniejszych zakładów w Polsce. W chwili ogłoszenia stanu wojennego był w USA. Wyjechał 11 grudnia 1981 r. do Nowego Orleanu na konferencję naukową. Nie zdecydował się wrócić.

W maju 1982 r. Bogdan Lis jako osoba odpowiedzialna w TKK za kontakty zagraniczne wysłał do Milewskiego list, a jego kopie do Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy, w którym wyraził potrzebę ujednolicenia działań „Solidarności” poza granicami kraju. W lipcu 1982 r. w Oslo, na spotkaniu przedstawicieli funkcjonujących na Zachodzie komitetów i biur „Solidarności” powołano Biuro Koordynacyjne. Choć osoba Milewskiego wywołała wiele kontrowersji, wobec woli TKK został wybrany na przewodniczącego. Był nim aż do likwidacji biura w 1989 r.

Bomba wybuchła, gdy na początku lat 90. oficyna BGW wydała wywiad-rzekę z gen. Czesławem Kiszczakiem „Generał Kiszczak mówi prawie wszystko”. Kiszczak opowiedział, że brukselskie biuro „Solidarności” od początku było narzędziem Służby Bezpieczeństwa. Jego agenci w każdym zakupionym i przemycanym potem do Polski sprzęcie poligraficznym montowali mikronadajnik, który emitował fale radiowe i umożliwiał precyzyjne zlokalizowanie sprzętu.

Mało tego.

Kiszczakowa Służba Bezpieczeństwa miała poprzez biuro kierowane przez Milewskiego „zamawiać” i kupować na Zachodzie sprzęt elektroniczny tzw. podwójnego zastosowania – oprócz normalnych zastosowań cywilnych mogący posłużyć rozwojowi techniki wojskowej.

Taki zaś był objęty embargiem do ZSRR i krajów bloku wschodniego i znajdował się na liście amerykańskiego Komitetu Koordynacyjnego Wielostronnej Kontroli Eksportu (COCOM).

Od początku przeciwko Milewskiemu wypowiadała się Irena Lasota, współzałożycielka i przewodnicząca nowojorskiego Komitet Poparcia „Solidarności”. Po latach, w 1992 r., udzieliła głośnego wywiadu dla „Kulis”, w którym po raz pierwszy publicznie osoba kojarzona z „Solidarnością” zdeprecjonowała działalność biura: **„W 1984 r. po raz pierwszy otrzymałam niepokojącą wiadomość z Polski, że offsety wysłane przez Biuro Brukselskie miewają wmontowane mikronadajniki, które pozwalają bezpiece namierzyć sprzęt i drukarnie. W 1986 r. zaczęła się fala wpadek całych transportów organizowanych przez Biuro Brukselskie. W Świnoujściu Służba Bezpieczeństwa przejęła transport wartości ok. 350 tys. dolarów. Dlaczego uporczywie organizowano tak wielkie przerzuty, zamiast przesyłać sprzęt kilkoma kanałami w małych porcjach? Okazało się również, że w transportach przejmowanych przez SB znajdowały się bardzo skomplikowane komputery. Podziemie nie potrzebowało takiego sprzętu do składania gazet i książek. Te komputery objęte były zakazami COCOM-u, zastrzeżone wyłącznie dla państw NATO. Służby specjalne najwidoczniej wpadły na pomysł, że najlepszym sposobem do przemytu tego specjalistycznego sprzętu na Wschód jest udawanie, że transporty przeznaczone są dla »Solidarności«. Potem wystarczało taki transport przejąć”. I jeszcze: „Gdyby okazało się, że wynikało to nie tylko z niekompetencji Jerzego Milewskiego, sprawa byłaby bardzo poważna. Dotyczyłaby świadomej dekonspiracji struktur podziemnych. Trzeba pamiętać, że Biuro Brukselskie posiadało więcej informacji na temat konspiracyjnej »Solidarności«, niż ktokolwiek, nawet w Polsce”.**

Nazwisko Milewskiego, jako agenta Kiszczaka, zostało zamieszczone na tzw. liście Macierewicza.

Kasa

Ile przez Biuro Koordynacyjne „Solidarności” w Brukseli przeszło pieniędzy? Kwota bez wielkiej archiwalnej kwerendy nie do policzenia.

Idesbald Goddeeris, belgijski badacz, podaje, że samo AFL-CIO, oprócz tego, że finansowało utrzymanie biura i pensje pracowników (450 tys. dolarów rocznie), to przeznaczało najpierw 200 tys. dolarów, a potem 300 tys. dolarów rocznie na pomoc dla Polski. Oprócz tego wysyłało drogą morską sprzęt i dary. Są to rachunki fragmentaryczne, pobieżne, szacunkowe. Pieniądze przekazywały – choć w mniejszym wymiarze – związki zawodowe z Francji, Kanady, Norwegii i Włoch. Wspomniana Irena Lasota, mieszkająca za granicą działaczka społeczna i polityczna, która była od 1976 r. konsultantem dla AFL-CIO w sprawach Europy Wschodniej, mówiła o kwocie miliona dolarów rocznie płynących do Biura Koordynacyjnego od AFL-CIO.

Aleksandra Aftaruk, też zajmująca się tym tematem, która miała dostęp do archiwów w Instytucie Hoovera w Stanach Zjednoczonych podaje, że w latach 1982–1989 środki biura w Brukseli (włącznie z wpływami oddziału biura w Paryżu) wyniosły ponad 7 mln dolarów, z czego 5,5 mln przeznaczono na pomoc dla podziemnej „Solidarności” w Polsce. To też rachunki niepełne.

Warto je zestawić z informacją, że przeciętne miesięczne wynagrodzenie w Polsce wynosiło wówczas ok. 25 dolarów.

Minister

Milewski po powrocie do Polski był szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego, ministrem stanu w Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy i wiceministrem obrony narodowej. Za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego był ponownie szefem BBN oraz przewodniczącym rady nadzorczej Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Zmarł w 1997 r. Nigdy nie wypowiadał się na temat pieniędzy płynących z Zachodu dla „Solidarności”.

Mimo że pieniądze i tajne służby rozpalają wyobraźnię – na ten temat do dziś panuje zgodne milczenie. Instytut Pamięci Narodowej – choć posiada olbrzymie środki, możliwości i ma ustawowe umocowanie jako placówka badawcza, archiwistyczna i edukacyjna – nie prowadzi badań w tej sprawie.

TADEUSZ JASIŃSKI
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Wykorzystano:
- „Tajemnica Biura Brukselskiego” z Ireną Lasotą rozmawia Aleksandra Zawłocka, „Kulisy. Express Wieczorny”, 31 lipca 1992 r.;
- Aleksandra Aftaruk „Zwyczajny wykonawca czy współtwórca polityki zagranicznej podziemnej »Solidarności?«” w „O Polskę wolną! O Polskę Solidarną! NSZZ »Solidarność« w latach 1980–1989”, zbiór studiów pod redakcją Wojciecha Polaka.
- Idesbald Goddeeris „Ministerstwo Spraw Zagranicznych »Solidarności«”. Biuro Koordynacyjne NSZZ »Solidarność« 1982–1989”.

REBUS 2

eprasa.pl 10b00941c8

Państwo PIS

Niemiecki Pilecki

Jak Polska w Berlinie przegrywa wojnę o pamięć.

Zdjęcia MACIEJ MIKOŁAJCZYK

Informacja dla fanów Hansa Klossa: najlepsze kasztany są na placu Paryskim w Berlinie. Żeby Niemcom wybić z głowy polskie obozy koncentracyjne, w 80. rocznicę inwazji sowieckiej na Polskę uruchomiono tam bowiem filię Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego.

Edukowanie żywiołu niemieckiego rozpoczęto od prezentacji wystawy „Ochotnik. Witold Pilecki i jego misja w Auschwitz", co zrozumiałe, gdyż – jak zauważył wicepremier Piotr Gliński podczas wernisażu – **„Pilecki to oficer polski, ale równocześnie bohater całej ludzkości".**

Żeby się przekonać, czy ludzkość, a zwłaszcza jej niemiecka część wie, że rotmistrz jest bohaterem globalnym w rodzaju Aleksandra Macedońskiego, Napoleona Bonapartego lub Antoniego Macierewicza, ruszyłem na podbój Berlina.

Czeski bohater

Oddział Instytutu Pileckiego leży nieopodal ambasady Francji i 100 m od Bramy Brandenburskiej, najbardziej znanego berlińskiego zabytku. Miejscówka wręcz wymarzona, bo przez okolice przewalają się tłumy turystów. Podstępnie pytam wałęsających się przy bramie Niemców, jak trafić do Instytutu Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego. Nie mają pojęcia. Czy wiedzą, kim był rotmistrz Pilecki? Na 26 indagowanych ani jeden nie potrafi wydukać choć słowa o bohaterze. Nie wiedzą również o wystawie mającej dokonać wyłomu w niemieckich łepetynach.

Chińczyk daje mi komórkę i prosi, żeby pstryknąć mu fotkę na tle hotelu Adlon. Pstrykam. Mówi, że nie wie, gdzie jest Instytut Pileckiego, ale wie, iż Pilecki to czeski bohater narodowy, który w czasie wojny z własnej woli dostał się do polskiego obozu koncentracyjnego, no i od dłuższego czasu głowi się, po co Czech pchał się do obozu, bo wiadomo, że Polacy Czechów za bardzo nie lubią.

Żółtek nie jest zadowolony z fotek, dlatego znowu staje pod Adlonem, mówi ***suprise,*** a ja zwalniam migawkę.

Ukryta opcja

W tym, że w berlińskim przyczółku polskiego Jad Waszem można obejrzeć ekspozycję poświęconą bohaterowi ludzkości, nie sposób się zorientować, bo na placu Paryskim nie ma ani tablicy informacyjnej, ani skromnego choćby banneru, a niewielki napis „Pilecki Institute" nad drzwiami wejściowymi do efektownych zaliczyć trudno. Przez godzinę obserwuję wejście. Do instytutu nie zagląda nawet pies z kulawą nogą. Zaglądam więc ja.

– Zapytaj, czy wjazd jest za darmochę – mówię do tłumacza w języku rotmistrza Pileckiego.

Dobrze, że bez przecinka **„kurwa"**, bo recepcjonista zrywa się zza biurka i po polsku mówi: – Miło słyszeć polszczyznę.

Po naszemu gada wykwintnie niczym prezes Kaczyński, myślę „prawdziwy Polak", ale po chwili nabieram podejrzeń, bo „r" wymawia jak ukryta opcja niemiecka i „zdradzieckich mord" za Chiny nie wypowiedziałby jak prezes. Rene okazuje się Niemcem zarażonym polskością.

– Kilka lat temu dowidziałem się, że moi dziadkowie pochodzą z Waldenburga i że dziś to miasto nazywa się Wałbrzych i leży na terenie Polski – opowiada.

– Postanowiłem odnaleźć swoje korzenie. Przy okazji pojechałem do Auschwitz i tam pierwszy raz usłyszałem o rotmistrzu Pileckim. Zakochałem się w nim i w waszym kraju. Tak bardzo, że zamieszkałem w Warszawie i uczyłem niemieckiego w podstawówce.

Początku pobytu w polskiej stolicy Rene nie wspomina najlepiej. Gdy kulawą polszczyzną z niemieckimi wstawkami poprosił o bilet tramwajowy, od kioskarki usłyszał, że nie po to Warszawa tyle wycierpiała od Niemców, żeby teraz naziści bilety tramwajowe sobie kupowali. Pojechał na gapę. Ale zawziął się i polszczyznę zaczął szlifować intensywniej.

Wrócił do Niemiec, aby studiować polonistykę na Uniwersytecie Poczdamskim. Gdy się dowiedział, że Instytut Pileckiego poszukuje kogoś do pracy w recepcji, od razu się zgłosił. Umiejętność operowania polskim przydaje mu się bardziej niż niemiecki.

– Ponad połowa zwiedzających wystawę to Polacy, reszta to Niemcy i inne nacje – twierdzi Rene.

Ja, Polak z krwi i kości, także przystępuję do zwiedzania.

Niemiec wiesza mamę

Eksponaty opisane są po niemiecku i angielsku, w końcu nie po to otwierano w najdroższym sercu Berlina instytut, aby edukować Polaków. Można obejrzeć klucz rozmiaru 22, którym Pilecki wykręcał zawiasy od drzwi piekarni, co umożliwiło nawianie z Auschwitz, szablę rotmistrza i „Enigmę", z którą bohater ludzkości akurat niewiele miał wspólnego. Są również rysunki wykonane w 1947 r. przez uczniów warszawskich podstawówek. Dzieci miały wyrazić swoje przeżycia wojenne; wyraziły, rysując pana ze swastyką na rękawie i panią wiszącą na szubienicy. Podpis: **„Niemiec wiesza mamę".** Jest także rysunkowa instrukcja dla SS-manów służących w obozach. Gdy są uśmiechnięci i prowadzą rozmowy towarzyskie, to ***nicht gut,*** bo więźniowie palą papierosy, byczą się, patrzą na chmurki i grają w karty. Gdy strzelają więźniom w łeb lub tłuką ich bykowcem, to ***sehr gut,*** bo trup ściele się gęsto i krew płynie obficie, a pozostali przy życiu pracują na pełnych obrotach.

Napięte stosunki

Wystawa jest nowoczesna (nie brakuje multimediów) i dobrze pomyślana, a momentami wstrząsająca – o Pileckim, życiu w Auschwitz i w Polsce podczas II wojny Niemcy mogliby się sporo dowiedzieć. I polskie obozy koncentracyjne nie przeszłyby im łatwo przez gardło.

Problem: Ekspozycję zwiedzałem 3 godziny, w tym czasie do instytutu nie zawitał choćby jeden gość.

Biuro prasowe Instytutu Pileckiego twierdzi, że **„wystawę odwiedza kilkadziesiąt osób dziennie i są to osoby prywatne (berlińczycy, turyści), a także niemieccy uczniowie w ramach współpracy ze szkołami".** Zaznacza także, iż **„ekspozycja została pozytywnie odnotowana przez »Der Spiegel«, »Frankfurter Allgemeine Zeitung« i telewizję RBB (Berlin/Brandenburgia)".**

Media niemieckie rzeczywiście odnotowały otwarcie wystawy, ale na wernisaż nie przybył żaden przedstawiciel niemieckiego rządu. Nie ma co kryć: od czasu pobrzękiwania szabelką przez PiS w sprawie reparacji wojennych i masowego wymiotowania w Torgau delegacji ze Strzegomia stosunki między Warszawą a Berlinem są wyjątkowo napięte.

Polska końcówka

– Moi dziadkowie też byli ofiarami terroru, bo ich prześladowano i wysiedlono, dlatego dobrze rozumiem Polaków – mówi Rene na pożegnanie.

Nóż otwiera mi się w kieszeni, lecz zaciskam zęby, opuszczam instytut i prę na zachód słynną Unter den Linden. A na zachodzie bez zmian: napotkani Niemcy nie mają bladego pojęcia, gdzie jest Instytut Pileckiego, że Pilecki to bohater ludzkości, a na placu Paryskim można za *free* obejrzeć poświęconą mu wystawę. Kompletna *terra incognita.*

Turek Mustafa sprzedaje kiełbasę z bułką za 3 euro.

– Pilecki? To jakiś piłkarz? – błądzi we mgle z uśmiechem zachęcającym berlińskich pederastów do kupowania przypalonych kiełbas.

Oj, Mustafo, kozi synu, gdybyś wiedział, że bez Pileckiego Mur Berliński nie runąłby nigdy, nie szczerzyłbyś kłów głupawo.

Mijam banner z całującymi się samcami rasy ludzkiej. W wiernej wartościom Polsce rzecz nie do pomyślenia.

Co i rusz drogowskazy wiodące do Muzeum Żydowskiego. Żeby tam trafić i poznać żydowską narrację, można iść z zamkniętymi oczami, o Instytucie Pileckiego i wystawie nigdzie ani słowa.

Zmieniam taktykę.

– W 1941 roku Witold Pilecki na ochotnika trafił do obozu koncentracyjnego w Auschwitz, aby zorganizować ruch oporu. Czy Pilecki był: a) Bułgarem; b) Estończykiem; c) Polakiem? – pytam.

Rezultat: z dwudziestu indagowanych połowa twierdzi, że Bułgarem, zapewne z powodu skojarzenia z pożarem Reichstagu, trzech, że Estończykiem, w cel trafia siedmiu wyłącznie z powodu polskiej końcówki.

Szydło z wora

Przed jarmarkiem bożenarodzeniowym na Gendarmenplatz nieoczekiwany zwrot akcji.

– Witold Pilecki to wielki polski bohater, bo dobrowolnie trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, żeby potem uciec i opowiedzieć światu o strasznych zbrodniach, jakich dopuszczali się tam Niemcy, a po wojnie został zgładzony przez komunistów – mówi po niemiecku mężczyzna z wielkim plecakiem.

Stoję skamieniały z 10 sekund. Zanim dochodzę do siebie, przebywający nieopodal dżentelmen po polsku proponuje posiadaczowi plecaka, żeby opowiedział jeszcze o Katyniu. Wyłazi szydło z wora: plecakowicz jest bezdomnym Polakiem, od dwóch lat żyjącym w Berlinie. Wiedzy o Pileckim nie zaczerpnął na wystawie, tylko z książek, bo w Polsce 3 lata siedział w więzieniu.

Nie mam już siły pytać o Pileckiego. Na szczęście bohaterów u nas dostatek.

Wąsy we krwi

Za eurasa włażę na jarmark, wykidajło przeczesuje mi plecak, patrzy w oczy badawczo. Bohaterski kierowca z Polski przed trzema laty uratował Niemców przed Holokaustem, tocząc nierówną walkę z terrorystą rozjeżdżającym uczestników jarmarku. Walkę wyjątkowo nierówną, bo Polak był martwy, ale i o tym bohaterze w niemieckiej pamięci nie ma śladu. Na otarcie łez kojarzą Polaka z kłem narwala.

Na jarmarku poruszenie, bo na glebę pada wąsacz i krwawi. Ochrona szaleje, milknie dęta orkiestra, ludzie rozbiegają się po kątach, nerwowo zerkają na boki. Wokół placu rozstawione są betonowe zapory, ciężarówką wjechać nie sposób, ale ciapaci mogli znaleźć inny sposób na wyrażenie niechęci do zachodniej cywilizacji. Lecz wąsaty nie padł ofiarą zamachu terrorystycznego, tylko gapiostwa – potknął się i wyrżnął głową w bruk. Gdy jest bandażowany, wszystko wraca do normy i orkiestra znowu rzępoli „Cichą noc".

Przedzieram się do Chackpoint Charlie. Za komuny było to najsłynniejsze przejście graniczne między Berlinem Wschodnim i Zachodnim, tu granicę między światem zniewolonym i wolnym przekroczył pułkownik Ryszard Kukliński. Każdy Niemiec powinien wiedzieć, kto to był i ile świat mu zawdzięcza.

– Ryszard Kukliński? Nie, nie słyszeliśmy – mówią Niemcy spotkani przy punkcie granicznym, dziś robiącym za turystyczną atrakcję.

Polska w Berlinie przegrywa wojnę o pamięć na wszystkich frontach.

Do ojczyzny wracam ze spuszczoną głową, powoli niczym żołnierz z niemieckiej niewoli.

Pilecki *for ever*

Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego zatrudnia 120 pracowników, w tym 9 w Berlinie, dysponuje budżetem w kwocie 75 mln zł, mniej więcej takim, jak Polska Akademia Nauk. Biuro prasowe instytutu nie odpowiedziało na pytanie, ile kosztowało utworzenie berlińskiego oddziału, wyjawiło natomiast, że **„budżet placówki w Niemczech wynosi milion euro i kwota ta obejmuje koszty najmu, funkcjonowania biura, realizacji umowy z Bundesarchiv, dotyczącej poszukiwań archiwalnych i digitalizacji, projekty edukacyjne, w tym już zrealizowane: wystawa o Witoldzie Pileckim i projekt Exercising Modernity/Ćwiczenia nowoczesności".**

PAP podała, że kolejna filia instytutu niebawem powstanie w Izraelu, a w późniejszym czasie w kilku innych państwach.

Instytut podlega Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, co oznacza, że realizuje politykę historyczną rządu. A polityka historyczna rządu polega na histerycznym przekonywaniu ludzkości, że jesteśmy narodem herosów, a nie szmalcowników, co przynosi skutki odwrotne od zmierzonych. Świat nieprędko się dowie, że Pilecki to bohater globalny.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

eprasa.pl 10b00941c8

Korespondencja z Kuby.

Wakacje w socjalizmie

Choć 60 procent mieszkańców wyspy to katolicy, Boże Narodzenie jest legalne dopiero od 22 lat.

Zostało oficjalnie uznane w 1997 r. w ramach przygotowań do wizyty J.P.2. Coca-cola wciąż pozostaje na indeksie. Przed Nowym Rokiem mieszkańcy palą lalki, żeby kolejny był naprawdę dobry.

Za zabójstwo człowieka: 15 lat więzienia, a krowy – nawet 25. Krowy są rządowe. Policzone i zarejestrowane. Jeśli własność prezydenta Miguela Díaza-Canela padnie, opiekun musi wykazać, że nie przyczynił się do jej śmierci. Zeznania poświadcza rządowy weterynarz.

Kubańczyk nie ma krowy, ale ma dom. W drodze do Santa Clara przyglądamy się nieruchomościom. Zabrudzone elewacje, kulawe płoty. Jak gdyby brakowało farby, gwoździ albo nie chciało się chcieć. Za to każda chałupa ma przed wejściem tarasik, a na niej fotele, koniecznie 2. Drewniane albo metalowe, ze strupami farby, pamiętające czasy *guerrillera* Che Guevary.

Kilka godzin po opuszczeniu samolotu wiemy, że nie Fidel Castro, ale Che jest na Kubie wszechobecny. Na pomnikach, kartkach pocztowych, magnesach, kubkach, breloczkach. Skomercjalizowana twarz rewolucji.

Przydomowe działki, tak małe, że dobra baba dupą zasiądzie. Trawników brak. Tylko chwasty i śmieci. Na najbardziej zadbanych posesjach w tym śmietniku doniczki z ledwo zipiącymi kwiatami. W kraju będącym wielką naturalną szklarnią, w którym przeciętna pensja nie przekracza 40 dolarów w ogródkach ani śladu skopanej ziemi, grządki z sałatą czy pietruszką.

Che

„Wybacz, Hawano, ale najbardziej rewolucyjnym miastem Kuby jest Santa Clara” – poucza przewodnik Lonely Planet. Geograficzne serce Kuby Che Guevara wyzwolił pierwsze. Był rok 1958, wkrótce potem upadł reżim Batisty.

Guevara to dzieciak z bogatej argentyńskiej rodziny. Lekarz. Wielbiciel Marksa, zagorzały wróg USA. Z Fidelem Castro spiknął się w 1955 r. Świetnie wykształceni chłopcy z dobrych domów, zakochani w rewolucji, która mogła im tylko zaszkodzić. Przegadali 10 godzin.

W nowej Kubie Che został szefem Banku Narodowego i ministrem przemysłu. Po kilku latach wyjechał do Boliwii nawoływać Amerykę Łacińską do walki z amerykańskim imperializmem. Schwytany przez Boliwijczyków, po konsultacjach z Waszyngtonem stracony. W 20. rocznicę śmierci w Santa Clara postawiono mu pomnik. W 30. rocznicę – mauzoleum. Fidel Castro sprowadził truchło i zapalił wieczny znicz.

Żeby odwiedzić Che, trzeba kupić bilet i stanąć w kolejce. Obok czeka grupa kubańskich uczniów w mundurkach. Z nabożeństwem rozmawiają o Guevarze. Podziw nie znika, gdy oglądamy rozpięte w gablotach spodnie przywódcy. To on rozkułaczył obszarników. Zakładał spółdzielnie produkcyjne. Skonfiskował ziemię należącą do amerykańskich korporacji. A przede wszystkim nauczył Kubańczyków czytać.

Lekarze

W podróży przez Kubę towarzyszy nam Mateo w wypłowiałym jasnozielonym mundurze. Grupy obcych nie mogą snuć się bez opiekuna.

– Żołnierz – mówi o sobie. – Jestem po to, żeby ułatwiać.

W ocenie Matea na Kubie żyje się godnie. Płace są niskie, bo prawie wszystko jest za darmo. Che rozesłał po kraju 100 tys. „Brygad czytania i pisania”. Dziś każde dziecko od 6. do 15. roku życia musi chodzić do szkoły. Wskaźnik alfabetyzacji taki jak w Europie.

Przestępczość w zasadzie nie istnieje. Nikt nie szykanuje homoseksualistów. Operacje zmiany płci są legalne i dofinansowywane przez państwo.

Kuba ma najwyższy na świecie stosunek liczby lekarzy do liczby pacjentów. Na 11 milionów mieszkańców przypada 70 tysięcy wykwalifikowanych doktorów.

– Lekarze są towarem eksportowym – podkreśla Mateo. – Wypożycza ich np. Kanada. Pracują tam, gdzie nie chcą miejscowi, na północy kraju. Ilu wraca, gdy kontrakt się kończy? Mateo nie słyszy pytania. W zamian podsuwa zadrukowany zeszycik.

– Książeczka reglamentacyjna – wyjaśnia.

Państwo daje każdemu gospodarstwu domowemu minimalne racje żywnościowe po gwarantowanych cenach. Miesięcznie należy się szklanka oleju, 5 jaj…

Nie potrafi wyjaśnić, dlaczego wskaźnik urodzeń na wyspie szczęśliwej należy do najniższych na półkuli zachodniej. Średnio na rodzinę przypada jedno dziecko – jak do niedawna w Chinach, ale bez państwowego przymusu.

Fot. BOŻENA DUNAT

Drinki

W Hawanie nie ma reklam towarów ani usług. Na plakatach przydatne hasła **„Na zawsze Che Guevara”** albo **„Do szkoły chodzę punktualnie”**. Drogi dobre, korków brak. Samochodów jak na lekarstwo. Najwięcej starych cadillaków. Przed Castro wyspą rządzili amerykańscy mafiosi. Wynieśli się, gdy wybuchła rewolucja.

Stara Hawana jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO, ale tylko niewielka część została odrestaurowana. Kilka kroków od głównych placów straszą kamienice bez dachów, okien, z zapadającymi się stropami. Na placykach ludzie łapią internet. Nie jest ogólnie dostępny, trzeba kupić kod. Telefony komórkowe są legalne od jedenastu lat.

W każdej dziupli kwitnie drobny biznes: piwo, drinki, żarcie. W odróżnieniu od reszty kraju bywa smaczne: wołowina w ostrym sosie, szaszłyk z krewetek, langusta w grilla.

W barze przy Plaza de la Catedral zamawiamy *cuba libre*. Kubański rum i amerykańska cola. Drink powstał przed stu laty z okładem. Prosty żołnierz z Ameryki połączył to, co lubi i na część powstającego z kolan kraju nazwał „Wolną Kubą”. Wkrótce stało się jasne, że USA włączyły się do wojny z Hiszpanami w obronie własnych interesów.

– Lepiej *mohito* – radzi barmanka. – *Piña colada*. Albo **daiquiri…** Mamy *happy hauers*, ale nie obejmują *cuba libre*. Inne drinki będą o połowę tańsze.

Zostajemy przy swoim. Rum z kubańską przesłodzoną colą jest okropny.

Limuzyna

Bez ostrzeżenia lecą z nieba hektolitry wody. Biegniemy w stronę taksówek. W każdym lokalu przeboje Buena Vista Social Club na żywo. W wielu w cenie drinka mężczyźni do tańca. Za 3 CUC, czyli 3 euro można balować całą noc.

CUC i *peso convertibles* to wymienialna waluta dla turystów. Kubańczycy posługują się CUP, czyli *moneda nacional*. Ceny w CUC są zbliżone do europejskich. W CUP śmiesznie niskie. Ale w sklepach dla miejscowych jest tylko fasola i ryż.

Nawet łady się pochowały. I po *Polaquito* ani śladu. Polaczek – tak mówią o fiacie 126p. Cud polskiej motoryzacji to dla wielu Kubańczyków niedościgłe marzenie. Mało pali, rynkowa cena wynosi kilka tysięcy dolarów. A planowałyśmy przejechać się starszym od nas chryslerem…

– Nie pojadę. Przecież pada. Nie pojadę – bronią się kierowcy parkujący pod Kapitolem, wierną kopią siedziby amerykańskiego Kongresu.

Przed położony po sąsiedzku hotel podjeżdża zielona limuzyna. Pasażer wysiada, rozkłada wielki parasol. Kierowca mówi tylko po hiszpańsku. Woła tego z parasolem.

– Przecież leje – mówi. – Jesteście szalone. Juntro…

– Jutro wyjeżdżamy.

– Skąd jesteście?

– Aha… – przechodzi na hiszpański. – Siadajcie. – Jestem Szkotem, muzykiem. To mój służbowy samochód i służbowy kierowca. Pokażę wam całą Hawanę. Macie dwie godziny, tyle trwa koncert. To miasto jest jak narkotyk. 20 lat temu przyjechałem na kilka dni…

Wóz jest piękny, karoseria bez zarzutu, siedzenia w skórze. Tylko silnik malutki, przełożony z jakiejś łady i niesłychanie trudno podjechać do górującego nad miastem Jezusa Chrystusa.

Moskwa

Stosunki kubańsko-amerykańskie to historia złej miłości.

– Uczucia, jakim kot darzy mysz i odwrotnie – twierdzi Xiomara, właścicielka *casa* w Hawanie. *Casa* to kwatera prywatna. Kilka lat temu rząd poluzował prawo i pozwolił na wynajmowanie pokojów zagranicznym turystom. Dwójka kosztuje od 10 do 35 CUC.

– Czterech prezydentów USA próbowało kupić Kubę od Hiszpanów. Jeszcze w 1898 r. Wiliam McKinley dawał za nas 300 mln dolarów. Chapnęli tylko bazę marynarki wojennej w Zatoce Guantanamo. Udają, że to było po dobroci. Waszyngton płaci za dzierżawę 4085 dolarów miesięcznie, ale nie realizujemy czeków okupanta. Prawdziwa przyjaźń łączyła Kubę z ZSRR – podkreśla gospodyni, sprawnie wbijając jajka na patelnię.

Do tego świeży sok z bambusa i śniadanie gotowe.

Okna kuchni wychodzą na bulwar El Malecon i Cieśninę Florydzką. 170 km dalej USA. Niedawno 64-letnia Amerykanka wróciła do swego kraju wpław. Bez klatki zabezpieczającej przed rekinami. Żeby uprzytomnić innym, że to przecież tak blisko.

– Rozpad ZSRR to dla Kuby czas dobry albo zły – monologuje Xiomara. – Zależy od punktu widzenia.

Ona nie ma wyrobionego zdania.

Po odcięciu pomocy z Moskwy zabrakło paliwa, papieru, żywności. Prąd był przez kilka godzin dziennie.

Ale z drugiej strony podczas tego tzw. specjalnego okresu zalegalizowano dolara amerykańskiego i pozwolono na samozatrudnienie.

– Od wprowadzenia komunizmu ponad milion Kubańczyków prysnęło do USA. Jednak 11 milionów zostało – wykłada gospodyni.

Ucieczka nie była trudna. Do niedawna przybyszów obowiązywała zasada suchej stopy. Jeśli Kubańczyk został złapany na amerykańskiej ziemi, mógł zostać.

– Lepiej biednie, ale na swoim – ciągnie Xiomara.

30 lat temu budowała metro w Warszawie. Mogła zostać, ale było za zimno. Teraz w każdej chwili może wyjechać do Włoch. Córka mieszka we Florencji, wyszła tam za mąż. Klimat lepszy, niż w Warszawie.

– Ale kim bym tam była? – pyta. – Sprzątaczką?

Warzywa

Caya Santa Maria należy do archipelagu wysp na Atlantyku, połączonych z lądem 50-kilometrową sztuczną groblą. 20 lat temu były tu tylko moskity, lasy namorzynowe i rezerwat biosfery. Dziś lasy umierają, a wysepki obrosły w luksusowe resorty. Nie ma ani jednej chałupy. Obsługa jest dowożona z zewnątrz, przy wjeździe na groblę czuwa milicja.

Meliá las Dunas jest wspólną inwestycją kubańskiego rządu i międzynarodowej sieci hotelowej. Po doświadczeniach z państwowym hotelem na Trynidadzie widać, że mariaż ma sens. Posiłki nie są kwaśne, pokoje sprzątane idealnie, trawnik równo przycięty.

Ale nawet *Meliá* nie spowoduje, że miejscowe krowy dadzą dość mleka, a ogrody warzyw. Stoły zawalone żarciem, ale mleko jest z Mlekovity, keczup z Pudliszek, warzywa z puszki lub mrożonek – polskich albo hiszpańskich. Marchew, zielony groszek, kukurydza, w najlepszym razie kapusta.

85 procent gości to Kanadyjczycy. Amerykanów jak na lekarstwo, choć blisko i tanio.

– Trudno jest przyjechać. Tylko wyjazdy zorganizowane, bardzo dużo formalności. Nie są honorowane ubezpieczenia firm amerykańskich. A tutaj za wymianę dolarów trzeba płacić 10 proc. frycowego – wyjaśnia Jane z Nowego Jorku. Przyjechała z mężem biznesmenem. On robi interesy, ona leżakuje w towarzystwie dziewczyny, którą zabrali, żeby starsza pani się nie nudziła. Judith wygląda jak jej wierna kopia sprzed pół wieku.

Samoloty

Jeszcze za Obamy Waszyngton otworzył ambasadę w Hawanie. Po objęciu prezydentury przez Trumpa powiało chłodem. W 2017 r. **„ze względów zdrowotnych”** ewakuowano ponad połowę personelu. Mówiono o ataku akustycznym, czyli emitowaniu groźnych dla zdrowia dźwięków o wysokiej częstotliwości. Mają być nimi raczeni również turyści. Teoria nie została potwierdzona, ale Amerykanie pragnący odwiedzić Kubę mają coraz trudniej.

Dziś z lotniska w Santa Clara startują 3 samoloty: 2 do Miami, jeden do Warszawy. Od przyszłego tygodnia loty do Miami zostają zawieszone.

Turystyka to dziś najważniejsza dziedzina kubańskiej gospodarki. W ciągu ostatnich lat liczba gości wzrosła z miliona do 5 milionów rocznie. Realny szmal, wpływający na wyspę, wymusza zmiany.

– Czy się to Trumpowi podoba, czy nie, Kuba przestaje być skansenem. Dobrze czy źle? – Piotr, Polak osiadły na wyspie od trzech lat ma wątpliwości. – Kiedyś wszyscy Kubańczycy mieli po równo. Dziś *casa* daje kasę. Nagle sąsiad staje się krezusem i z dnia na dzień przestaje odpowiadać na *buenos dias*.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Spierdalamy!

Nie wiem, jak Państwu, ale mnie pisowska Polska wydaje się szczególnie upiorna o tej porze roku: gdy na i tak ciężkostrawne realia państwa quasi-wyznaniowego nakłada się wszechobecny dyktat katozaśpiewów, minijezusków, żłóbków i karpia.

Gdyby ktoś rozważał emigrację, mam kilka propozycji.

Ponieważ kluczowym wymogiem, który postawiłam sobie w poszukiwaniach, było nieistnienie Polonii – zawęziło to moje opcje do tzw. mikronacji. To takie państwa, które tak naprawdę nie istnieją, tylko czasem o tym nie wiedzą. Szczególną uwagę poświęciłam państwom, które powstały niedawno, co zwiększa nadzieję na to, że nie zostały jeszcze skolonizowane przez innych spieprzających z ojczyzny rodaków, ale dla szerszego spektrum prezentuję też kilka niedużych państw z większymi tradycjami.

Kailaasa

Ta najmłodsza mikronacja świata powstaje na naszych oczach. Powołana do życia przez hinduistycznego guru Nithyanandę, który stał się sławny dzięki cudom, jakie czyni – umie opóźnić wschód słońca o 40 minut, wyleczył 82 dzieci ze ślepoty poprzez otwarcie trzeciego oka, widzi przez ściany i uczy krowy mówić, i w to w dwóch językach: w hindi i sanskrycie. Nic dziwnego zatem, iż posiada tłumy zwolenników, hojnie wspierających jego prywatny związek religijny o nazwie Nithyananda Dhyanapeetam, który oferuje zajęcia z jogi, medytacji oraz fitnessu. W 2017 r. aszram Nithyanandy przeszedł do historii, wpisany do Księgi Guinnessa jako organizator największej w świecie lekcji jogi z linami. Wzięły w niej udział 272 osoby.

Niestety Jego Boska Świętobliwość Błogosławiony Nithyananda jest w Indiach poszukiwany za przetrzymywanie i gwałcenie wyznawczyni przez 5 lat, a także bezprawne przetrzymywanie dzieci, które posyłał na żebry. Wobec tak dalekiego niezrozumienia guru porzucił ojczyznę i przeniósł się na maleńką prywatną wyspę u wybrzeży Ekwadoru, gdzie założył państwo o nazwie Republika Kailaasa – **„najwspanialszy i najczystszy na świecie kraj hinduistyczny”.** O obywatelstwo republiki mogą ubiegać się wyłącznie wyznawcy hinduizmu – ale nie powinno to być przeszkodą, albowiem nawrócenie na hinduizm nie wymaga żadnego formalnego procesu. Wystarczy przekonać się, że wszystkie istoty mogą żyć w pokoju i harmonii, uwierzyć w reinkarnację i zacząć medytować, skupiając się na uzdrowieniu swojej karmy. Nabycie paszportu Kailaasy wiąże się z pewnymi kosztami (jakimi – dokładnie nie wiadomo), ale w zamian zostaniemy obywatelami państwa, które gwarantuje powszechną opiekę zdrowotną, bezpłatne wyżywienie i edukację gwarantującą nabycie kompetencji w dziedzinie otwierania trzeciego oka pozwalającego na przeprowadzenie pełnego skanu całego ciała bez urządzeń diagnostycznych. W szkołach Kailaasy można się także nauczyć teleportacji dowolnych przedmiotów.

Asgardia

Kosmiczne Królestwo Asgardii zostało ukonstytuowane przez rosyjskiego naukowca pochodzenia azerskiego Igora Raufowicza Aszurbejliego i mieści się na satelicie wyniesionym w Kosmos 12 listopada 2017 r. przez misję Cygnus CRS OA-8E.

Raufowicz to poważny uczony, w 2016 r. nagrodzony medalem UNESCO za wkład w badania nad nanotechnologią. Królestwo ma pozwolić mu na badanie przestrzeni kosmicznej bez ograniczeń płynących z **„układu o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi”,** który daje państwom monopol na eksplorację Kosmosu. Obywatele innych państw świata zostali zaproszeni do występowania o obywatelstwo Królestwa Asgardii i w ciągu dwóch dni zgłosiło się ponad 100 tysięcy ludzi. Po trzech tygodniach było ich pół miliona, co zmusiło władze kosmicznego królestwa do zaostrzenia kryteriów. Dziś Asgardia ma 290 tysięcy obywateli.

Władze kosmicznego królestwa składają się z czterech osób. Głową państwa jest Aszurbejli; szefem parlamentu – były członek brytyjskiej Izby Gmin Lembit Öpik, znany głównie z dziwacznych przygód opisywanych przez tabloidy; szefową rządu Ana Mercedes Díaz Cardozo, wenezuelska prawniczka z amerykańskim paszportem, który dostała w nagrodę za oskarżenia Cháveza o oszustwa wyborcze; szefem sądu najwyższego Zhao Yun, specjalista od prawa kosmicznego z Hongkongu. Celem królestwa jest stworzenia tarczy kosmicznej, która ochroni Ziemię przed śmieciami z Kosmosu.

Cesarstwo Romanowów

Państwo założone przez rosyjskiego monarchistę Antona Aleksiejewicza Bakowa w celu odwrócenia ponurych skutków Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. W 2011 r. Bakow, były deputowany rosyjskiej Dumy Państwowej i osobisty przyjaciel zastrzelonego (najpewniej przez siepaczy Putina) Borysa Niemcowa, ogłosił restaurację caratu pod berłem księcia Karla Emicha Nikolausa Friedricha Hermanna zu Leiningena, osadzonego na tronie cesarstwa pod imieniem Mikołaj III. Książę Karl uważa się za spadkobiercę tronu Romanowów, albowiem jest wnukiem Wielkiej Księżnej Marii Kiriłłownej, która była najstarszym dzieckiem Wielkiego Księcia Kiriłła Władimirowicza Romanowa, cara Rosji na wygnaniu od 1924 r. Eksposeł Bakow pełni funkcję arcykanclerza cesarstwa.

W skład cesarstwa wchodzą niezamieszkałe tereny Federacji Rosyjskiej, terytoria morskie, które zostały zajęte przez imperium rosyjskie albo odkryte przez rosyjską Marynarkę Wojenną, ale nie weszły w skład Związku Radzieckiego, a także Antarktyda i 16 innych wysp pozostających czasowo pod administracją Japonii, Zjednoczonego Królestwa, Stanów Zjednoczonych i innych narodów. Dla uspokojenia dodajmy, że imperium nie rości pretensji do terenów dawnej Rosji pozostających obecnie w granicach Polski, Finlandii i byłych republik radzieckich.

Mimo tak rozległego królestwa Imperium Romanowów podejmowało próby zakupienia terenu na swoją siedzibę od Czarnogóry, Macedonii, Albanii, Gambii, Antigui i Barbudy oraz Kiribati. Wszystkie próby spełzły na niczym, chociaż – zgonie z oświadczeniem arcykanclerza Bakowa – 1 grudnia 2017 r. w Bandżulu zostało podpisane **„memorandum o przyjaźni i współpracy między Republiką Gambii a Imperium Romanowów”,** sygnowane przez sekretarza generalnego Gambii Dawdę Faderę i ministra spraw zagranicznych Cesarstwa Romanowów Modou Lamina Saidykhana. 12 grudnia Gambia oficjalnie zdementowała tę wiadomość.

Królestwo Wołoszczyzny

Królestwo powstało w 1997 r. na terenie Wołoszczyzny Morawskiej w Czechach z inicjatywy pisarza i fotografa Tomasa Harabisa, który następnie objął stanowisko ministra spraw zagranicznych. Królem obwołany został aktor i reżyser Bolek Polivka, który przyjął imię Bolesława I Łaskawego i rządził z sukcesami do roku 2001, gdy między monarchą i jego ministrem wybuchła wojna o władzę – dokładnie o procent z dochodów z turystyki. Doprowadziło to do kryzysu konstytucyjnego zakończonego zamachem stanu, obaleniem Bolesława I i przejęciem tronu przez króla Władimira II. Obalony król nie pogodził się z utratą tronu i rozpoczął batalię sądową – tym razem w sądach Republiki Czeskiej – którą, co trzeba odnotować, sromotnie przegrał. Zamach stanu w nieistniejącym państwie został odnotowany przez światowe media.

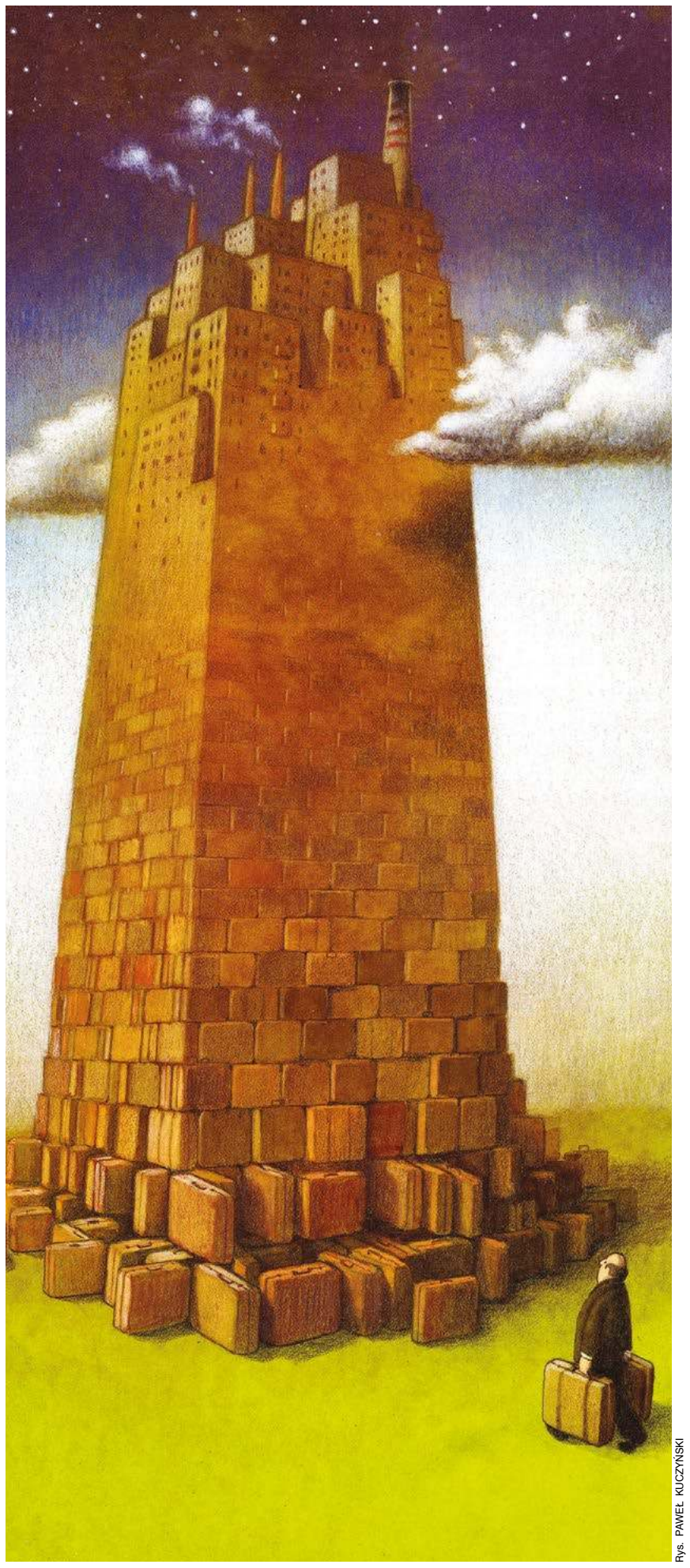

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Królestwo posiada własną walutę – jurovalsara – konsulaty na Biegunie Północnym i w Togo, flotę składającą się z czterdziestu kajaków, wydaje paszporty i ma już 85 tysięcy obywateli, albowiem Czesi masowo uznają je za swoją drugą ojczyznę. **„Królestwo Wołoszczyzny to kpina z czeskiej tożsamości, bo dla Czechów nie ma nic świętego”** – wyjaśnia podstawy państwowości Wołoszczyzny minister Harabis.

Wśród najważniejszych atutów królestwa wymienia się rządową limuzynę w postaci żółtego trabanta oraz uniwersytet posiadający jeden tylko, ale jakże ważny wydział: destylatorski. Kształci on studentów w kierunku produkcji i spożycia śliwowicy.

Dominium Melchizedeka

Państwo erygowane w roku 1990 przez obywatela USA Marka Pedleya, skazanego dwukrotnie, w sumie na 11 lat, za oszustwa na wielką skalę. Osiągnięcia Pedleya obejmowały sprzedaż ziemi, której nie posiadał, na przedmieściach Sacramento oraz wymianę peso na dolary na kwotę 6 mln dolków, których także nie miał. Będąc na zwolnieniu warunkowym po drugim wyroku, Pedley powołał do życia swój piękny nowy kraj, inspirowany biblijną postacią króla mędrca, który przywitał Abrahama chlebem i winem.

Jednak największym osiągnięciem Pedleya było powołanie na terenie kraju trzystu banków – co jest, przyznacie, niełatwe w państwie ulokowanym na wyspie, której powierzchnia przez większość czasu znajduje się 9 m pod poziomem oceanu. Jeden z nich, Credit Bank International, prowadzony przez niejakiego Rogera Rosemonta, przekonał 1400 osób do zainwestowania 4 mln dolarów w piramidę finansową, zanim Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych i Giełd wydała oficjalne oświadczenie brzmiące: **„Credit Bank nie jest bankiem, Melchizedek nie jest krajem, a Rosemont nie jest ambasadorem”.** Inne osiągnięcia Pedleya – który wyhodował brodę do pasa i zmienił nazwisko na brzmiące stosownie do brody: Tzemach Ben David Netzer Korem – obejmowały sprzedaż nieokreślonej liczby paszportów Dominium Melchizedeka, głównie obywatelom krajów Dalekiego Wschodu, oraz wypowiedzenie wojny Francji, w związku z jej testami nuklearnymi na Pacyfiku, gdzie dominium ma siedzibę.

Osiągnięcia te przebił niejaki Jeffrey H. Reynolds III, który mianował się sekretarzem handlu Dominium Melchizedeka i

powołując się na swoją pozycję, sprzedał frajerom ubezpieczenia nieistniejącego towarzystwa asekuracyjnego warte 47 mln dolarów.

Whangamomona

Republika Whangamomona leży na granicy regionów Manawatu-Wanganui i Taranaki na nowozelandzkiej Wyspie Północnej. Powstała w roku 1989 – co czyni ją, zwróćmy uwagę, rówieśnikiem wolnej Polski. U korzeni niepodległości Whangamomony leżał konflikt dotyczący nowego podziału administracyjnego wyspy, który przypisał Whangamomonę do Manawatu-Wanganui, podczas gdy jej obywatele pragnęli pozostać w Taranaki. Republika posiada własne paszporty, pieczęcie, a także prezydenta, którym obecnie jest wybrany 19 stycznia 2019 r. na drugą kadencję John Herlihy.

John jest szóstym prezydentem Republiki Whangamomona. Wśród jego poprzedników szczególnie godni wspomnienia są: Billy Gumboot, rządzący republiką w latach 1999–2001, którego wśród innych światowych przywódców wyróżniało to, że był kozą, oraz jego następca, pudel imieniem Tai, który opuścił urząd po tym, jak został ranny w próbie zamachu dokonanej przez mastifa.

Wśród innych zalet Republiki Whangamomona warto wspomnieć, że miesiąc temu, 12 listopada, z powodu permanentnego braku wiernych zamknięty został jedyny kościół katolicki w państwie.

Kugelmugel

Republika Kugelmugel mieści się na Praterze, w legendarnym wiedeńskim lunaparku. Jest kulą o średnicy 7,8 m i została zbudowana w 1976 r. przez Edwina Lipburgera, który początkowo umieścił ją na polu w gminie Katzelsdorf w Dolnej Austrii. Jednak lokalne władze nakazały rozbiórkę republiki, ponieważ jej sferyczny kształt nie spełniał obowiązujących wymogów architektonicznych. 25 policjantów z psami i długą bronią najechało Kugelmugel w celu pojmania jego przywódcy, którego jednak nie było w domu, gdyż udał się do pubu.

W obronie niepodległości Republiki Kugelmugel jej twórca poszedł na 10 tygodni do więzienia w roku 1979. Po odzyskaniu wolności postanowił o przeniesieniu swojego państwa do Wiednia na zaproszenie ówczesnego burmistrza stolicy Austrii Helmuta Zilka. Lipburger nie był zachwycony ideą spozycjonowania swojej bardzo małej ojczyzny w wesołym miasteczku, ale był to jedyny sposób na ocalenie jej przed zniszczeniem. Dodatkowo burmistrz Zilk zobowiązał się do elektryfikacji i kanalizacji republiki – ale obietnice te do dzisiaj nie zostały spełnione. Co może mieć pewien związek z ogólnie niską wiarygodnością Zilka, który okazał się wieloletnim agentem czechosłowackiej służby bezpieczeństwa.

Republika Kugelmugel do dziś znajduje się na Praterze, odgrodzona drutem kolczastym od pozostałych atrakcji wesołego miasteczka. Po śmierci Lipburgera w roku 2015 stanowisko Wielkiego Demokratycznego Przywódcy Rewolucyjnego objął jego syn Nikolaus. Republika posiada sześciuset obywateli, lecz jej przywódca przyznaje, że naraz nie zmieściliby się na jej terenie, zatem przy właściwym planowaniu uniknięcie ewentualnych Polaków nie będzie nadmiernie trudne.

AWŁ

eprasa.pl 10b00941c8

Dziewczyna niskiej emisji

Matka Boska Klimatyczna kontra prawicowi Herodowie.

Greta Thunberg została Człowiekiem Roku tygodnika „Time". Nie jest to może wyróżnienie tak prestiżowe, jak tytuł Człowieka Roku „Gazety Polskiej", ale nagroda Sakiewicza od trzech lat (2016, 2017 i 2018) zarezerwowana jest dla Mateusza Morawieckiego. „Gazeta Polska" uważnie patrzy na ręce pisowskiej władzy. Szuka na tych rękach miejsca, którego jeszcze nie pocałowała.

Łączy Mateusza i Gretę to, że oboje wykrzykują: **„Jak śmiecie?!"** – ale w różnych intencjach. Morawiecki różni się zaś od Thunberg tym, że walczy jak lew o to, aby Polska nie musiała wprowadzać rozwiązań korzystnych dla klimatu w tym samym tempie, co inne kraje UE. Greta zaś wysnuwa refleksje ogólniejszej natury. **„Ludzie umierają. Upadają całe ekosystemy. Jesteśmy na początku masowego wymierania, a jedyne, o czym potraficie mówić, to pieniądze i bajki o bezustannym wzroście gospodarczym. Jak śmiecie?!"** – oburza się nastolatka, wymierzając policzek również polskiemu premierowi.

Tytuł Człowieka Roku „Time'a" nie należy do nagród wartościujących. Na okładce magazynu pojawili się zarówno Stalin, Hitler, Jan Paweł II czy Donald Trump, jak i Albert Einstein, Władimir Putin oraz Angela Merkel. Z Polaków oprócz Wojtyły gębą świecił Amerykanom Lech Wałęsa.

Człowiek Roku „Time'a" to niekoniecznie ten, kto narobił najwięcej dobrego. Czasem wręcz przeciwnie. Ważne, że namieszał. Nie jest to Pokojowa Nagroda Nobla, którą Grecie wróżono. Szwedzi jednak, naród ojkofobów, nie przyznali Nobla rodaczce, ale jakiemuś Etiopczykowi, co tylko potwierdza ich nienawiść do cywilizacji białego człowieka. Taki mamy klimat. Kościół Szwecji, ogłosił, że Greta jest **„następczynią Chrystusa"**. Dobre i to, choć 900 tys. koron szwedzkich (ponad 3,5 mln zł) to rzecz bardziej przydatna w życiu niż korona króla Polski.

16-latka ze Szwecji jest najmłodszą Człowiekinią Roku. Jest również obiektem uniwersalnym, bo dla jednych jest świecką świętą, a dla innych wcieleniem lewackiego zła. Tytuł Człowieka Roku „Time'a" chyba jednak coś znaczy, bo postanowił się odnieść do uhonorowania nim Grety sam Donald Trump (Człowiek Roku 2016). **„Niedorzeczne. Greta musi popracować nad umiejętnością opanowywania gniewu, a potem iść z przyjacielem do kina na dobry staroświecki film! Wyluzuj, Greta, wyluzuj!"** – poucza wujek Donald. Dla porównania: do ludzi roku „Gazety Polskiej" nigdy nie miał zastrzeżeń, co może świadczyć albo o dobrej intuicji redakcji, albo o nieznajomości języka polskiego w Białym Domu.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Młodą Szwedkę – choć ani trochę nie przypomina samochodu – postanowił zrecenzować jeden z najsłynniejszych dziennikarzy motoryzacyjnych na świecie, znany z prowadzenia programu „Top Gear" Jeremy Clarkson.

„To idiotka" – nie pozostawia złudzeń Anglik, który kierownicę ma po prawej stronie, serce najwidoczniej też. A na pewno portfel. Greta uderza bowiem w to, na czym Clarkson dorobił się fortuny. **„W szkołach wbijają im do głowy, że samochody są złe. Wiedzą to, zanim nauczą się mówić »mama i tata«. Żadna ze znanych mi osób poniżej 25. roku życia w najmniejszym stopniu nie interesuje się motoryzacją. Greta Thunberg zabiła pokazy samochodowe"** – trapi się dziennikarz. Jeżeli ktoś mówi, że za nastolatką stoją potężne koncerny zajmujące się rozwiązaniami ekologicznymi, to musi przyznać, że ma ona przeciw sobie nie mniej potężne lobby samochodziarskie. I choć to u Grety stwierdzono zaburzenie ze spektrum autyzmu (zespół Aspergera), to występują przeciw niej „autyści" w rodzaju Clarksona.

Za stosowne odnieść się do osoby i działalności Grety uznają praktycznie wszyscy. Zwłaszcza krytycy. U nas równie lapidarnym stylem, co Clarkson, posługuje się Rafał Ziemkiewicz (brak danych o przyznanych mu tytułach człowieka roku), który papieża Franciszka (Człowiek Roku „Time'a" 2013) raczył był podsumować: **„Papież idiota. Straszne"**.

Ziemkiewicz też nie odpuścił Grecie. W Telewizji Republika demaskował: **„Za tym wszystkim stoi jeden mężczyzna. To jest wymyślony projekt i okazuje się, że już w 1992 r. ten numer też był robiony. Znaleziono nawet zdjęcie, jak w 1992 r. jakaś dziewczynka przemawiała na forum ONZ i jeśli dobrze pamiętam, to w tamtych czasach chodziło jeszcze o ochłodzenie klimatu. Kiedyś to kręciło się wokół zlodowacenia, dzisiaj wokół tematu ocieplenia i plastiku. Co ciekawe, widziałem ostatnio grafikę, z której wynika, że 95 proc. tego plastiku w oceanach jest do nich wrzucana przez 10 rzek: dwie afrykańskie i 8 azjatyckich. To oznacza, że wszystko, co robimy z plastikiem, polega na robieniu wielkiego biznesu. W Azji wszystko jest w plastiku i to wszystko później trafia do rzeki, ale to tutaj robi się wielki biznes na innych opakowaniach"**.

Ziemkiewicz ma rację, mówiąc, że była już nastolatka, która zwracała uwagę na zmiany klimatyczne już nastolatką nie jest. Urodzona w 1979 r. Severn Suzuki w 1992 r. na Szczycie Ziemi w Rio de Janeiro uderzała w podobne tony, co Greta Thunberg. **„W szkole, a nawet w przedszkolu uczycie nas, jak się zachowywać w tym świecie. Uczycie nas, że nie wolno walczyć z innymi, że należy rozwiązywać problemy. Uczycie nas szacunku, tego, żeby sprzątać bałagan, żeby nie krzywdzić innych stworzeń, dzielić się i nie być chciwymi. Dlaczego więc robicie dokładnie odwrotnie?"** – zawstydzała tłuste polityczne koty z perspektywy zbuntowanej dzierlatki. I nawet jeżeli Ziemkiewicz i jemu podobni mają rację, że Greta jest produktem marketingowym, to nie musi oznaczać przecież, że nie ma racji. Czy kampanie społeczne są złe dlatego że korzystają z metod marketingowych? Severn Suzuki mimo upływu lat nadal zajmuje się ekologią, nie było więc to tylko jej młodzieńczą fanaberią, ale stało się sposobem na życie.

Jedno jest pewne: Greta Thunberg jest najgorętszą nastolatką tegorocznego sezonu bożonarodzeniowego oprócz matki Chrystusa. Przypomnijmy, że Maria z Nazaretu miała nie więcej niż 14 lat, gdy urodziła Jezusa, ale nie było jeszcze wówczas „Time'a", a bracia Sekielscy nie robili filmów.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Bóg płaci

Zmień zawód – zostań górnikiem pieniędzy.

Przedświąteczny czas niektórzy Polacy uznają za okres refleksji nad tym, co najistotniejsze. A skoro bogobojnych w kraju jest coraz mniej, grudniowe święta to idealna okazja, aby zafrasować się nad jedynym bóstwem, jakie ten świat widział – nad pieniędzmi. Czym są kryptowaluty i czy biada nam, jeśli staną się pieniędzmi przyszłości?

Wbrew powszechnemu przekonaniu pieniądze nie biorą się z odkrytej przez Mateusza Morawieckiego tajemniczej luki VAT-owskiej, schowanej rzekomo pod Giewontem przez Donalda Tuska. Mimo ich doskonałej natury, pieniędzy nie odkrył też Jarosław Kaczyński ani nawet najświętszy Polak – Karol Wojtyła. Eksperci w tej sprawie mówią jasno: pieniądze istniały przed Polakami. Pierwsze ślady stosowania monet pochodzą sprzed prawie trzech tysięcy lat. Długo były oparte na szlachetnych kruszcach. Potem pojawiły się banknoty – forma umowy z państwem, że papierek jest coś wart. Dziś najczęściej to impuls elektroniczny, zapis cyferek na koncie bankowym, a każda zmiana w tym zapisie jest starannie śledzona przez służby państwowe. Logiczne więc jest to, że nie wszystkim taki stan się podoba.

Jeśli można by wskazać jedną najżywiej zainteresowaną powstaniem kryptowalut grupę społeczną, z pewnością byłby to półświatek. Wirtualny, pozbawiony rządowej kontroli, często nieopodatkowany, a w dodatku legalny pieniądz to idealne rozwiązanie, które obchodzi prawo, ale go nie łamie. Wyjęty spod bacznych spojrzeń banków opiera się na społeczności posiadaczy tych pieniędzy. Wielki system idealnie pasujących do siebie puzzli. Unikatowych, niemal niepodrabialnych. Transakcje są szybkie, globalne, a waluta powszechna i ilościowo ograniczona.

W praktyce oznacza to, że początkowo kryptowaluty stały się pieniądzem obowiązującym głównie w darknecie. O drugiej stronie internetu pisałem w przedostatnim numerze; ukryta część, niewidoczna dla przypadkowych odbiorców, pełna ofert niedostępnych przeciętnemu zjadaczowi chleba. Handel ludźmi, zlecenia zabójstw, porwań, pobić. Sprzedaż narkotyków, broni, amunicji, tajnych dokumentów i danych. Przestępczy lunapark, który potrzebuje waluty, aby tymi dobrami nie wymieniać się jak pierwotne plemiona – gwałt za heroinę, porwanie za kałasznikowa. To oczywiście niejedyne cele, jakim kryptowaluty służą. Dziś dzięki wciąż dużej niestabilności wielu próbuje zarobić na ich obrocie. Coraz częściej można także nimi po prostu płacić. Nie tylko za rozkosze kryminalistów. Można je też samemu wydobywać.

Jak to ustrojstwo działa? Dlaczego fakt, że ktoś naklikał w komputerze jakieś cyferki, zmienia pojęcie waluty i coraz częściej zastępuje tradycyjne pieniądze? Co stanowi o wartości bitcoina, ethereum i każdej innej waluty, której nazwa brzmi jak środek do płukania okrężnicy?

Wartość jest umową społeczną. To my – społeczeństwo – kiedyś zdecydowaliśmy, że wartościowe są dla nas szlachetne metale, diamenty i inne ustrojstwa potrzebne do wystawnego trybu życia.

Umówiliśmy się kiedyś, że tona złota jest warta tak dużo, iż przeciętny człowiek może jedynie zatyrać się na śmierć, by łudzić się, że ją pozyska. Umowa społeczna sprawia, że równie dobrze moglibyśmy się dogadać, że podobną wartość reprezentuje tona kasztanów albo litr moczu kojota.

Byłoby to głupie, ale możliwe. Podobna umowa obowiązuje z kryptowalutami.

Ich wielką wartością jest możliwość samodzielnej produkcji. To tak naprawdę zaszyfrowany ciąg danych. Tak duży, że jego odkrywanie zwyczajnie się wynagradza. Wirtualne waluty, takie jak wspomniany bitcoin, opierają się na kryptografii – metodzie szyfrowania informacji. Tej samej, na której działała powszechnie znana „Enigma" – niemiecka maszyna stosowana do końca II wojny światowej – a której szyfr rozgryźli rzekomo Polacy.

W wypadku kryptowalut wzór szyfrowania nie jest jednak pilnie strzeżoną tajemnicą. Przeciwnie – jest tym, co stanowi o ich powszechności. Wydobywanie odbywa się przez rozszyfrowywanie wszystkich możliwych wariantów informacji. Przypomina to odblokowanie sejfu przez próbę wprowadzenia kombinacji. Tu jednak każda próba jest prawidłowa, jeśli tylko różni się od innych. Choć liczba tych kombinacji jest ograniczona, to mimo wszystko wciąż jest tak ogromna, że dla wielu walut stanowi nadal nieukończony ciąg danych, stale generowany przez komputery.

Wyjątkowy jest też sposób transakcji. Dochodzi do nich między jednym urządzeniem a drugim, czyli bez pośredników. Aby nie dochodziło do podrabiania waluty, istnieją *blockchainy* – powszechnie dostępne zbiory danych, które są wielkim zapisem minionych transakcji. Gdyby ktoś chciał wprowadzić do obiegu fałszywe jednostki, musiałby sfałszować historię wymiany walutą we wszystkich jej zapisach. Jest to zatem system powszechnej bezlitosnej obserwacji i stałej weryfikacji. Wolnej od autorytetu instytucji bankowych, ale opartej na bezdusznym wzorze. Transakcji nie da się cofnąć, a anonimowość zapewnić może jedynie stała zmiana wirtualnego adresu, pod który wysyła się środki.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Im powszechniejsze stają się kryptowaluty, tym większe zainteresowanie rodzi się po stronie finansjery i ludzi sprawujących na tym padole władzę. To oznacza, że na wyzwoloną walutę pada zaraza powiązania z powszechnym systemem bankowym i instytucjami państwowymi. To oczywiście niekorzystne dla wszystkich tych, którzy zarabiają na obrocie wirtualnymi pieniędzmi, a przede wszystkim dla tych, którzy swe niecne cele opłacali w ten sposób. Na razie jednak państwa i globalne instytucje prześcigają się na pomysły własnych walut. Polska jak zawsze stanęła na wysokości zadania, już w 2018 r. udało nam się ogłosić, że planowana jest cyfrowa złotówka – dPLN. Z planów szybko się wycofano, a po ujawnieniu pomysłu Ministerstwo Cyfryzacji jeszcze szybciej wycofało się z państwowego patronowania projektowi.

Sukcesów na polu kryptowalut należy zatem upatrywać za granicą. W Chinach na dniach ma wystartować pilotażowy program cyfrowego juana, program, który ma zostać przeprowadzony także poza systemem bankowym. Oznacza to, że pilotażowo chińska e-waluta zostanie użyta do opłat, jakich każdy Chińczyk dokonuje tradycyjną gotówką.

Podobny pomysł ledwie kilka dni temu ogłosili Francuzi, którzy swoją kryptowalutę chcą wykorzystywać do dużych transakcji – zakomunikowała AFP. Reuters w ślad po niej podał informację, że Europejski Bank Centralny nie wyklucza wprowadzenia w przyszłości cyfrowej wersji euro. Obrót gotówką stale spada, a cyfrowa waluta obniżyłaby koszty obsługi.

O swą walutę jak lew walczy też Facebook. W Unii Europejskiej jest to jednak walka raczej przegrana. Ministrowie finansów wspólnoty jasno zapowiedzieli, że nie będzie zgody na wprowadzanie prywatnych walut cyfrowych w Unii Europejskiej. Spekulatywność i niestabilność takich nowinek nie jest jedynym argumentem. Posiadanie własnej waluty to także kawał władzy. Pamiętać należy bowiem, że mowa o firmie, która posiada globalny portal społecznościowy, kilka komunikatorów, z których korzystają miliardy ludzi, a co za tym idzie informacje godne najskuteczniejszej agencji wywiadowczej. Władza, którą powoli oddajemy globalnym korporacjom, nie jest władzą przekazaną państwu i jego instytucjom. Osobom wybieranym w demokratycznych wyborach, usuwalnym i kontrolowanym przez społeczeństwo. Jest to władza prywatnej korporacji o sile potężnego mocarstwa. Władza, której sprawujących nikt nie wybiera, nikt nie kontroluje, nikt nie obali i nikt nie wykupi.

ADAM LISZEWSKI

eprasa.pl 10b00941c8

Świat nie kończy się na pedałach

Przewodnik po tym, co komu jest potrzebne do szczęścia.

Podział na hetero-, homo- i biseksualizm jest *passé*. Dzięki internetowi orientacje seksualne mnożą się jak drożdże. Każda mniejszość chciałaby żyć w świecie tolerancji, zrozumienia dla jej potrzeb i w ogóle. Ale nie tylko. Aby zmienić świat na przyjaźniejszy dla różnorodności seksualnej, trzeba tak niewiele. Wystarczy zrobić to, co zdaniem mniejszości jest niezbędne dla ich dobrostanu psychicznego i fizycznego.

Autoseksualiści

Przedstawicielkę i przedstawiciela tej orientacji kręci własne ciało. Podniecenie dopada taką osobę, gdy widzi kawałek siebie albo całe odbicie w lustrze. Osoby autoerotyczne nie potrzebują nikogo. Nie masturbują się przy komputerze, ale używają zabawek z *sex shopów*. Z racji podniecania się sobą nie zalicza się ich do osób aseksualnych. W przeciwieństwie do nich nie stowarzyszają się i nie organizują. Skoro tak, to jako jedyna orientacja niczego od państwa i społeczeństwa sobie nie winszują.

Biseksualiści

Medycyna uznaje, że są nimi osoby, które kręcą tak faceci, jak kobiety. Gdy dopada je uczucie do osoby płci przeciwnej, to zasadniczo niczego od państwa i społeczeństwa nie chcą. Jednak gdy zostaną pchnięci strzałą Amora w ramiona osoby o takich samych genitaliach jak one, to ogląd świata przez osobę biseksualną się zmienia. I wszystkimi rękami podpisuje się pod postulatami homoseksualistów.

Transseksualiści

Jeżeli ktoś jest fizjologicznie dziewczynką, a czuje się chłopcem (albo na odwrót), to jest osobą transseksualną. Ortodoksom transseksualizmu to nie wystarczy. Według nich szczęście będzie dopiero wtedy, gdy transseksualista dokona „adaptacji płci fizycznej do płci psychicznej". Czyli gdy zrobi kurację hormonalną, a potem serię operacji, po których będzie miał wszystko to, co płeć, do której psychicznie przynależy.

Ortodoksi postulują zatem pełną państwową refundację takiej kuracji. Są jednak transseksualiści, którzy przerabiać farmakologicznie i chirurgicznie się nie chcą.

Mnóstwo osób transseksualnych interesuje tylko to, żeby we wszystkich papierach zamiast imienia męskiego mieli żeńskie lub na odwrót. No i żeby przez państwo były traktowane tak jak każe ich płeć psychiczna. Czyli gdy trafiają do więzienia czy na oddział szpitalny, to dla kobiet, gdy czują się kobietami, albo dla mężczyzn, gdy czują się mężczyznami.

Niektóre „nieadaptowane medycznie" osoby mają jednak inne pragnienie: żeby dysponować dokumentem tożsamości, w którym byłyby 2 zdjęcia – jedno z twarzą faceta i drugie kobiety – oraz dwa imiona.

Roszczeń w stosunku do państwa jest więcej. Najważniejsze to uproszczenie procedur administracyjnych i sądowych związanych ze zmianą płci. Drugie to brak automatycznego rozwodu, gdy osoba zmieniająca płeć jest w małżeństwie. Kolejna to przymus wpisywania do aktu urodzenia dziecka osoby, która miała je przed zmianą płci, nowego imienia ojca czy matki.

Demiseksualiści

Osoby demiseksualne to takie, które mogą odczuwać pociąg seksualny, ale jedynie po zbudowaniu silnej więzi emocjonalnej z drugą osobą. Czyli muszą się zakochać. A ponieważ się nie zakochują, to nader często deklarują się jako aseksualiści. Gdy jednak znajdą drugą połówkę jabłuszka, to opuszczają szeregi swojej orientacji i stają się osobami homo – bądź heteroseksualnymi. I przejmują postulaty tych orientacji. Środowiska demiseksualne mają w zasadzie jeden postulat – żeby wszyscy się od nich odpieprzyli.

Greyseksualiści

To z kolei rozłamowcy spośród aseksualistów i demiseksualistów. Wyróżniać ich ma to, że ruchają się z rzadka. Oczywiście i wśród tej orientacji są podziały. Greyseksualistami są litoseksualiści, którzy lub które mogą odczuwać pociąg seksualny, ale nigdy nie dążą do jego realizacji. Są też frejseksualiści, którzy mają ochotę na seks z kimś obcym lub dopiero co poznanym, ale gdy przychodzi co do czego, to pożądanie takiej osobie znika. Tym, co uszczęśliwiłoby grejseksualistów, jest zmiana mentalności społeczeństwa, karalność za zadawanie pytania: „Kiedy wreszcie zmienisz stan cywilny?" i wykreślenie ze słowników medycznych schorzenia nazywanego oziębłością płciową.

Poliamoryści

Czyli tacy, którzy stanowią związki więcej niż dwuosobowe. Układy mogą być dowolne. Dwóch mężów i żona, dwie żony i mąż czy dwie żony i dwaj mężowie. Albo multiplikacje tego – choć to niemal nieistniejąca rzadkość.

Poliamorycznym małżeństwem równie dobrze mogą być 3 lub więcej pań albo tyle panów. Gdy do tego dodać możliwość życia w takim stadle osób biseksualnych, to konfiguracje stają się nieograniczone. Najważniejsze jednak, że członkowie takiego megamałżeństwa darzą się nawzajem uczuciem i pożądaniem oraz lojalnością ekonomiczną i tą w stosunku do wychowywanych dzieci.

Takie wielkie rodziny nie chcą od państwa wiele oprócz zapewnienia im bezpieczeństwa. Czy to przez uczenie tolerancji, czy bezpośrednio przez policję, która nie odpuści interwencji, o którą proszą. Poliamorystom marzy się, aby państwo zalegalizowało ich związki choćby w formie związków partnerskich. Mogliby wtedy dziedziczyć po współmałżonkach czy zostawiać nieopodatkowane spadki dzieciom. Mogliby też żądać alimentów od kogoś, kto stadło z dzieckiem opuści. Kwestia uznania za matki i ojców dziecka wszystkich członków poliamorycznego stadła też jest dla tej orientacji nader pożądana.

Incele

To coraz liczniejsza grupa, która stara się o uznanie ich za odrębną orientację. Dzieli się na osoby, które nie chcą się wiązać, oraz takie, którym się to nie udaje, nawet więc nie próbują. Incele są przekonani, że życie seksualne jest niesprawiedliwe. Dostęp do seksu mają bowiem jedynie osoby atrakcyjne fizycznie lub te o wysokim statusie majątkowym lub społecznym.

Dlatego incel realizuje się autoerotycznie. Ale w przeciwieństwie do autoseksualistów garnie się do innych osób o tej orientacji, próbując walczyć o swoje prawa, głównie o prawo do seksu – czy to z osobami tej samej, czy przeciwnej płci. Incelowi ma to zapewnić państwo lub społeczeństwo poprzez zorganizowanie incelom partnerów seksualnych – nie mniej niż jednego tygodniowo.

Radykalny odłam inceli postuluje depenalizację gwałtu. Sprowadzać by się to miało do tego, że osoba poproszona o seks przez incela nawet gdyby odmówiła, to i tak mogłaby zostać przezeń wykorzystana seksualnie.

Homoseksualiści

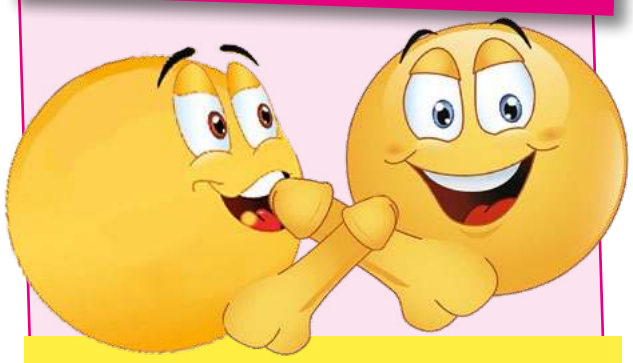

Stanowią około 6 procent społeczeństwa. Są to osoby odczuwające parcie seksualne na przedstawicieli i przedstawicielki własnej płci. Przeprowadzono wśród nich zasadniczy podział. Na homo panie, czyli lesbijki, oraz homo panów, znaczy gejów. Jeśli jednak lesbijka uprawiałaby seks z gejem, to wtedy żadne z nich homoseksualne nie jest.

Postulaty osób homoseksualnych są znane najbardziej. Żądają małżeństw jednopłciowych, ścigania osób wobec homoseksualistów niechętnych, lekcji tolerancji w szkołach oraz możliwości adopcji dzieci.

Innymi żądaniami tej orientacji są domy dla homoseksualistów wywalonych przez rodziców oraz – w przypadku lesbijek – prawo do refundowanego przez państwo zapłodnienia *in vitro* zarodka powstałego z DNA obu partnerek. W najgorszym wypadku chciałyby, aby zwracano im koszty skorzystania ze zwykłego banku spermy.

Coraz głośniejszy staje się postulat parytetu. Czyli żeby we władzach wszystkich instytucji publicznych była reprezentowana osoba o orientacji innej niż hetero. No i to, żeby firmy mówiące źle o homoseksualistach nie dostawały zleceń publicznych.

Aseksualiści

Osoby aseksualne nie odczuwają pociągu seksualnego. Tak mają i tego zmienić się nie da. Świat postrzega ich jako nienormalnych, co ich boli. Dlatego od lat walczą, żeby medycyna zaklasyfikowała ich jako osobną orientację seksualną. I stwierdziła, że jak ktoś się nie chce ruchać, to nie jest chory.

Statystyki mówią, że tak ma co setna osoba. Aseksualiści dzielą się na aseksualistów ortodoksyjnych, czyli takich, którzy nie robią dobrze nawet sobie, bo ich libido tego nie wymaga, oraz na aseksualistów liberalnych, według których masturbacja jest wporzo. Ich doktryna zakłada, że aseksualizm to brak pociągu do innych osób, a nie do orgazmu.

Ponieważ połowa niechcących się dymać chciałaby mieć dzieci, to ich głównym postulatem jest stworzenie prawa adopcyjnego dla osób aseksualnych. To gwarantowałoby społeczeństwu, że adoptowane dzieci nie będą narażone na pedofilię.

Dla aseksualistów niechcących dzieci najważniejsza jest tolerancja państwa dla ich orientacji, przejawiająca się w braku podatku od osób niemających dzieci, czyli „bykowego".

Heteroseksualiści

Wciąż największa, choć od lat zmniejszająca się w zachodnich statystykach orientacja seksualna. Wzorcowy heteroseksualista czy heteroseksualistka odczuwa bowiem pociąg wyłącznie do osób płci przeciwnej. Wbrew pozorom i te osoby mają własne postulaty. Poza „500 plus" winszują sobie bezpłatnej antykoncepcji, refinansowanego *in vitro*, aborcji na życzenie, a nawet żłobków i przedszkoli dla dzieci. Heteroseksualiści wykazują się też postulatami ograniczenia praw przedstawicieli własnej płci, co jest niezrozumiałe, bo osoby homolubne same eliminują się z konkurencji w stosunku do obiektów pożądania heteryków i heteryczek.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tęczowa zaraza, o której mówił abepe Jędraszewski, ma więcej barw niż mu się wydaje. Ale wszystkie cechuje jedno – mają wyjebane u Kościoła katolickiego, obsesyjnie zainteresowanego seksem.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 10b00941c8

Bombkowa Paczka

Biorę, więc jestem.

Rys. TOMASZ WIATER

Polska świętowała 19. finał Szlachetnej Paczki. Rekord został pobity. W akcji połączyło się 620 220 rodaków. Pomoc otrzymały 14 562 rodziny. Jak zapewniają organizatorzy, w ten prosty sposób odzyskały wiarę w człowieka oraz w siebie.

Wybierz rodzinę. Albo wpłać pieniądze, konto… Złap pociąg do wiary. Organizatorem jest Stowarzyszenie Wiosna z Krakowa. Pomysłodawcą akcji i wieloletnim prezesem był ks. Jacek Stryczek. Ustąpił w zeszłym roku, gdy pojawiły się zarzuty o mobbing. Pojawił się inny ksiądz, teraz szefem jest Joanna Sadzik.

„Szlachetna Paczka jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych projektów społecznych w Polsce. Know-how i nowoczesne technologie. Biedni i bogaci. Media i ukryta bieda. Serce i logistyka. Szlachetna Paczka łączy to wszystko”.

Presja medialna taka, że boję się otworzyć lodówkę, żeby po raz setny nie zobaczyć twarzy tegorocznej kampanii – Marii, lat 75. **„Cukrzyca, nadciśnienie, niedotlenienie, bieda. Samotność i ból. 11 zł na przeżycie dnia. Bez opału na zimę. Z kurtką, ale cienką. Bardziej niż głodu boi się zimna”.**

Zasady

Paczka działa cały rok w systemie od czerwca do czerwca. Potrzebujący nie mogą zastukać sami. Musi ich wskazać instytucja. Sąsiadka. Koleżanka. Potem szkolenia wolontariuszy, którzy odwiedzą przyszłych beneficjentów. Sprawdzą, co i jak, żeby nie powtórzyły się sytuacje znane z żebraczych listów rozsyłanych przez Polaków w czasach PRL. 4-stopniowy system weryfikacji Rodzin w Potrzebie gwarantuje, że nie prześlizgnie się wyłudzacz i kłamczuch. Osoba, która pisze, że nie ma kasy i nóg, a zimą hula w Zakopanem na nartach.

Nie załapie się każdy biedny. Zasady są jasne:

1. Nie pomagają biedzie roszczeniowej.
2. Pomagają mądrze. Mądra pomoc to taka, dzięki której ludzie sami poradzą sobie w życiu.
3. Pracują na mentalności. Zmiana spowodowana paczką ma trwać dłużej niż konsumpcja darowanych czekolad.

Ostatnia wiośniana zasada: nieudacznikom mówić „nie”. Pomoc powinna dotrzeć do ludzi wkrótce po tym, jak coś się w ich życiu wywróciło. Najlepiej natychmiast. Góra w rok po tym, jak przestali sobie radzić. Bo jeśli ktoś przyzwyczai się do zjadania resztek, które spadły z cudzego stołu, nie będzie chciał łowić ryb. Nie zechce wędki. A stowarzyszenie specjalizuje się w wędkach.

Rodziny

W połowie listopada Szlachetna Paczka otwiera Bazę Rodzin. 3 grudnia 2019 r. 727 rodzin wciąż czeka na pomoc. Klikam na chybił trafił.

- Dorota, mąż, piątka dzieci (kod DOL-642-14263). Wrocław. Żyją z „500 plus”, zasiłku pielęgnacyjnego oraz dodatku rodzinnego. Miesięcznie 3056 zł. On po zawale, niezdolny do pracy. Ona przy dzieciach. Ma 40 lat. Najstarsze dziecko świętowało 19. urodziny. Najmłodsze – 7.

Zakładka „Piękno rodziny” uzasadnia, dlaczego należy pomóc Dorocie. **„Dzieci mają odległe marzenia i tryskają żywiołowością. Małżeństwo jest sobie bardzo oddane, a przy tym oboje podkreślają, jak bardzo są dumni ze swoich dzieci. Każde z dzieci jest inne. Marzą o tym, żeby dzieci miały dobry start w przyszłość”.**

Chcą żywności, środków czystości, ubrań, pościeli. Pani domu pragnie, żeby ktoś zapłacił za kurs wizażu. Choć nie może podjąć stałej pracy ze względu na konieczność opieki nad domownikami.

- Monika, 26 lat, dwóch synów (DOL-738-13462). Też Wrocław. Ona pochodzi z rodziny, w której mama miała problemy z wódką. W wieku 14 lat zaliczyła pogotowie opiekuńcze. Oraz miłość. Z tego były dzieci. Patryk ma 7 lat, Filip roczek. Partner życiowy trafił do pierdla. Ona nie ma w nikim wsparcia, nie może liczyć na pomoc rodziny czy znajomych. Utrzymuje się z zasiłku dla bezrobotnych, programu „500 plus” oraz zasiłku rodzinnego. W sumie 1819 zł.

Rodzina jest piękna, bo Monika się nią zajmuje. Planuje atrakcje tak, aby cała trójka czerpała z nich radość. Chce dla synów jak najlepiej. Zależy jej na tym, żeby dzieci czuły się kochane.

Oprócz tego, co wszyscy, potrzebuje zapasu pampersów, mebli, miksera, gofrownicy, komputera. Dla starszego chłopca – komórki. Telefon, **„najlepiej dotykowy”.** Jeszcze potrzeba niematerialna. **„Usunięcie pluskiew z mieszkania”.**

- Eugenia, 24 lata, syn i córka (DOL-2187-13491). Wrocław. Mieszkała z partnerem, urodziła syna. Ukochany zaczął pić, potem go zamknęli. Eugenia nie miała się gdzie podziać, ale kumpela wyjeżdżała za granicę i udostępniła mieszkanie. Eugenia znalazła nowego partnera, z którym ma kontakt. Urodziła córkę. W przyszłości ma zamiar wrócić do pracy, dzisiaj utrzymuje się z zasiłków w wysokości 2719 zł. Rodzina jest piękna, gdyż Eugenia kocha dzieci i ma bardzo dobry kontakt z ludźmi. Potrzebuje tego, co wszyscy. Oraz pampersów, ubrań zimowych, zabawek i perfum.
- Barbara, 79 lat dwóch synów (MLP-2255-12517). Mieszka pod Tarnowem. Mężczyźni w wieku 47 i 49 lat próbują pracować dorywczo. Z deklarowanych przychodów wnoszę, że jest pod górę. Rodzina ma miesięczny dochód w wysokości 1400 zł. Jeśli odliczyć koszty, na jedzenie zostaje 165 zł dzielone na 3 osoby i 30 dni…

Naturalnie rodzina jest piękna. **„Trzyma się razem. Synowie opiekują się chorą mamą, a ona troszczy się o nich i stara się zapewnić im jak najlepszą przyszłość, aby nie musieli tak bardzo o nią martwić się”.**

Trzeba sprezentować węgiel (**„ponieważ jest bardzo potrzebny”**). Żywność (**„ponieważ jest potrzebna do życia”**). Odzież/ obuwie (**„ponieważ obecnie używane nie będą nadawały się na najbliższą zimę”**). Szczególne upominki: plak do samochodu. Informacja dla niezmotoryzowanych: chodzi o nabłyszczacz do kokpitu.

- Irena, 69 lat i 35-letni syn. (MAZ-2015-7568). Warszawa. Mężczyzna choruje na padaczkę. Jest silny i agresywny. Irena dostaje emeryturę, rentę socjalną i dodatek pielęgnacyjny, w sumie 3275 zł. Po odliczeniu kosztów na życie zostaje 381 zł miesięcznie na osobę. Oprócz tego, co wszyscy (uwaga, syn szybko tyje), potrzebują wersalki (syn jest ciężki i obecna się zarwała), innych mebli, pralki, sokowirówki i kosmetyków.
- Marta z Żoliborza, 40 lat, dwie córki (MAZ-940-10307). Ma mieszkanie socjalne. Miła odmiana: pracuje – na razie jako sprzątaczka w przedszkolu. Chętnie weźmie coś lepszego, byle robota nie kolidowała z odprowadzeniem 6-latki do i z przedszkola. Starsza 16-letnia córka od dwóch lat przebywa w ośrodku wychowawczym. Trafiła tam na prośbę Marty. Wdała się w złe towarzystwo, a mama była zajęta młodszą dziewczynką. Dochód – 3300 zł miesięcznie.

Z rzeczy szczególnych potrzebne płatki, czekoladowe kulki. Oraz sofa z funkcją spania. Pościel. Garnki (uwaga, w kuchni jest płyta indukcyjna), zastawa stołowa, sztućce, biurko, krzesło obrotowe, dwie sztuki perfum o świeżym, delikatnym zapachu, klocki „Lego Batman”, zestaw „Walka z Mr. Freezem”.

- Monika, 29 lat, troje dzieci od 6 miesięcy do 5 lat (DOL-2289-21574). Ząbkowice Śląskie. Mieszka z o 2 lata młodszym partnerem. On jest kucharzem i złotą rączką, ale nie może pracować, bo ściga go była. Zabrała dokumenty i utrudnia odzyskanie. Monika też nie jest w stanie zarabiać, bo dzieci.

„W rodzinie widać duży potencjał. (…) Radością jest dla nich możliwość przebywania razem, spędzania czasu ze sobą. Pragną zmian i zapewnienia bezpieczeństwa dzieciom, które są dla nich bardzo ważne. Na uwagę zasługuje fakt, że partner przyjął jej dzieci i traktuje je jak własne”.

Potrzebny duży garnek, sztućce, 13 mkw. kafelków, drzwi do łazienki oraz piec z zabudową. Monika nie ufa gustom darczyńców, dla siebie chce więc bon podarunkowy.

- Anna z Poznania, 37 lat, mieszka z partnerem 38 lat. (WLP-3910-4755). Nie radzą sobie, bo ona ma depresję, cukrzycę i astmę. Mąż stosował przemoc, zatem się rozstali. Dzieci trafiły do rodzin zastępczych. Powrót jest niemożliwy, obecnie zajmowane mieszkanie jest za małe i nie ma łazienki. Partner pracuje dorywczo, ona ma zasiłek, w sumie 1980 zł.

Rodzina marzy o wspólnych podróżach, które teraz są niemożliwe. Oprócz standardowego zestawu chcą mebli, lodówki, mikrofalówki. On chciałby kurs prawa jazdy. Ona – komputerowy. On – kosmetyki męskie. Ona – czarną torebkę w rozmiarze A4.

Kalkulator

Myślicie, że złośliwie wybrałam rodziny? No to sprawdzam po kolei. Odpuszczam pytanie, czy jest szansa, że paczka realnie zmieni czyjś świat. Wiadomo: nie. Pochylam się nad konkretami.

Zawartość portfela. Czasem jest podany dochód rodziny. Jednak równie często kwota, która zostaje **„po odliczeniu wszystkich opłat”.** Bóg jeden wie jakich.

W przypadku Moniki, tej z Ząbkowic, dochód po odliczeniu wydatków wynosi 2416 zł. Ile pochłaniają wydatki? Nie wiadomo.

Podobnie jest w przypadku 58-letniej Gabrieli z Łodzi. Utrzymuje się z renty i zasiłku pielęgnacyjnego. **„Po odjęciu kosztów utrzymania pozostaje 487 zł miesięcznie”.**

Barbara z Suwałk utrzymuje się z dwójką dzieci za 1940 zł. Nędza z biedą, ale w jej przypadku znamy koszty stałe – 1556 zł. Czyli miesięczny dochód wynosi 3496 zł.

W przypadku Justyny miesięczne opłaty wynoszą 1580 zł. Na życie mamy z pięciorgiem drobiazgu zostaje po 537 zł na głowę. Policzmy. 5 razy 537 daje 3222 zł. Plus 1580 zł. Co miesiąc kobieta ma do wydania 4802 zł. Czy to dramatycznie mało, jeśli zważyć, że niepracująca mama ma czas ulepić pierogi i załatać dziurę w skarpecie?

Pech dopadł ich w ostatnim roku. 75-latce z Wrocławia należy się wsparcie, bo **„od najmłodszych lat nie miała łatwo w życiu. Nigdy nie poznała swoich biologicznych rodziców. Kiedy miała kilka miesięcy, została adoptowana. Niestety rodzice adopcyjni nie byli w stanie dać miłości i wsparcia i w wieku 16 lat uciekła od nich. Od tamtego czasu jest zdana tylko na siebie”.**

Weronika z Białegostoku od dzieciństwa **„była zamkniętym i wycofanym dzieckiem, co bardzo martwiło jej mamę. 8 lat temu zmarł ukochany dziadek, z którym była bardzo zżyta. W wyniku tego przeżycia w połączeniu z dużymi predyspozycjami kobieta zachorowała na depresję”.** Kobieta ma 38 lat.

Barbara z Suwałk ma dwoje dzieci i wychowywała się u babci. Urodziła córkę, gdy miała 19 lat. Brat cioteczny zaczął molestować maleństwo. Babcia opowiedziała się za chłopcem i wyrzuciła Barbarę z domu. **„Od tego momentu kobieta musiała zacząć wszystko od początku. Poznała partnera, przy którym doświadczyła dwóch poronień. Mężczyzna miał problemy z alkoholem, a kiedy dowiedział się, że jego dziewczyna jest w kolejnej ciąży, zostawił ją…”.**

Paczka

Wśród potrzeb niematerialnych wieloosobowej rodziny znalazłam opiekę nad dziećmi. Mama nie pracuje, ale przecież należy jej się wytchnienie, niech przyjdzie wolontariusz albo zatrudnią opiekunkę.

22-letni Jan z Łodzi oczekuje pomocy w odmalowaniu mieszkania, choć w przypadku zdrowego mężczyzny to prosta czynność, wystarczy pędzel i wiadro farby za 50 zł.

Ktoś z Wrocławia – odgrzybienia łazienki. Nie preparatu grzybobójczego. Niby dlaczego sam miałby pokrywać ściany sprayem?

Kilka lat temu, promując Szlachetną Paczkę, ks. Stryczek zapowiedział **„koniec ery dorobkiewiczów”. „Należy tak pomagać, by ten ktoś obdarowany sam sobie radził w życiu. Nie może być tak, że im więcej pomocy, tym więcej potrzebujących. Szlachetna Paczka nauczy ludzi przedsiębiorczości i zarabiania”** – mówił. Opowiadał, że ci, którym paczka pomogła, stanęli na nogi i pomagają innym. W końcu wszyscy będą dobrze zarabiali i w Polsce nie będzie biedy.

Na razie jest. W tym roku zebrano i rozdano 46 mln zł. W spełnienie każdego marzenia – spełniono wszystkie – było zaangażowanych 38 osób. Średni koszt prezentu – 3149 zł.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

PS Imiona obdarowanych zostały zmienione.

REBUS 3

eprasa.pl 10b00941c8

Zdolni do wszystkiego

Redakcja tygodnika „NIE” jest mistrzem Polski w wydawaniu tygodnika „NIE”.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Z reguły co 4 lata odbywają się drużynowe mistrzostwa Polski w zdobywaniu głosów dorosłych obywateli. Ostatnio też się odbyły. Wygrał *team* o nazwie PiS.

Jeszcze rzadziej, raz na 5 lat, można wystartować w indywidualnych mistrzostwach Polski w zdobywaniu krzyżyków wyborczych. Mistrz Polski w tej kategorii nosi tytuł prezydenta.

Sprinter szachowy

To wyjątki. Jeśli bowiem komuś marzy się tytuł mistrza Polski, w ofertach konkurowania może przebierać do woli. A jeśli w ofercie nie znajdzie niczego, w czym jest najlepszy w kraju, to powinien się wykazać kreatywnością. I mistrzem zostać.

Najprędzej wpadli na to sportowcy. Biegacze mogą się załapać na bycie najlepszym w kilkunastu dystansach. A gdyby tego było mało, to dwakroć powiększają pulę możliwości w zależności od tego, czy biegają pod gołym niebem, czy pod dachem.

Można jeszcze bardziej sublimować, aby dojść do **Mistrzostwa Polski Zakładów Poprawczych i Schronisk dla Nieletnich w Piłkę Nożną Halową** i ogłosić, że chłopaki z poprawczaka w Kcyni to mistrzowie Polski.

Bokserzy mają w cholerę kategorii wagowych, ciężarowcy, zapaśnicy czy judocy też. Ci, co się ścigają na motorach, mogą zostać mistrzami w zależności od pojemności skokowej silników. Pływający sportowo łódkami też wymyślili tyle kategorii, żeby mistrzów było jak najwięcej. Dokładnie tak samo jest w niemal każdej kategorii czegoś określanego mianem sportu.

W szachach na przykład. Można być mistrzem Polski w szachach klasycznych. Ale jak ktoś umie przestawiać figury szybciej, to startuje w **Mistrzostwach Polski w Szachach Szybkich.** Dla sprinterów roszad są też **Mistrzostwa Polski w Szachach Błyskawicznych,** a mistrzem Polski jest Kamil Gałuszka ze Świdnicy.

Mistrz staczania się

Dla śmigających rowerem, oprócz jazdy pod dachem na milionie dystansów i sposobów, jest kolarstwo szosowe i górskie. Jeśli komuś nie chce się pedałować, bierze udział w **Mistrzostwach Polskich w Kolarstwie Zjazdowym:** start jest na górze, a meta na dole i nogami przebierać nie trzeba. Startujący w **Mistrzostwach Polski Rowerów bez Łańcucha** nie muszą nawet na rower wsiadać – mają obowiązek go biegiem prowadzić.

Może jednak być tak, że ktoś nie lubi stać, skakać i biegać, a lubi pograć w siatkówkę. Jeśli należy do klubu IKS „Atak” z Elbląga, to znaczy, że jest **mistrzem Polski w siatkówce na siedząco.**

Są też **Mistrzostwa Polski w Teqballu,** czyli w czymś takim, gdy gra się w piłkę na czymś przypominającym stół pingpongowy? Bo to, że w Niepołomicach były 47. **Mistrzostwa Polski w Ringo,** nie zdziwi nikogo na pewno. Tak jak VII **Mistrzostwa Polski w Podciąganiu Na Drążku,** które w Radzyniu Podlaskim odbyły się pod patronatem Ministerstwa Sportu i Turystyki. Co jest zrozumiałe, skoro jednym z patronów **Mistrzostw Polski w Mölkky,** czyli grze w fińskie kręgle terenowe, była TVP.

Od lat mamy **Mistrzostwa Polski w Wędkarstwie.** Jeden tytuł mistrzowski w dziedzinie ślęczenia z kijem w wodzie to jednak za mało. Dlatego są **Mistrzostwa Polski w Wędkarstwie Spinningowym.** No i **Mistrzostwa Polski w Trójboju Wędkarskim,** który polega na osiągnięciu najlepszego wyniku w dyscyplinach o nazwie spławik, spinning oraz metoda gruntowa. Gdyby jednak chętnych do bycia najlepszym Polakiem było więcej, to są i **Mistrzostwa Polski w Wędkarstwie Morskim Brzegowo-Plażowym.**

Sabotażysta kości

Wiekopomną sławę największego Polaka można zyskać również w układaniu słów z liter. Teraz jest nim **mistrz Polski w scrabblingu** Mariusz Skrobosz. Wpisywanie cyferek też czyni mistrzem Polski. Wystarczy być jednym z kilku laureatów **Mistrzostw Polski w Sudoku.** Albo **Mistrzostw Polski w Łamigłówkach.**

Tytuł mistrza to nie wszystko. Zwycięzca **Mistrzostw Polski w Kingdomino** nie dość że wygra 2000 zł i kilka gier planszowych, to pojedzie do Paryża reprezentować Polskę w mistrzostwach świata! Będzie miał zasponsorowany przelot w obie strony, kieszonkowe, hotel oraz wyżywienie. Dodatkowo każdy uczestnik mistrzostw świata otrzymuje gry o wartości 200 euro, a nagrodą za pierwsze miejsce są 3 tys. euro. Kingdomino, jak się można było domyślić, to gra planszowa.

Podobnie jak Catan. Nic zatem dziwnego, że **Mistrzostwa Polski w Catan** się odbywają, a prestiżowy tytuł mistrza Polski najwybitniejszym Polakom się należy. Jak i tytuły zdobyte na **Mistrzostwach Polski w Sabotażystę** i **Wizard.** To gry planszowe.

Żeby zostać mistrzem Polski, nie trzeba nawet wychodzić z domu. **Mistrzostwa Polski w Heroes III** są przeprowadzane *online*, czyli w internecie, tak samo jak mistrzostwa Polski w kilkudziesięciu innych grach internetowych.

Żeby wziąć udział w **Mistrzostwach Polski w Speedcubingu,** trzeba się ruszyć z domu. Konkurencja polega na układaniu kostki Rubika na czas. I chyba nie trzeba dodawać, że mistrzów Polski w tej kategorii może być kilku. W końcu Polacy dzielą się wiekowo na juniorów i seniorów, a nawet młodzików, na kobiety i mężczyzn.

Miotła na sznurku

Mistrzostwa Polski Psich Zaprzęgów są oficjalne, a mistrzów Polski dają co niemiara. Bo zaprzęgi z wózkami mogą być dwupsie, czteropsie, a nawet jednopsie. Oraz z bezłańcuchowym rowerem, bo tak wygląda w tym wariancie wyścig z jednym psem ciągnącym. Tytuł mistrza Polski przypada człowiekowi. Napędowi zaś pies mordę lizał.

Quidditch polega na lataniu na miotle, łapaniu Znicza, unikaniu oberwania Tłuczkiem. Tak jak w „Harrym Potterze”. Mamy Ligę Polskiego Quidditcha. W związku z tym są i **Mistrzostwa Polski w Quidditchu.**

Mistrzostwa Polski w Guild Ballu też są. Polegają na tym, że ludzie przebrani za średniowiecznych rzeźników, kowali czy rybaków grają w piłkę.

Czymże są jednak wobec rozegranych kilka tygodni temu 25 **Mistrzostw Polski w Technikach Jaskiniowych?** Albo wobec **Międzynarodowych Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota?** Takie, w których, żeby było sprawiedliwie, każdy z uczestników otrzymuje ważące do 20 kg wiadro wypełnione piaskiem, w którym jest kilkanaście drobinek złota. A potem musi w jak najkrótszym czasie wypłukać specjalnym sitem jak najwięcej grudek. Pamiętając, że za każdą zgubioną drobinkę dolicza się 3 minuty do czasu, w którym zawodnik zakończył płukanie. Proste? Dzięki temu po zawodach Polsce przybyło osiemnastu nowych mistrzów.

Kolejnych dwunastu przyniosły **Mistrzostwa Polski w Strzelaniu z Broni Czarnoprochowej.** Oraz kilkunastu czempionów kraju wyłonionych w **Mistrzostwach Polski w Speed-ballu.** Czyli grą, w której uderza się packą piłkę przywiązaną sznurkiem do tyczki.

Sprasowany aromat

Mistrzami Polski mogą być niesportowcy. Dla nich organizuje się np. **Mistrzostwa Polski Saunamistrzów.** Aby zostać najlepszym Polakiem, Marcin Ciesielski musiał wykazać się hartem ducha, nieugiętością i bohaterstwem. A nawet umieć trzykrotnie polać rozgrzane kamienie dużą ilością wody oraz przygotowanymi kulami lodowymi z naturalnymi olejkami zapachowymi. Nie wspominając o posiadaniu przezeń najlepszej techniki poruszania ręcznikiem oraz innymi akcesoriami, np. wachlarzem.

Jan Żoń z Dębna, aby móc zostać mistrzem Polski, musiał wygrać **Ogólnopolskie Mistrzostwa Polski Pamięci.** Nie chodziło o IPN. Pan Jan w dwie minuty zapamiętał 119 cyfr, a w cztery – 238 obrazów. I dzięki temu jest też rekordzistą Polski.

Mateusz Karczewski jest **mistrzem Polski w paleniu kawy.** Tytuł zdobył, wygrywając **Mistrzostwa Polski Roasting** 2019.

Mistrzostwa Polski w Dziczyźnie polegały z kolei na wykonaniu w ciągu 120 minut przystawki ciepłej (comberków królika z kością) i dania głównego (combra sarny z kością).

Kucharze mogą sięgać po tytuły także w **Mistrzostwach Polski w Podawaniu Baraniny** albo **Mistrzostwach Polski w Grillowaniu i BBQ,** a nawet w **Mistrzostwach Polski w Potrawach i Kawiorze z Jesiotra.**

Inni tak łatwo z szansami na mistrzostwo Polski nie mają. Dlatego w **Mistrzostwach Polski w Lutowaniu** rywalizowało 140 zawodników i robot. Ten ostatni na krótkim dystansie przegrał z zawodnikami. Na długim był bezkonkurencyjny, został więc zdyskwalifikowany. Tytuł mistrza Polski w lutowaniu wraz z 3 tys. zł zdobył człowiek – Jakub Gołaski.

Magda Syrojeszko z Zielonej Góry przyjechała do Warszawy, wystartowała w **Mistrzostwach Świata w Prasowaniu** i teraz jest mistrzynią świata. Międzynarodowe jury uznało za bezbłędne jej szybkość, technikę i jakość prasowania.

Chirurgiczne szycie wyroków

Są dwie grupy zawodowe niedopieszczone. Starają się zatem zrekompensować to sobie uzyskiwaniem tytułów mistrza Polski. Stąd **Mistrzostwa Polski Prawników** i **Mistrzostwa Polski Lekarzy.** Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że prokuratorzy walczą o miejsce na podstawie najwyższej liczby lat, które dostali oskarżeni przez nich przestępcy. Sędziowie nie konkurują tym, który z nich ma najwięcej wyroków niepoddanych apelacji, zaś obrońcy nie prześcigają się w zestawieniach uniewinnień klientów. Prawnicy uzyskują tytuły **mistrzów Polski prawników w szachach, brydżu, tenisie** czy czymkolwiek innym. Dzięki temu mistrzów Polski wśród jurystów jest od groma.

Tak jak u medyków. Oni też są **mistrzami Polski lekarzy w czymśtam.** Z reguły tym samym, co prawnicy. To zaś pokazywałoby, że obraz lekarza umierającego z przemęczenia na dyżurach jest niepełny.

Skoro są **Mistrzostwa Polski w Szyciu,** to dlaczego nie może być **Mistrzostw Polski w Szyciu Chirurgicznym** – pomyślano i je zorganizowano. W czasie zawodów nie ucierpiała żadna wieprzowa nóżka, którą fastrygowali z mozołem medycy. Co działo się potem z pacjentami, nikt nie wie.

A powinny one trafić do **mistrza Polski w kategorii zespół patrolowy.** Mistrz nosi miano Balu, jest owczarkiem niemieckim i po wygraniu zmagań z psami policyjnymi pojechał robić swoje w Straży Miejskiej w Katowicach. Pewnie dlatego że tytuł otrzymał po wygraniu serii szkoleń, których nikt nie nazwał Mistrzostwami Polski.

Tak bowiem u nas jest, że tytuł mistrza Polski może nadać każdy. Pod warunkiem, że w danej dziedzinie nie istnieje zarejestrowany wcześniej związek sportowy. Zgodnie z art. 13 ustawy prawo sportowe jeżeli taki związek jest, to on posiada wyłączne uprawnienia do organizowania zawodów i ogłaszania laureatów. Dlatego każdy Polak jest mistrzem Polski albo nawet wszechświata. Jeśli tylko wymyśli sobie dyscyplinę.

TADEUSZ JASIŃSKI

Rysunki TOMASZ WIATER

eprasa.pl 10b00941c8

Gliński za żadne skarby

Dürer, Rembrandt, gilotyna.

Dowód na to, że w Polsce są ciągle skarby nazistów, niedawno przedstawił robotnik budowlany. Pochwalił się kumplom, że naprawiał rozprute ściany w pałacu. A że pałac jest położony w tej samej części Polski, w której ma być mityczny złoty pociąg, kumple zaczęli go ciągnąć za język. Był zdziwiony ogromną ilością cementu zużytą do naprawy ścian. Dzierżawca pałacu wytłumaczył, że to wynik wymiany rur centralnego ogrzewania. Wyjaśnienie nie bardzo go przekonywało. Kto przy zdrowych zmysłach umieszcza pod tynkiem rury prowadzące do kaloryferów?

Identyczną wątpliwość mają policjanci z Komendy Powiatowej Policji w Kłodzku. Tym bardziej że w tym samym czasie jednego z antykwariuszy pytano, czy nie zechciałby kupić obrazów, które zaginęły 70 lat temu. Padły nazwiska trzech malarzy. Pytał dzierżawca pałacu z rozprutymi ścianami.

1.

Dzierżawca natychmiast został eksmitowany. Policja w Kłodzku wszczęła śledztwo. Przesłuchiwane są kolejne osoby. W poszukiwaniu skarbów, ukrytych w ostatnich dniach wojny przez SS, na Dolny Śląsk udała się gwiazda należącego do Discovery kanału telewizyjnego Travel Channel – Don Wildman. Podziwiał pałac w Roztoce. Bardzo go interesowało, gdzie Niemcy schowali złoto swoje oraz cudze. W poszukiwaniu wszedł nawet do dawnej studni, ale niczego tam nie znalazł.

Miejscowi już tysiąc razy miejsce to sprawdzili. W innej części Dolnego Śląska nasi rodzimi eksploratorzy wykonali odwierty o głębokości ponad 20 m. Działali na podstawie jakichś swoich wskazówek. Do niczego się nie dowiercili ani niczego nie przewiercili. Na szczęście nie było tam gazociągu…

2.

Pruciu, odwiertom i wchodzeniu do studni (od dawna suchej) po trosze winni jesteśmy my, a po trosze rząd polski. W marcu 2019 r. opublikowaliśmy artykuł „Skarby leżą pod Polską” („NIE” nr 9/2019). Napisaliśmy o „Dzienniku wojennym” sporządzonym przez Niemca uczestniczącego w ostatnich dniach wojny w operacji ukrywania skarbów. Dziennik został przekazany organizacji niemieckich chrześcijan *Quedlinburger*, która z kolei przekazała go fundacji *Schlesische Brücke* (Śląski Pomost). Ta poinformowała prezydenta i rząd polski, że w „Dzienniku wojennym” wymienione są miejsca ukrycia niezwykle cennych przedmiotów, po części zrabowanych, a po części należących do bogatych wrocławian lub do arystokratów mających majątki na Dolnym Śląsku czy Opolszczyźnie.

Pokrótce przypomnijmy, że chodziło m.in. o przedmioty kultu pochodzące z całego świata, a zbierane przez założone na polecenie Himmlera *Ahnenerbe* – Towarzystwo Badawcze nad Pradziejami Spuścizny Duchowej. Raz miały to być złote sztabki, biżuteria i złote rzeźby pochodzące z depozytów bankowych we Wrocławiu. Drugi raz dzieła Dürera, Rafaela, Rembrandta, Rubensa i innych sławnych malarzy. Prawdopodobnie zrabowane we Francji. Innym razem sztaby złota pochodzącego z *Reichsbankreserven der Reichsbank Breslau*. Złoto liczone było w dziesiątkach ton.

Od momentu przekazania tych informacji między fundacją *Schlesische Brücke* a Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego trwa korespondencja. Czy coś ustalono? Nikt nie ujawnia. Ministerstwo potwierdza jedynie, że 4 „lokalizacje” odwiedzili przedstawiciele wojewódzkich urzędów konserwatorów zabytków z Wrocławia i Opola. Wszystkie 4 to kompleksy pałacowe należące do niemieckich junkrów. Natomiast

gorączka złota najwyraźniej opanowała kogoś w Warszawie, gdyż usiłuje się wyrzucić obecnych użytkowników niektórych miejsc, gdzie mogą być skarby.

Na przełomie października i listopada wszczęte zostały odpowiednie procedury.

3.

Jeden z pałaców znajduje się na Opolszczyźnie. Państwo sprzedało go 10 lat temu i posiadłość stanowi teraz własność prywatną. Odwiedził ją przedstawiciel Ministerstwa Kultury. Urzędnik oświadczył właścicielowi, że niewłaściwie wywiązuje się z umowy, na mocy której sprzedano mu nieruchomość. Rozważany jest więc wniosek do sądu o unieważnienie aktu sprzedaży.

Drugi obiekt był dzierżawiony od skarbu państwa. Dzierżawca otrzymał już wypowiedzenie umowy i musiał go opuścić. Jak już wspomnieliśmy, inny dzierżawca został eksmitowany po rozpruciu pałacowych ścian.

Na Gwiazdkę z Niemiec przyjechał kolejny prezent. Równie niezwykły, jak wspomniany „Dziennik wojenny”. Jest to sporządzona na maszynie do pisania lista ponad 250 dzieł sztuki, głównie obrazów, lecz nie tylko. Fundacja *Schlesische Brücke* zawiozła go do Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Ewa Houszka, kurator Galerii Sztuki XVI–XIX wieku Muzeum Narodowego, na podstawie zawartości listy oraz sposobu indeksowania wymienionych na niej dzieł uznała, że lista ta mogła być sporządzona przez prof. Günthera Grundmanna. Jemu SS powierzyło zadanie wybrania i skatalogowania dzieł sztuki, które przed nadejściem frontu miały zostać ukryte. A także wyboru skrytek, gdzie zostaną schowane.

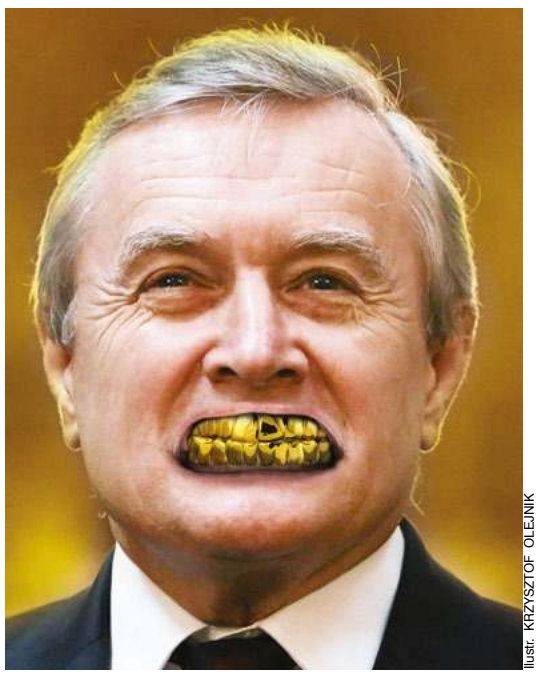

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wiele dzieł znajdujących się na liście, którą obecnie bada Muzeum Narodowe we Wrocławiu, odnaleziono i można je tam podziwiać. Niektóre są w innych muzeach. Los wielu jest nieznany.

4.

Wspomniany pałac w Roztoce to jedno z tych miejsc, gdzie na pewno były kiedyś cenne skarby. Jest na liście składnic niemieckich, sporządzonej przez polskich naukowców po II wojnie światowej. Prof. Józef Gębczak jest autorem pracy „Losy ruchomego mienia kulturalnego i artystycznego na Dolnym Śląsku w czasie II wojny światowej”. Sporządził zestawienie **„miejsc ukrycia śląskich zbiorów sztuki, bibliotek, archiwów i innych instytucji oraz urzędów”**. Miejsca ukrycia zwane były składnicami. Gębczak relacjonuje: **„Często też w protokołach – przy odbiorze ze składnic – notowano numery skrzyń, zaopatrując je określeniem: »o nieznanej wartości«, a skrzyń były tysiące. Na przykład tylko przewiezienie majątku Uniwersytetu Wrocławskiego i jego instytutów wymagało 65 transportów (574 metry bieżące wozu meblowego). A całość mienia wywiezionego tylko z Wrocławia całkowicie absorbowała przez dwa lata największą firmę spedycyjną »Knauer«, która przeprowadziła 207 transportów (2011 metrów bieżących wozu meblowego zbiorów)”.**

Polskim naukowcom znanych jest 80 składnic. Najczęściej są to kompleksy zamkowe i pałacowe oraz kościoły. Rzadziej szkoły, szpitale i więzienia. W tym ostatnim przypadku jako instytucję ukrywającą wymienia się Ministerstwo Sprawiedliwości Rzeszy.

5.

Opisano metody ukrycia. Było ich 5. Zacznijmy od ostatniej, czyli próby ukrycia przez zatopienie. W składnicy muzealnej Warmątowice (powiat jaworski) dyspozytor składnicy, zapewne zaskoczony ofensywą Armii Radzieckiej, zatopił w stawie otaczającym zamek duże zbiory numizmatyczne z wrocławskiego muzeum. Gębczak pisze: „Latami ludność okoliczna wydobywała ze stawu złote monety”.

Skarby ukrywano w podziemiach: **„Dojścia były zaminowane”.** Zamurowywano je (lufy armatnie zdobyte w 1871 r. na Francuzach), zakopywano (pomnik konny Fryderyka II z wrocławskiego rynku), rozważano także chowanie w sztolniach kopalń. Dowodem na to ostatnie jest zachowane pismo Grundmanna w sprawie udostępnienia nieczynnych sztolni przez Zakłady Gipsowe von Wietersheima w Bartnikach. Akurat tam wolnych sztolni nie było.

To nie są fantasmagorie. To opracowanie wydane przez Muzeum Narodowe we Wrocławiu w 2000 r. Nic dziwnego, że ukryte przedmioty do dziś rozpalają emocje:

- Carolath (dziś Siedlisko): **„Składnica zarezerwowana dla konserwatora z Berlina. Jakiego rodzaju zbiory były tam ukryte – nie wiadomo”.**
- Kynau (Zagórze Śląskie): **„Składnica zawierająca militaria”.**
- Michelsdorf (Michałkowa): **„W zamku znajduje się spora liczba dywanów i skrzyń z Muzeum Narodowego w Warszawie”.**
- Fischbach (Karpniki): **„Składnica w zamku książąt Heskich służyła jako miejsce ukrycia zbiorów Muzeum z Darmstadtu. Kilka skrzyń, obrazów i kufrów ze srebrem wywiózł Grundmann w połowie lutego 1945 r. na Zachód”.**
- Freiburg (Świebodzice): **„Składnica do ukrycia zbiorów z Muzeum w Meldorf (Schleswig-Holstein). Czy wykorzystana – nie wiadomo”.**
- Schraebsdorf (Bobolice): **„Zbiory afrykanistyki”.**
- Zobten (Sobótka): **„600 inkunabułów, w tym najstarsze bulle papieskie z 1155 r. i 1245 r. Zabezpieczone w 1945 r. przez ekipy Ministerstwa Kultury i Sztuki. Bulle zginęły”.**
- Neurode (Nowa Ruda): **„Składnica Ministerstwa Sprawiedliwości z Berlina. Mieściła się w więzieniu. W jednej z cel znaleziono 16 skrzyń z aktami, portretami i modelami gilotyn. Cenne meble rozkradziono”.**

6.

W uwagach końcowych Gębczak pisze: **„Nie zachowały się spisy zbiorów 160 prywatnych właścicieli. Grundmann wymienia tylko liczbę zabytków: 552 obrazy, 90 rzeźb, 373 meble, 11 tek grafiki i kilka tysięcy sztuk rzemiosła artystycznego takich jak: porcelana, kryształy, dywany, zegary, broń, srebra, pamiątki, cyna, znaczki. Na pewno zginęły grafika Rembrandta i Dürera”.**

Nic tylko szukać. Taki nowatorski model gilotyny to zapewne nieco ekstrawagancki prezent pod choinkę, ale na pewno obdarowanego zaskoczy. Efekt murowany.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Granat na sukience

Nie rób drugiemu, bo to tobie miłe.

Pewnego dnia kupiłam obraz. Autorstwo niepewne, cena do wytrzymania. Wiadomo, że ze szkoły lwowskiej. Portret „Dziewczynki w niebieskiej sukience”. Był jakiś nastrój w tym portrecie.

Po latach wydawałam pismo o sztuce. Jeden z tekstów zilustrowałam tym właśnie obrazem. Odezwała się do mnie miła pani. Okazało się, że zna nazwisko malarki, a dziewczynka to jej matka. Wówczas młodziutka, a teraz schorowana starsza pani. Zaproponowałam, że pożyczę jej obraz. Jak powiedziałam, tak zrobiłam.

I dostałam list:

„Szanowna Pani Małgorzato, nie zdziwi się Pani, gdy powiem, że po wieczornym telefonie nie mogłam usnąć. Układałam w głowie list do Pani, chciałam tyle przekazać i ciągle nie wiedziałam jak. Utrzymywanie tej niespodzianki w tajemnicy, aż do chwili jej zjawienia się, było dla mnie ciężką próbą charakteru. Przez te dni tworzyliśmy z mężem odpowiednią dramaturgię, podnosząc stopniowo napięcie. Aż nadszedł wyczekiwany moment pokazania mamie obrazu. Gdy go zobaczyła, wykrzyknęła: »O Boże, to przecież mój portret!«. Była tak zaskoczona, że na chwilę zaniemówiła. Gdy ochłonęła, chciała wiedzieć, jakim sposobem ten obraz, widziany ostatnio w Juncewiczach, tj. rodzinnym domu na Kresach przed wojną, znalazł się nagle przy jej łóżku. Usiłowałam to wyjaśnić, ale chyba nie śledziła mojej relacji, bo ciągle wpatrywała się w siebie sprzed blisko siedemdziesięciu lat. Powiedziała, o czym wspominała wielokrotnie, że pozowała cioci Izie, siedząc na stole w tzw. dużym pokoju na górze, a patrząc przez otwarte okno, widziała ciemniejący na horyzoncie las już po rosyjskiej stronie. Dwór oddalony był od granicy o ok. 2–3 km. (…) To uwieczniona chwila prezentacji obrazu. Rzecz jasna trudno mi słowami wyrazić uczucia, które tkwią we mnie, teraz mogę jedynie dziękować za Pani wspaniały gest. Oczywiście zobowiązuję się do zwrotu obrazu w stanie niezmienionym, nastąpi to na pewno w tym roku. Bez względu na światopogląd ma Pani punkty w niebie i u ludzi.

Pozdrawiam serdecznie i KATEGORYCZNIE”.

Nie ukrywam, że wzruszyłam się swoim dobrym serduszkiem. I zaczęłam myśleć: starsza pani niedługo umrze, a portret wróci do mnie. Będę przebywała z obcą dziewczynką. A ona ma przecież rodzinę. Krótka rozmowa z Łysym i postanowiłam obraz oddać. Tak zrobiłam.

Wówczas postanowiłyśmy poznać się z miłą panią, córką dziewczynki z portretu. Umówiłyśmy się na kawę. Pani zjawiła się z kuzynem. Znałam go z widzenia od lat. Jest w Warszawie knajpa SPATiF. Bywają tam aktorzy i ochlapusy. Kuzyn nie był aktorem, ale stałym bywalcem. Miał nawet odzwierzęcą ksywę.

Rozmowa, najpierw przyjazna, przeszła na temat Urbana. To znaczy kuzyn przeszedł. I zaczął ujadać na mojego ukochanego męża. Nie podobał mu się ten komuch. Wysłuchałam kilku idiotycznych pierdół. I spierdoliłam do domu. Zamiast pławienia się w swojej dobroci, dostałam po dupie.

Wydawało mi się, że na jakiś czas jestem wyleczona. Gówno! Przed apteką spotkałam panią. Zachwycił ją mój trzykołowy rower.

– Mam taki jeszcze w domu, ma dwa koła z tyłu. Zamierzam go niedrogo sprzedać. Powinna pani tylko spróbować, jak się na nim jeździ.

Pani przyszła, wsiadła na rower i tyle ją widziałam. Nigdy już nie zobaczyłam jej ani roweru. Rower bym poznała, ale miłej starszej pani nie.

Nie żałuję swoich dobrych uczynków, tylko roweru mi szkoda. „Dziewczynki w niebieskiej sukience” nie żałuję. Jest u siebie, w rodzinie.

DANISZEWSKA
daniszewska@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Dialogi dam
w drodze do kościoła

GOŚKA DANISZEWSKA odjechała do Szwecji. Mentalnie odjechała. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** odjechała naprawdę. Bodajże na Przylądek Dobrej Nadziei. Oby tylko nie wróciła przy nadziei…

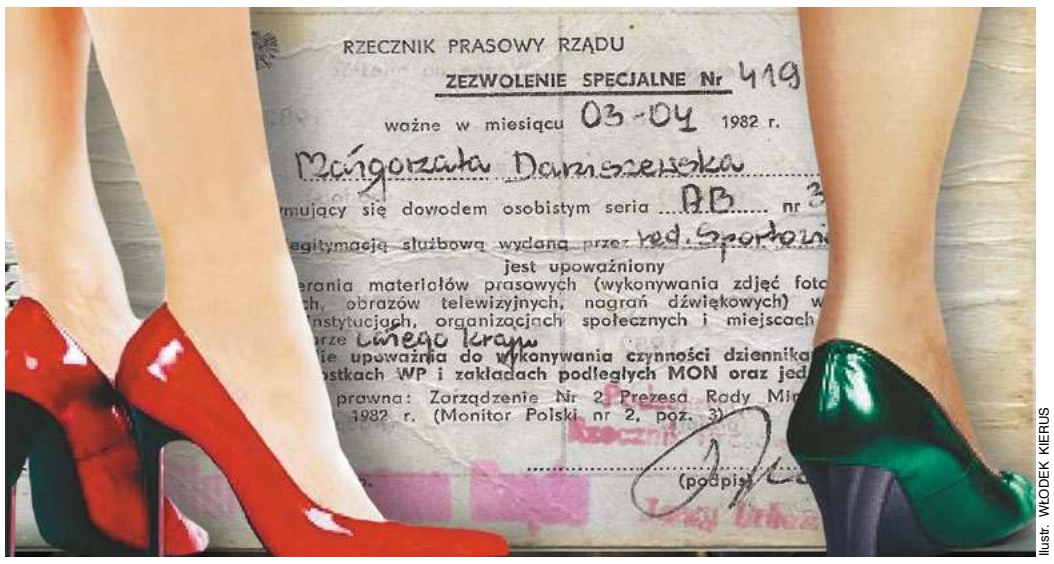

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Wołk-Łaniewska: – Wyspy Zielonego Przylądka!

Daniszewska: – Wiem, wiem… Durny, prymitywny dowcip.

– Przylądek Dobrej Nadziei to punkt geograficzny w RPA, a Republika Zielonego Przylądka to państwo. República de Cabo Verde. Pluralistyczna, demokratyczna, niepodległa republika, którą obecnie rządzi liberalna chadecja, ale tak naprawdę to państwo zostało stworzone przez lewicę: Partido Africano da Independência de Cabo Verde, wyrosłą z Partido Africano para a Independência da Guiné e Cabo Verde, realizującej w praktyce leninowską zasadę awangardy proletariatu.

– Boziu nieistniejąca, skąd ty to wszystko wiesz?

– No wiesz co? Mogę nie mieć pojęcia, co się zwiedza albo kupuje w kraju, do którego jadę na wakacje, czy byli tam Rzymianie albo jakie są zabytki sakralne, ale jeżeli jest jakiś ślad rewolucji...

– Jasssne. Głupio pytam. Wracając do moich bliskich podróży: odjechałam do Sztokholmu, bo to przecież moja też ojczyzna. Ja nawet gadam nieco po svensku.

– Serio? Ja też chcę!

– No, gadam to wielkie słowo, ale sporo rozumiem. Jakiś kawałek mojego polsko-białorusko-litewskiego korzenia zaczepił się o skałę szwedzką.

– Mi by wystarczyło, żeby rozumieć, bo ja chcę czytać szwedzkie kryminały. Jaką oni mają cudownie mroczną wyobraźnię! Ta scena z facetem, który miesiącami oswaja łabędzie, karmi i głaszcze, żeby potem spryskać je benzyną i podpalić. I takie płonące łabędzie w locie…

– Ty jednak jesteś pojebana.

– Mówiłam, że mroczne.

– Twój zachwyt wydaje mi się jeszcze bardziej mroczny. W każdym razie teraz pojechała tam Tokarczuk Wspaniała. Trochę za bardzo poddała się rytuałom, ale chyba tak trzeba. Nie wiem, bo nigdy jeszcze Nobla nie odbierałam. Ale życie przede mną. Chyba zacznę się uczyć fizyki. A może nawet ekonomia przede mną, gdy rodzina wreszcie w miarę uczciwie spłaci moje spadki po rodzicach. Ale z Białegostoku wracam do Sztokholmu.

– Zachwyciło mnie zdjęcie, które chodzi po necie: polska noblistka Olga Tokarczuk spotyka szwedzką minister kultury Amandę Lind. I dwie białe kobity zwieńczone wieżą z dredów. Cudo. Chociaż Tokarczuk opowiadała gdzieś, że mają jej te dredy za złe.

– Polacy katolicy?

– To oczywiste. Gorzej, że czepiają się jej także z drugiej strony – że to przywłaszczenie kulturowe.

– Co?!

– Przywłaszczenie kulturowe. Kiedyś jak jakiś projektant szył strój inspirowany ludowizną albo żona białego ambasadora zakładała na przyjęcie w afrykańskim kraju etniczną biżuterię, to się uznawało, że to ukłon w stronę gospodarzy. A teraz to brutalny akt kolonializmu. Alexander McQueen uszył kilka lat temu męski surdut, czarny ze stójką i złotymi aplikacjami w kształcie słonecznników. Zajebisty skądinąd. I zrobiła się afera, bo się okazało, że za bardzo przypomina coś, co się nazywa kaba i stanowi tradycyjny strój ślubny ludu Habesha z Rogu Afryki, a oni go zakładają tylko na wyjątkowe okazje.

– Jak to strój ślubny.

– Dokładnie. Tak samo mówią Tokarczuk: że nie ma prawa mieć dredów, bo to kradzież afrykańskiej tradycji. Wyznam ci, że moja przyjaciółka, która się zajmuje mniejszościami, wytresowała mnie tak, że już w życiu nie powiem „Murzyn" albo „Cygan", i w ogóle jestem bardzo wrażliwa na takt kulturowy, ale idea apropriacji kulturowej nieco mnie konfunduje. Np. zadziwiła mnie brzydota sukni Tokarczuk, a potem powiedziano, że to nawiązanie do strojów pierwszych sufrażystek i Selmy Lagerlöf, która w podobnej sukni odbierała Nobla – pierwszego kobiecego Nobla w dziedzinie literatury – w roku 1909. Czy to przypadkiem nie jest apropriacja kulturowa wobec dziedzictwa historycznego ruchu sufrażystek? Bo przecież Tokarczuk nie musiała walczyć o swoje prawa człowieka jako kobieta, może więc nie ma prawa pucować się do tych, co walczyły?

– Rzeczywiście cię to konfunduje. Wracając do Szwecji: mam wtedy 22 lata, męża, który mnie niezbyt kocha i cudowną córkę. No i co robię? Wypierdalam do Szwecji, żeby zarabiać. Rok jest 1975. Znajduję robotę: najpierw myję podłogę w knajpie, potem robię kanapki (smårgosar). Ale popołudnia? Nie uwierzysz, Wołku, codziennie chodziłam na darmowe kursy języka szwedzkiego przy tamtejszym uniwersytecie.

– Uwierzę. Szwecja to troskliwy kraj. Socjalizm!

– Tobie tylko jedno w głowie. A ja o ludziach ci chciałam opowiedzieć, a nie o systemie. Było nas tam od cholery, narodów, i cudowna nauczycielka. Obok mnie siedział Ricardo, Chilijczyk. Po jakiemu rozmawialiśmy? Nie wiem.

– Się domyślam…

– Gówno się domyślasz, nigdy z nim nie spałam ani nawet nie całowałam się.

– Widzisz, jak się dobrze rozumiemy. I co z tym Chilijczykiem?

– Po kilku tygodniach uciekliśmy na wagary. Ja tęskniłam za mężem, córką i Polską. On opowiadał o Chile. A skąd to do mnie wróciło? Ricardo mieszkał w Rinkebi. Tam właśnie ostatnio była Tokarczuk. I tam Ricardo ugotował rybę z wiórkami kokosowymi, czosnkiem i ryżem. Pyszne! Nigdy więcej nie jadłam niczego tak dobrego. I wtedy on, dwudziestoletni chłopak, opowiedział mi, co przeszedł. A właściwie przeżył.

– W Chile przed rokiem 1975? Tego się akurat mogę domyślić…

– W ogólnych zarysach. Ale w szczegółach cię zaskoczę. Mam wrażenie, że dzisiaj na sędziów te metody też by działały, Zbyniu. A i nie było to kosztowne, na pięćsetplusy też więc starczy. No więc dla wymiaru sprawiedliwości mam rady.

– Słucham w imieniu Zbynia.

– Należy ugotować kartofle w mundurach. Wcale nie trzeba ich obierać, co oszczędza koszty. Zostaje na pancerne beemy do rozpierdalania. Ugotowane kartofle wkłada się pod pachy sędziemu i bandażuje się ramiona. Ricardo w Rinkebi pokazywał mi blizny pod pachami. Ale była też inna metoda, panowie eleganci. Wystarczyło ząbki czosnku wcisnąć pod naciętą skórę. Zajebiste wrażenie i od razu nie masz ochoty przeciwstawiać się władzy. Nawet nie masz ochoty pytać, czy jest to zgodne z prawem. Jakie to ekologiczne i wegańskie, zobacz, Wołku.

– Zawsze miałam dystans do ekologii i wegaństwa.

– W wymiarze sprawiedliwości podoba mi się to, że ci wszyscy młodzieńcy są tacy ładni i eleganccy. Trzeba przyznać, że minister Ziobro ma dobry gust.

– Tak dobiera, żeby prezesowi się podobało. Zauważyłaś, że w PiS zaskakujące kariery robią tylko młodzi mężczyźni o namiętnych ustach i kobiety w wieku matronalnym? Nigdy odwrotnie?

– A Wassermann?

– Sierota smoleńska. To osobna kategoria.

– Racja. Wracając do Sztokholmu: nasza śliczna Tokarczuk stała na tle ohydnych rzeczy. Aż Szwedów nie podejrzewałam o takie bezguście. Bo ja też tam w 1975 r. jesienią przeżyłam chyba pierwszy zachwyt sztuką. Moore. Henry Moore. Z bólem patrzyłam na tę ciekawą, wybitną i też inną Tokarczuk na tle rzeźbiarskich gniotów.

– A ja w ogóle nie patrzyłam na gnioty, bo wpatrywałam się w Handkego. Siwy, długowłosy, we fraku…

– Przestań się ślinić.

– Poza tym, oczywiście mnie zachwyca, że wszyscy są tak oburzeni, iż Handke dostał Nobla, a przecież jest apologetą rzeźnika Bałkanów.

– A nie jest?

– Jest, tylko Milošević nie był rzeźnikiem Bałkanów.

– Kto tak mówi?

– Międzynarodowy Trybunał Karny dla byłej Jugosławii. W 2016 r. w wyroku skazującym przywódcę Serbów bośniackich Radovana Karadžića trybunał stwierdził: „Biorąc pod uwagę wielokrotnie powtarzaną przez Miloševicia krytykę i dezaprobatę dla polityki i decyzji podjętych przez oskarżonego i przywódców bośniackich Serbów, izba nie uznaje, że w tej sprawie przedstawiono wystarczające dowody, aby stwierdzić, że Slobodan Milošević akceptował ich zamiary".

– Kurwa, Wołku, ja ci tu o sztuce opowiadam, o literaturze i rzeźbie, a ty musisz wyjeżdżać z tą swoją natrętną lewacko-ruską propagandą? Wracając do sztuki: pamiętam, jak miałam psychotropowo-alkoholowy odjazd i moja córka mnie ratowała. Weszłam do luksusowej kliniki. Rozejrzałam się i stwierdziłam: te obrazy są zbyt ohydne, żebym tu została. I wylądowałam w izbie wytrzeźwień. A teraz alkoholizm jak ręką odjął. Nigdy, Wołku, nie ufaj lekarzom. A na ilustrację między nasze nogi wrzucam legitymację nr 4194 z podpisem Łysego. Zezwolenie specjalne. Stan wojenny.

– To ci na koniec mema zacytuję, co mnie zachwycił: „13 grudnia. Znowu jest jak dawniej. Kaczyński w łóżku, Piotrowicz w sądzie, telewizja kłamie i nie ma »Teleranka«". □

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Na dredzie literatura jedzie.

Sierść Alfreda Nobla

Jedna sesja trwa 5–6 godzin i kosztuje 500–600 zł. Na długie gęste włosy trzeba przeznaczyć nawet 3 sesje. Fryzura noblowska powstaje zatem w bólu.

W jednym z wywiadów Olga Tokarczuk wyznała, że nawet jej włosy stały się sprawą polityczną. Jeśli są sprawą polityczną, to może jej nie przeszkodziły w dostaniu Nobla, zaczęłam rozmyślać. Taki Nobel to w końcu przyzwoite pieniądze, wycieczka do Sztokholmu, kolacja z królem, a potem wywiady i autografy. Nieźle, też chyba sobie trzasnę dredy…

Wyszukiwarka Google (nieocenione narzędzie przyszłego noblisty) podpowiada, że w Warszawie jest kilka punktów do robienia bałaganu na głowie. Dzwonię do „Dredy Warszawa by Katarzyna". Terminów nie ma już przed świętami, bo dredziarze chcą zaimponować przyrostem kołtuniastych strąków sędziwym ciociom i babciom i tradycyjnie zrujnować świąteczną atmosferę. Powołuję się na tygodnik „NIE"; przeważnie to nie pomaga, ale w tym wypadku otwiera mi drzwi do lokalu na warszawskiej Pradze. Najwidoczniej my lewicowcy, z natury brudasy i abnegaci, w takich miejscach mamy przywileje i nie musimy czekać – jak Kaczyński – 2 lata w kolejce NFZ.

– Dzień dobry, chciałabym dredy obce nam kulturowo, najlepiej voodoo, żeby na stówę dostać Nobla – mówię, ładując się na fotel pani Gabrieli.

Okazuje się to nie takie proste, dredy to inaczej kołtun, a to jako żywo nasza polska tradycja. Kołtun zwany polskim (po łacinie ***Plica polonica,*** po angielsku ***Polish plait***) tworzył się z łoju i nieznajomości szczotki lub grzebienia. Powstawaniu sprzyjało mu noszenie przez chłopstwo czapki. Ścinanie go w powszechnej opinii powodowało choroby takie jak zaburzenia psychiczne i ślepotę oraz chronił przed diabłem. Mycie głowy w baroku i oświeceniu było uważane za niebezpieczne dla zdrowia. Obcięte przez śmiałków kołtuny składane były w kościołach, aby uchronić się przed zemstą Boga.

Pani Gabriela dzieli mi pasemka włosów. Skóra twarzy zmienia położenie, bo włosy ciągną do tyłu. To naturalny lifting, uspokaja pani Gabriela. Teraz rozumiem, że dla Nobla trzeba się nieźle nacierpieć. Ciągnie mnie cała skóra głowy, łzy lecą z oczu, szczególnie gdy poddawane są obróbce włosy przy skroniach – to taki odruch, nie do opanowania, tłumaczę sobie i raptem czuję nadciągającą katastrofę klimatyczną, ból ginących lasów tropikalnych i tony plastiku w oceanach. Brakuje mi powietrza…

Dredy są kojarzone z lenistwem, brudem i abnegacją. Nic bardziej mylnego. Wie o tym każdy, kto umierał z bólu na takim fotelu jak ja. Dredów bowiem nie klei się na cukier, klej, piwo czy brud, tylko splata bardzo cienkim szydełkiem. Włosek z włoskiem splatany jest w misterny kłos, potem dodawane są kolejne. Boli jak cholera, choć podobno nie każdego tak samo. Włosy splatane są ciasno i przy skórze, tak że uczucie ciągnięcia pozostaje niekiedy przez kilka tygodni. Dla fryzjera zresztą też jest to proces przykry, wszyscy specjaliści mają dłonie pokłute przez ostro zakończone szydełko.

Na dred nie należy nakładać odżywek lub innych środków wygładzających. Gdy włosy odrosną, raz na kilka miesięcy trzeba wrócić na poprawki – dokręcenie włosów odrośniętych od skóry.

W zależności od grubości, gęstości i rodzaju włosa zależy cena i czas.

Wszy – przypominam sobie – czy dodajecie do dredów wszy? Czy trzeba je sobie we własnym zakresie skombinować?

Prawicowe media zapewniają, że jak są dredy, to są i wszy, nie chciałabym więc mieć niekompletnej fryzury!

W salonie wszy nie nabędę i jest to większy problem. Wszy roznoszą dzieci i chyba niezbyt im się podobają dredy, bo pani Gabriela dopiero dwa razy spotkała taki problem u klientów, którzy oczywiście mieli dzieci. Leczenie też jest proste: takim samym szamponem jak przy włosach niezdredzonych.

Przeglądam fryzury innych laureatów literackiego Nobla. Sołżenicyn – broda i zakola. Ellias Cannetti – wąs i fala nad czołem. Marquez – wąs i okulary, William Golding – śnieżnobiała broda. Nawet u Wisławy Szymborskiej lekki cień rysuje się nad górną wargą.

– Pani Gabrielo, przepraszam, ale kończymy. Będę jednak inwestować w brodę.

MARTA MIECIŃSKA
marta.miecinska@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Naród i jego kanty

„Historia Polskiej Fundacji Narodowej (PFN) to tak naprawdę jest historia skandali i niewyjaśnionych wydatków. Pieniądze Polaków są przez PFN zwyczajnie marnotrawione. Zmieniały się zarządy, zmieniali się koledzy, którzy zastępowali innych kolegów, ale praktyki w PFN były cały czas takie same. Jest czysto polityczne przyzwolenie na to, żeby PFN była pośrednikiem do wyciągania pieniędzy ze spółek skarbu państwa i do przeznaczania ich na czysto polityczne partyjne działania" – powiedział poseł Arkadiusz Myrcha, który złożył zawiadomienie do prokuratury w związku z kolejnymi doniesieniami o nadużyciach w rządowej fundacji. Chodzi o sfinansowanie przez PFN wycieczki do USA Antoniego Macierewicza i jego młodego współpracownika Edmunda Jannigera.

Opozycja może składać doniesienia, a i tak nic nie wskóra, póki PiS jest u władzy. W numerze „NIE" 24 z czerwca 2017 r. na pierwszej stronie ukazał się artykuł „Żerowisko PiS".

Alarmowaliśmy: „Gigantyczny skandal! Rządowa fundacja dysponująca setkami milionów złotych ze spółek skarbu państwa, a wokół niej pisowskie kliki walczące o pieniądze".

Wtedy jeszcze mało kto słyszał o PFN, która dopiero się organizowała, ale po przeanalizowaniu okoliczności powstania fundacji nie miałem wątpliwości, jakie cele przyświecały jej utworzeniu. Statut fundacji przekazałem do analizy oficerowi CBŚ zajmującemu się zwalczaniem przestępczości ekonomicznej i gospodarczej. Ostrzegaliśmy: **„Twierdzi on, że mamy do czynienia z bezczelnym skokiem na państwowe pieniądze. (…) Pod przykrywką pseudopatriotycznych frazesów chce się wyprowadzić ponad pół miliarda złotych do zaprzyjaźnionych firemek, stowarzyszeń, spółeczek oraz krewnych i znajomych królika".** Okazało się bowiem, że PFN może wydawać pieniądze na dowolnie wybrane cele, a nie tylko na promocję Polski – jak zapewniano.

Wkrótce wybuchła pierwsza afera. Przy współpracy z obozem władzy PFN przeprowadziła hejterską nagonkę na sędziów, wmawiając opinii publicznej, że są pijakami i złodziejami. Brudną robotę wykonywała spółka Solvere założona przez Piotra Matczuka i Annę Plakwicz, wysokich rangą urzędników Kancelarii Przewodniczącego Rady Ministrów, którzy wcześniej pracowali przy kampaniach wyborczych PiS. Współpracownicy premier Beaty Szydło złamali prawo. Urzędnicy nie mogą prowadzić działalności gospodarczej. Na dodatek podali nieprawdę w oświadczeniach majątkowych. Najpierw w ogóle nie wspomnieli o udziałach, a potem zaniżyli ich wartość. Prokuratura uznała jednak, że nic wielkiego się nie stało (wkrótce po założeniu spółki odeszli z KPRM) i umorzyła sprawę. Po zainkasowaniu honorarium z PFN (media podawały, że mogły to być nawet 2 mln zł) Solvere została zlikwidowana, a Matczuk i Plakwicz wrócili do KPRM na poprzednio zajmowane stanowiska (*sic!*).

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W międzyczasie zawiadomienie do prokuratury złożył poseł Adam Szłapka z Nowoczesnej. Jak poinformowała mnie prokuratura, dotyczyło ono **„nadużycia udzielanych uprawnień lub niedopełnienia ciążących obowiązków przez osoby zobowiązane na podstawie przepisu ustawy do zajmowania się sprawami majątkowymi spółek Skarbu Państwa (…) w związku z przekazaniem środków pieniężnych na działalność Polskiej Fundacji Narodowej i wyrządzenia tym podmiotom szkody majątkowej w wielkich rozmiarach, tj. czynu z art. 296 §1 i 3 kk".**

Jesienią 2017 r. zapytałem w Prokuraturze Regionalnej w Warszawie, która zajmuje się przestępstwami gospodarczymi i finansowymi, jakie czynności podjęto w związku z artykułem „Żerowisko PiS". Odpowiedziano mi tak: **„Zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa postępowanie karne wszczyna się, gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa, przy czym przez »uzasadnione podejrzenie« należy rozumieć konieczność oparcia się przez organ procesowy na konkretnych informacjach – dowodach".**

Okazuje się, że artykuł oparty na rzeczowych argumentach to za mało. Zawiadomienie posła Szłapki prokuratorzy też wyrzucili do kosza.

Zadziwiające jest, że PFN, korzystająca ze środków publicznych i nadzorowana przez rząd, działa w sposób niejawny. Nie informuje ile, komu i za co płaci, zasłaniając się **„tajemnicą handlową".** Wpływu na PFN nie ma nawet sąd, który zobowiązał ją do udostępniania informacji publicznej o wydatkach. Podtrzymuję wszystkie zarzuty wobec PFN sformułowane w 2017 r. Małym pocieszeniem jest to, że moje przewidywania okazały się trafne.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Na co PFN wydaje pieniądze?

- 8,5 mln zł kosztowała kampania szczucia na sędziów. Pieniądze trafiły m.in. do pisowskich mediów, które publikowały szkalujące materiały.
- Pod hasłem „Godność Niepodległej" zorganizowano w Warszawie akcję plakatową wspierającą dekomunizację ulic dokonaną przez PiS. Koszt 6,5 tys. zł.
- Podczas wizyty Donalda Trumpa w Polsce zorganizowano piknik patriotyczny dla żołnierzy USA. Koszt 275 tys. zł.
- W ramach projektu „Zwiastun" zafundowano żołnierzom amerykańskim zwiedzanie historycznych miejsc m.in. obozu w Auschwitz, Wawelu, Muzeum Powstania Warszawskiego, grobu ks. Jerzego Popiełuszki, Izby Pamięci gen. Ryszarda Kuklińskiego. Tą ostatnią zarządza stołeczny radny PiS i wiceszef TVP Polonia Filip Frąckowiak, który był prelegentem i opowiadał jankesom o Kuklińskim. Amerykańscy wojacy spali w Domu Pielgrzyma „Amicus", który działa przy warszawskiej parafii św. Stanisława Kostki. Biznesem zarządzał, zanim trafił na stołek prezesa PFN, Cezary Jurkiewicz, warszawski radny PiS. Koszt „Zwiastuna" to 300 tys. zł, ale ile z tego trafiło do radnego Frąckowiaka i domu pielgrzyma, nie ujawniono.
- Dla uczczenia 150. rocznicy urodzin marszałka Józefa Piłsudskiego wydano śpiewnik „Pieśni żołnierskie i legionowe". Koszt ok. 370 tys. zł.
- Za 100 tys. zł wyprodukowano film o zmarłej radnej PiS Oldze Johann, który potem pokazano na zamkniętym pokazie w kinie „Wisła" na warszawskim Żoliborzu, rzut beretem od domu Kaczyńskiego. Na projekcji był oczywiście prezes i wierchuszka partyjna. Film wyreżyserowała Maria Dłużewska, autorka serii o Smoleńsku, m.in. dokumentów „Mgła", „Pogarda", „Dama" (o Marii Kaczyńskiej, „Córka" (o Marcie Kaczyńskiej), „Testament" (o dzieciach pięciu pasażerów lotu). Dłużewska nakręciła też film o badaczach teorii zamachu z podkomisji smoleńskiej, m.in. Wacławie Berczyńskim, Wiesławie Biniendzie i Kazimierzu Nowaczyku.
- Wynajęto firmę PR, która ma dbać o wizerunek PFN. Koszt nieznany.
- Wydano album ku czci Karola Wojtyły „Święty Jan Paweł II i Jego Europa" ze zdjęciami papieskiego fotografa i słowem wstępnym kardynała Zenona Grocholewskiego. Koszt 300 tys. zł.
- Kupiono stary jacht we Francji, którym żeglarz Mateusz Kusznierewicz miał popłynąć w rejs dookoła świata. Koszt przedsięwzięcia utajniono, ale według nieoficjalnych informacji wyniósł on ok. 20 mln zł. Kusznierewicz nie popłynął, gdyż pokłócił się z PFN. Wyprawa ruszyła jesienią 2018 r. W kwietniu 2019 r. jacht został uszkodzony. Przez pół roku stał w jednym z portów na Rhode Island. Łajba nie była ubezpieczona, a doba w marinie kosztuje od 300 do 500 dolarów.
- Wyprodukowano film „The Royal Tour", w którym premier Mateusz Morawiecki opowiadał, jak wspaniały krajem jest Polska pod rządami PiS. Koszt filmu utajniono, choć, jak zdradził jego współproducent amerykański dziennikarz Peter Greenberg, budżet był „znaczny".
- 5,5 mln dolarów wypłacono amerykańskiej firmie PR White House Writers Group związanej z nadwornym historykiem PiS Markiem Janem Chodkiewiczem. Za te pieniądze założono w mediach społecznościowych profile promujące Polskę, które obserwowało kilkadziesiąt osób; organizowano fikcyjne spotkania z VIP-ami; finansowano posiłki w restauracjach, hotele, bilety lotnicze.
- Za 3,7 mln zł wyprodukowano i upowszechniono w mediach USA 30-sekundowy spot, na którym duchowni różnych wyznań ślą życzenia świąteczne dla Amerykanów, mówiąc: „A freilicher Chanuka", „Merry Christmas", „Eid Mubarak" i „Happy Holidays".

Lustracja sędzi Pawłowicz

- **„Wierzę, że będziemy mieli silną, wolną i sprawiedliwą Polskę, wolną od komunistów i postkomunistów".**
- **„Ze zdumieniem odkryłem, że w polskim Sądzie Najwyższym znajduje się cała grupa sędziów, którzy orzekali jako sędziowie należący do komunistycznej partii".**
- **„To są postkomunistyczne obyczaje, w których jest grupa nietykalnych, których nie wolno dotknąć, tak jak nietykalni byli przed 1989 rokiem"**

– to tylko kilka z niedawnych słów Andrzeja Dudy o konieczności gruntownej reformy wymiaru sprawiedliwości.

Pan prezydent jak powiedział, tak zrobił. I 5 grudnia przyjął ślubowanie na sędziego Trybunału Konstytucyjnego od Stanisława Piotrowicza, prokuratora stanu wojennego, członka PZPR aż do jej końca.

Media miały z tego wielkie używanie, ale nikt nie pochylił się nad przeszłością innej nominowanej – Krystyny Pawłowicz. Przez grubo ponad tydzień siedziałem w bibliotekach, starając się przeczytać wszystko, co ta była gwiazda PiS opublikowała w PRL – a przyjemniej byłoby siedzieć u dentysty. Oto, co znalazłem.

• • •

Antykomunistyczną karierę polityczno-naukową przyszła sędzia Pawłowicz rozpoczęła podczas studiów na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Należała do Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, młodzieżówki PZPR. Mało tego – była nawet sekretarzem Uczelnianego Sądu Koleżeńskiego UW. Faktem tym nigdy nie chwaliła się publicznie, sprawę ujawnił na Twitterze kilka miesięcy temu były poseł Samoobrony.

Promotorem pracy doktorskiej młodej Krysi był prof. dr hab. Ryszard Malinowski, według dostępnych w internecie danych członek uczelnianej Podstawowej Organizacji Partyjnej, a nie każdy mógł to o sobie powiedzieć.

Rys. HENRYK CEBULA

W tworzeniu liczącej ponad 350 stron dysertacji Polska Ludowa raczej Krystynie nie przeszkadzała:

wsparły ją i ministerstwa, i Komisja Planowania, i szefowie państwowych zakładów przemysłowych.

„Regulowanie życia gospodarczego za pomocą planowania ma obecnie miejsce we wszystkich prawie krajach Europy Zachodniej, a najdłuższe w tym zakresie ma gospodarka francuska" – pisze autorka. **„Wydaje się, że w warunkach gospodarki planowej wymóg ekonomiczny dotyczący decentralizaji możliwy jest do wykonania"** – można przeczytać. **„Centralne planowanie jako najwyższy i najbardziej ogólny środek postępu"** – cytuje znawców autorka.

Krystyna nie krzywi się na system sądowniczy PRL. Nie pisze o nadzwyczajnych kastach. Przeciwnie. **„Głosy powątpiewające w możliwości zawodowe sędziów w sprawach tzw. gospodarczych nie wydają się uzasadnione"** – stwierdza stanowczo.

Polska Ludowa jej nie śmierdzi, w przypisach miejscami nie zgadza się z Balcerowiczem.

• • •

W 1979 r. Krystyna Pawłowicz ukończyła aplikację sędziowską, zapewne nie podając nawet ręki nikomu, kto otarł się o czerwony wymiar sprawiedliwości. Zaczęła również pisać opinie prawne dla krajowych instytucji, komisji i przedsiębiorstw, choćby opracowując **„system środków kontroli wykonania planów",** cokolwiek to znaczy.

Lata 80. spędziła w Uniwersytecie Warszawskim – niechybnie próbując rozwalić system od środka. Służyły temu z pewnością liczne artykuły. Choćby te publikowane w „Państwie i Prawie", branżowym miesięczniku czerwonych prawników.

Artykuły Pawłowicz sąsiadowały tu – z pewnością z obrzydzeniem – obok takich tekstów jak „Stan nauk prawnych i ich zadania w procesie socjalistycznej odnowy" czy *„Konstitucija SSSR i razwitije zakonodatielnoj diajatielnosti Wierchownych Sowietow Sojuznych Riespublik"*. Pod przymusem autorka najwyraźniej pisała o centralnym planowaniu, socjalistycznym systemie PRL, działalności Huty Stalowa Wola, zakładach Cegielskiego czy stworzonym w stanie wojennym Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Teksty publikowała również w „Życiu Gospodarczym". 6 października 1985 r. dzieliła łamy m.in. z propagandowym wywiadem z dr. Józefem Koziołem, zastępcą przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Tytuł: „Lepszy stół Polaka".

W 1987 r. tak dobrze opisywała wspólne przedsiębiorstwa polsko-radzieckie, że artykuł przedrukowany został nawet w ZSRR.

• • •

Z całokształtu prac naukowych Krystyny Pawłowicz z okresu PRL trudno wysnuć jakąkolwiek jej niechęć do systemu – raczej jest to troska o jego sprawność.

Dowodem fakt, że jedyną nieścisłością, którą znalazłem w okazałym peerelowskim CV przyszłej sędzi TK, było pochwalenie się przez nią opublikowaniem w 1987 r. dwóch artykułów w „Trybunie Robotniczej" – śląskim lokalnym piśmie, jeszcze bardziej komuszym od „Trybuny Ludu".

„Trybuna Robotnicza", oficjalny dziennik PZPR, odznaczona została nawet Orderem Sztandaru Pracy I Klasy i miała wypisane nad ceną hasło **„Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!"**. Niestety, wbrew zdaniu Pawłowicz, ani w numerze 5, ani 6 z 1987 r. próżno szukać jej artykułu dyskusyjnego „Słowo w drugim etapie". Owszem, znalazłem tu i sprawozdanie z posiedzenia biura politycznego KC PZPR, i głos w sprawie III Plenum, a nawet wzmiankę o pełnej aprobacie Związku Radzieckiego dla polityki kierownictwa Afganistanu – ale tekstu Krystyny Pawłowicz nie było.

Może więc popieprzyła wtedy numery. A może tylko chciała podkręcić sobie CV, gdy komuchy jeszcze nie były dla niej tak paskudne.

MICHAŁ MARSZAŁ
michal.marszal@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

Dzwon w dom

Kościół prywatny, awantury katolickie.

Ludzie nie wiedzą, że wsiadając do samochodu i jadąc na zakupy, popełniają grzech świętokradztwa. Ich samochody mają bowiem zakurzone opony, czasem ubłocone, a niekiedy wręcz ubrudzone odchodami. Opony te jadą po drodze, która – co urzędowo zostało potwierdzone – stała się kawałkiem uświęconej ziemi.

Działka 1328/3 to fragment pasa drogowego w Złożeńcu. Powiatowy Zarząd Dróg w Zawierciu podarował ją na cele kościelne. W ten sposób proboszcz będzie mógł ukarać niewierną owieczkę i odciąć jej wyjazd z posesji. Weźmie wroga głodem.

Naprawdę ksiądz Jacek urzęduje w Parafii Rzymsko-Katolickiej Podwyższenia Krzyża Świętego w sąsiedniej Strzegowej. Parafia ta obejmuje również Złożeniec. Kilkadziesiąt lat temu proboszczem był kto inny, zaś ojciec pana Mieczysława gorliwym katolikiem. Zawziął się: – Ci ze Strzegowej mają świątynię, a my nie? Tak dalej być nie może.

Wybudował kościół, zapewniając sobie miejsce w niebie. Maleńki, bo maleńki, ale jednak kościół. Budowla stanęła przed domem pana Mieczysława, trochę z boku, aby mógł wyjechać na drogę. Jej dach jest jakieś 3 m od salonu, gdzie stoi telewizor.

Aby kościół różnił się od stodoły, budowlę wieńczy wieżyczka. Patronką świątyni została Najświętsza Maryja Panna. Msze odbywają się w niej regularnie. Za ziemię, na której stoi kościół, najpierw jego ojciec, a potem pan Mieczysław ciągle płacili podatki, odciążając w ten sposób parafię. Ksiądz Jacek mógł być dumny z tego, że jako jedyny proboszcz w okolicy jest gospodarzem aż dwóch domów bożych.

Duma była niepełna. Cóż bowiem znaczy dom boży bez prawdziwego dzwonu. Ksiądz skombinował dzwon. I to za jego sprawą pan Mieczysław raczej nie pójdzie już do nieba.

Tamtą pamiętną niedzielę poprzedzała sobota. Dla pana Mieczysława mozolna i pracowita. Wieczorem padał z nóg. Po wejściu pod pierzynę natychmiast zapadł w kamienny sen.

Ze snu wyrwało go bicie dzwonu zawieszonego na wysokości sypialni. Po raz pierwszy w niedługich dziejach kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny w Złożeńcu dzwon wzywał wiernych na mszę.

Jako gorliwy katolik pan Mieczysław milczał, a przez to milczenie tłamsił frustrację, która narastała. Gdy więc ksiądz mu oznajmił, że świątynia jest ciasna i trzeba ją rozbudować, zamiast wyrazić zgodę, zaprotestował.

– Przecież zaraz za nią stoi nasz dom – powiedział.

– Za domem macie pole – zauważył proboszcz. – Wybudujecie sobie nowy dom, tam dalej.

Następnie ksiądz publicznie ogłosił zamiar rozbudowania świątyni. Pan Mieczysław pokazał mu akt własności, co bardzo zatroskało księdza Jacka.

– Niech ci, synu, Pan Bóg wybaczy, bo nie myślisz o swoim zbawieniu. Będę się modlił o twoje nawrócenie – obiecał.

Rozbudowa świątyni ruszyła dzięki sąsiadom, wśród których byli m.in. miejscowi policjanci. Rodzina pana Mieczysława najpierw tłumaczyła, że samowolka odbywa się na jej prywatnej ziemi. Gdy to nie dało rezultatu, pan Mieczysław z bliskimi rozebrał kilka cegieł. Ksiądz złożył doniesienie o popełnieniu przestępstwa.

Rys. TOMASZ WIATER

Sąd w Zawierciu nie miał wątpliwości, że doszło do zbrodni. Sąd odwoławczy w Częstochowie skazał całą rodzinę. Z kolei sąd cywilny badał prawo własności. Pierwsza instancja nie miała wątpliwości: skoro świat został stworzony przez Boga, to oczywiste, że cały należy do niego. Pana Boga w Złożeńcu reprezentuje ksiądz Jacek. A zatem to jemu należy się ziemia, którą duchowny wskaże.

Sąd Okręgowy w Częstochowie był jednak innego zdania i wyrok pierwszej instancji uwalił.

Samorządowe Kolegium Odwoławcze w Częstochowie było kolejną instytucją, która badała, na czyjej ziemi stoi kościół. W lipcu 2018 r. orzekło, że na ziemi pana Mieczysława.

Pan Mieczysław na powrót stał się pełnoprawnym właścicielem kościoła. Fakt, że małego, ma tutaj równie małe znaczenie. Bardziej istotne jest to, że nieremontowana nigdy budowla zmieniła się w ruderę. Na dachu zaczęły rosnąć drzewa. Mury kruszyły się i osypywały. Nie wiadomo, kiedy runie i nie wiadomo, czy runie na dom pana Mieczysława, od którego dzieli ją (co zostało urzędowo zmierzone) 3,6 m, czy może na drogę. Nie wiadomo też, czy drogą akurat nie będą przechodzić czy przejeżdżać ludzie. To tylko jeden Pan Bóg wie.

W trosce o bezpieczeństwo pan Mieczysław wystąpił o zgodę na rozbiórkę kościoła. Zawierciańskie urzędy nie wyraziły zgody, ale Śląski Inspektorat Nadzoru Budowlanego w Katowicach orzekł, że wolno.

Prawo swoje, a pasterz i owieczki swoje. Ksiądz Jacek ogłosił zaciąg ochotników, którzy odważą się wejść na dach świątyni i ściąć rosnące tam samosiejki. Następnie ochotnicy mają doprowadzić kościół do takiego stanu, aby śpiewanie w nim psalmów nie zakończyło się katastrofą budowlaną.

Zgłosili się policjanci. Weszli na dach i ścięli drzewka, następnie go pomalowali. W tym czasie mieli wolne. Pan Mieczysław zadzwonił pod numer 997. Do kościoła przyjechali policjanci, którzy wolnego nie mieli. Jeden z nich przyjmował zgłoszenie.

– Panie władzo, to samowolka budowlana. – Pan Mieczysław pokazał świeżo pomalowany dach. – I naruszenie miru domowego, gdyż to wszystko odbywa się na moim terenie.

– Mam alergię na zapach farby – poinformował policjant. – Nic teraz nie zrobię. Czy pan nie słyszy, że właśnie odbywa się msza?

Faktycznie. Natychmiast po zakończeniu prac na dachu ksiądz Jacek odprawił mszę dziękczynną. Dziękował Panu Bogu za to, że ochotnicy przeżyli.

Prokuratura badała przypadek naruszenia miru domowego. Ustaliła, że do przestępstwa nie doszło i sprawę umorzyła. Policjanci co prawda wtargnęli na prywatną posesję, ale przestępstwa nie popełnili, gdyż kierowało nimi dobro wyższego rzędu. Nie wykonywali poleceń księdza Jacka, ale Boga, który przez księdza przemawiał.

Proboszcz z ambony podziękował policji za łamanie prawa. Następnie ogłosił zbiórkę na sądy.

Wymienił Sąd Rejonowy w Zawierciu, Sąd Okręgowy w Częstochowie i Wojewódzki Sąd Administracyjny w Gliwicach. Kazał przynosić po 100 zł do parafianki Haliny.

– Jak ktoś ma więcej, to może dać więcej – zapewnił. – Sprawy muszą się toczyć.

Wspomniane sprawy prowadzi dwoje adwokatów. Wśród nich jest jedna z parafianek księdza Jacka, ale zapewne i ona nie zawsze pracuje za „Bóg zapłać". Zbiórka szła chyba niesporo, gdyż tydzień później wielebny gromił owieczki: – Nie jesteśmy pachołkami! Na sądy i kościół łożyć pieniądze trzeba!

Nic dziwnego, gdyż parafii grozi zapłata nawet ćwierć miliona zł za bezumowne dzierżawienie kościoła. Co prawda Sąd Okręgowy w Częstochowie zasądził 240 zł, ale Sąd Apelacyjny w Katowicach 15 lipca 2019 r. wyrok ten unieważnił i nakazał powtórzyć proces.

Wieść gminna niesie, że niedawno do księdza Jacka przyszła jedna z owieczek. Opowiedziała, że brudnym samochodem przejechała odcinek drogi podarowany przez Powiatowy Zarząd Dróg w Zawierciu na cele kościelne.

– Czy nie jest to świętokradztwo? – pytała.

Ksiądz Jacek się zafrasował. Nie wiedział, jak odpowiedzieć. Ale że jest człowiekiem nowoczesnym, odpalił komputer i wszedł na stronę Adonai.pl – „Sakramenty spowiedzi". I poprosił odpowiadającego za tę stronę księdza Marka o ekspertyzę.

„Szczęść Boże, drogi księże" – odpowiedział ksiądz Marek. **„Świętokradztwo polega na znieważaniu osób, miejsc oraz rzeczy poświęconych Bogu i będących przez to Jego szczególną własnością. Mamy zatem 3 rodzaje świętokradztwa, podział ten zależy od tego, jakiego rodzaju byty poświęcone Bogu zostały sponiewierane. Oto niektóre przykłady świętokradztwa: sprofanowanie Najświętszego Sakramentu. Zbezczeszczenie kościoła. Należy pamiętać, że świętokradztwo jest grzechem ciężkim i tym samym powoduje utratę łaski uświęcającej. Aby grzech ten został odpuszczony, należy zań żałować, postanowić poprawę oraz szczerze wyznać go na spowiedzi".**

Ksiądz Jacek z ulgą odetchnął. Następnie zaprosił parafiankę do konfesjonału. Wyznała mu grzech jeżdżenia autem, a on ją z tego rozgrzeszył.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

REBUS 4

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ *To jest **ideologiczna wojna hybrydowa**. To, co proponują **organizacje LGBT**, to jest tworzenie nowego człowieka, **nowego wyborcy**. (…) Niestety organizacje LGBT na poziomie ideologicznym dążą do jednego celu – **zniszczenia rodziny**. To jest cel, który został bardzo jasno nakreślony przez **Karola Marksa** i ten cel cały czas jest realizowany, szkoda tylko, że za polskie pieniądze.*

Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, Radio Maryja, 10 grudnia

■ *To jest w ogóle **przemocowa ideologia** i co będzie, jak oni osiągną władzę absolutną? Przecież oni **w dominujących mediach, Unii Europejskiej** czy w polityce już mają absolutną władzę, ale to jest mało, oni muszą zdusić każdy opór i zniszczyć każdego, kto im się sprzeciwia. (…) **Komuniści** też chcieli unicestwić każdego, kto ma inne zdanie i tak samo **genderyści**. Tym bardziej trzeba się im przeciwstawiać.*

ks. prof. Dariusz Oko, Radio Maryja, 11 grudnia

■ *Oni są w ogóle niezdolni do znoszenia krytyki, to wiąże się z **postawą marksistyczną**, ale też **niesamowitą pychą**. To są z reguły **ateiści**, którzy myślą, że są nadludźmi i są więksi od Boga, dlatego są zszokowani, że ktoś może mieć inne zdanie i ich krytykować, a im bardziej ta krytyka jest trafna, tym bardziej budzi ich **wściekłość, gniew i agresję**. Tam, gdzie oni osiągają władzę, tam nie ma miejsca dla innego myślenia, tam jest unicestwienie wszelkich innych poglądów.*

dalej Oko

■ *Mamy różne inicjatywy: „Aborcja bez granic" albo „Aborcyjny Dream Team" wychwalające pod niebiosa **aborcję**, która nie jest w całości dopuszczalna w Polsce. (…) **Musimy to zwalczać**. My, tutaj w Polsce, jesteśmy obrońcami. Jesteśmy obrońcami podstawowych praw i **prawa naturalnego**. Nie można uznawać za dobrodziejstwo zabijania w XXI w. To zakrawa o aberrację. To jest coś, co by nie przeszło **największym zbrodniarzom**, być może nawet teraz, przez myśl, żeby tak nazywać tego typu działania.*

Mikołaj Pawlak, Rzecznik Praw Dziecka, Radio Maryja, 12 grudnia

■ *Nie rozumiem, co to znaczy **„przyjazny rozdział Kościoła od państwa"**. Przypomnę, co mówił Szewach Weiss, że Izrael jest wpisany w Gwiazdę Dawida i oficjalnie ma ten symbol u siebie, więc **Polska** jest również **wpisana w chrześcijaństwo**. Ja sobie nie wyobrażam „przyjaznego rozdziału Kościoła od państwa". Ten rozdział Kościoła od państwa brzmi bardzo groźnie. **Komuniści** również mówili o rozdziale Kościoła od państwa i wiemy, jak się to skończyło. To kolejny eksperyment, który będzie dążył do tego, żeby **wyeliminować chrześcijaństwo** z życia publicznego, a na to nie może być zgody. Chrześcijanie jednak stanowią w Polsce większość.*

Dorota Kania, Fronda.pl, 14 grudnia

■ *Aby lepiej zrozumieć specyfikę wywodów **pani Tokarczuk** – pomijając oczywiście tak trywialne wątki jak **lojalność wobec salonu** i **klasyczny konformizm** przybrany w szaty kontestatorskie – należy przyjrzeć się bliżej jej **zapleczu intelektualnemu i duchowemu**. Myślę, że kluczem do zrozumienia postaci pisarki jest jej **zafascynowanie neognostycyzmem** i jedną z najważniejszych postaci tego zjawiska, jaką był Carl Gustav Jung, twórca tzw. psychologii analitycznej oraz ważna postać ruchu **New Age**.*

Michał Wałach, Pch24.pl, 10 grudnia

■ *Dlaczego Pani **Olga Tokarczuk** na ceremonii wręczania Nagrody Nobla nie powiedziała **Szwedom i Królowi Szwedzkiemu**, że **palili, gwałcili, mordowali, rabowali** i kolonizowali kraje europejskie w XVII i XVIII w., że zabierali niewolników (jeńców) w wojnie 30-letniej, w szwedzkim Potopie, że produkowali piece krematoryjne do niemieckich obozów koncentracyjnych w Europie, że **przechowywali złoto żydów polskich** i nie tylko polskich zrabowane przez Niemców, że dobrowolnie **dostarczali Hitlerowi żelazo** na ich czołgi i armaty, że przepuszczali uzbrojoną armię niemiecką przez swoje terytorium do Finlandii, że ich materialny dobrobyt pochodzi z tego handlu z Niemcami i z krwi narodów Europy i świata. Dlaczego tego nie opisze np. w „Księgach Gunnarowych" i im tego w twarz nie powie? Dlaczego im nie powie, że Szwedzi muszą napisać swoją historię na nowo i muszą się z nią zmierzyć, bo żyli legendami i mitami?*

prof. Stanisław Mariusz Karpiński, Fronda.pl, 15 grudnia

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

eprasa.pl 10b00941c8

1. W ramach swojej inkluzywnej i multikulturowej polityki prezydent USA zaprosił przedstawicieli środowisk żydowskich do Białego Domu na obchody święta Chanuki. Do gości przemówił pastor Robert Jeffress, znany z opinii, iż Żydzi nie będą zbawieni, bo są Żydami. Albowiem „trzej najwspanialsi Żydzi w Nowym Testamencie: Piotr, Paweł i Jezus Chrystus, wszyscy powiedzieli, że judaizm tego nie załatwi, tylko wiara w Jezusa Chrystusa". Gdyby ktoś się zastanawiał, dlaczego Trump zaprasza antysemitę do przemawiania na Chanuce, prezydent wyjaśnił: „Nie znałem Roberta Jeffressa, ale obserwowałem go, oglądałem go w różnych programach i powiedziałem sobie: Lubię tego faceta, który tak świetnie o mnie mówi. Bo lubię ludzi, którzy mówią o mnie dobrze".

2. Brytyjski liberalno-lewicowy dziennik „Independent" postanowił wziąć w obronę uciskaną mniejszość, jaką w Wielkiej Brytanii stanowią ortodoksyjni chrześcijanie. „Independent" donosi o „głęboko obraźliwych" kartkach świątecznych firmy Love Layla z Yorkshire. „To kolejny smutny przykład tej niedostrzeganej przez większość dyskryminacji, na jaką narażeni są dziś chrześcijanie w całej Europie" – mówi gazecie James Mildred z organizacji Christian Action Research and Education. Treść obelżywych kartek brzmiała: „No, niech już Maria przyzna, że spała z kimś innym"; „Jezus Cię kocha, choć osobiście sądzę, że jesteś pizdą" oraz – nasza ulubiona – „Sorry, że twoje grudniowe urodziny zostały przyćmione przez faceta, który nosił skarpety do sandałów". Na razie, polska mniejszość w UK nie oprotestowała tego ostatniego aktu polonofobii, ale cierpliwości…

3. Theresa Kenerly, burmistrz Hoschton w stanie Georgia, odrzuciła podanie o pracę, ponieważ kandydat – jak wyjaśniła współpracownikom – „jest czarny". To rzecz, której dziś w USA zdecydowanie się nie mówi, nawet jeśli sporo osób nadal tak myśli. Jednak jej szczerość znalazła obrońcę. Jim Cleveland, członek rady miasta, ogłosił, że pani burmistrz ma rację, albowiem Hoschton to „głównie biała społeczność", a białych z czarnymi mieszać nie należy. Tak mówi Pismo. „Jestem chrześcijaninem, a moje chrześcijańskie przekonania mówią, że nie zawiera się małżeństw międzyrasowych. Mam czarnych przyjaciół, zatrudniam czarnych ludzi. Ale jak widzę czarnych i białych, którzy są ze sobą, to krew mi się gotuje się, bo po prostu tak nie powinien żyć chrześcijanin". Biały Jezus na pewno też tak myśli.

4. Chrześcijańska grupa strażniczek moralności nazywająca się ambitnie Milion Mam (na Twitterze ma 3792 zwolenników, dużo roboty więc przed nią) wzięła na celownik kanał filmowy Hallmark. Dotychczas – zawodzą mamy – Hallmark był kanałem przyjaznym rodzinie, aż tu nagle pojawiła się reklama serwisu internetowego do planowania ślubów Zola.com wyobrażająca, o zgrozo, lesbijski ślub! Nie tylko lesby stoją w niej w strojach ślubnych, ale jeszcze się na końcu całują. Nie żeby z języczkiem, ale jednak. List mam do stacji: „Kochany Hallmarku! Nasza rodzina oglądała twój wspaniały film oparty na prawdziwej historii. Było późno, ale pozwoliliśmy naszej córce oglądać z nami. Podczas przerwy reklamowej pojawiła się reklama Zoli z dwiema kobietami, które zwarły się ustami! Dość tej gejowskiej agendy!".

5. Podczas corocznego charytatywnego biegu Savannah Bridge Run nadająca na żywo z trasy biegu reporterka lokalnej telewizji skamieniała, gdy jeden z mijających ją biegaczy z impetem klepnął ją w tyłek, co zarejestrowała kamera. Klip z klapsem obejrzano ponad 10 milionów razy – i szybko ustalono, że biegacz to 43-letni Tommy Callaway z Statesboro. „Dałem się porwać chwili" – tłumaczy Tommy. „Przygotowywałem się, by podnieść ręce i machać do kamery i w wyniku błędu w ocenie charakteru sytuacji i zaburzenia procesu podejmowania decyzji dotknąłem jej pleców, nie wiem, w którym miejscu". Tommy jest kochającym mężem i ojcem dwóch córek, filarem lokalnej społeczności, instruktorem drużyny skautów i – jakżeby inaczej – aktywnym działaczem swojego Kościoła, w którym jako ochotnik pracuje z młodzieżą.

6. Żołnierze Jezusa to brazylijska sekta zielonoświątkowców, która kreatywnie łączy żarliwą wiarę z handlem narkotykami. Pod flagą Izraela – który zdaniem wyznawców sekty jest warunkiem powrotu Chrystusa na ziemię – żołnierze mordują księży innych wyznań, kamienują dzieci i ze szczególną determinacją likwidują świątynie innych obrządków. Najwięcej uwagi poświęcają rosnącym w XXI w. w siłę afroamerykańskim religiom synkretycznym, takim jak candomblé – lokalny odpowiednik voodoo. Swoboda działania sekty wiąże się z faktem, iż jej bratem w wierze jest ultraprawicowy prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, 3-krotnie żonaty obrońca wartości rodzinnych, znany z opinii, że lepiej mieć syna martwego niż pedała, czarni Brazylijczycy są tłuści i leniwi, a feministki zbyt brzydkie, żeby je zgwałcić.

7. Byron Wood, pielęgniarz z Vancouver, który walczy z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków, wystąpił przeciwko pracodawcy, publicznej służbie zdrowia z Vancouver, która uzależniła jego powrót do pracy od uczestnictwa w AA. AA jest organizacją o charakterze religijnym, a Wood jest ateistą. „Gdy kwestionowałem filozofię 12 kroków lub próbowałem mówić o naukowych interpretacjach i sposobach leczenia uzależnienia, słyszałem, ze jestem »w wyparciu«, muszę przyznać, że jestem bezsilny i poddać się sile wyższej. To było nieskuteczne i upokarzające". Dobra wiadomość jest taka, że Trybunał Praw Człowieka Kolumbii Brytyjskiej uwzględnił jego skargę, stwierdzając, że programy AA mogą być uznane za dyskryminujące wobec uzależnionych, którzy są ateistami i w interesie publicznym jest rozwiązanie tego zagadnienia. No cóż… Kanada.

Brud bród

Łączy Świętego Mikołaja, Zandberga i Macierewicza. I nie chodzi o czerwony akcent w życiorysie.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

„Nie będziesz golił włosów po bokach brody" – poucza starotestamentalny Jahwe w Księdze Kapłańskiej. Zakaz ten należy do tzw. Kodeksu Świętości. Noszenie zarostu musiało być dla Boga dość istotne, skoro wymienił je jednym tchem z zakazem kazirodztwa, zoofilii i homoseksualizmu. Jeśli chodzi o rzeczy zewnętrzne, to Bóg zakazał również noszenia ubrań z dwóch rodzajów tkanin, a także tatuowania się. Nie jest łatwo zostać świętym.

„Taki duży, taki mały – może świętym być" – darły japę gnojki z „Arki Noego". Okazuje się jednak, że długobrody Maksymilian Kolbe ma ważniejszą wejściówkę do nieba niż Tadeusz Rydzyk, a Witold Waszczykowski jest (od niedawna) w kolejce przed Jarosławem Kaczyńskim. Lech Kaczyński co prawda – dla odróżnienia od brata – przez pewien czas nosił wąsy, ale jest to zarost pomijający miejsca wskazane przez Jahwe, czyli boki głowy. Nie wiadomo, jak św. Piotr rozlicza wąsy.

Ów atrybut męskości w różnych czasach i kulturach miał różne znaczenie. Obecnie znowu jest w łaskach mody, a salony golibrodów (zwanych dziś barberami) są oblegane przez żądnych modnego kroju zarostu brodaczy. Dawniej cyrulik, oprócz golenia brody, zajmował się m.in. wyrywaniem zębów czy upuszczaniem krwi. Dziś goli frajerów i trwoni ich krwawicę, a po wizycie w takim przybytku klient może wbić zęby w ścianę. Usługi współczesnych balwierzy nie należą do najtańszych.

Broda otoczona jest nimbem niesamowitości, kto więc nie zdecyduje się na zakup jednorazowej maszynki za 3 zł, musi się liczyć z tym, że wkrótce zostawi u barbera wielokrotność tej stawki. W zamian może liczyć na szklaneczkę whisky oraz inne formy łechtania męskiego ego.

Chociaż broda to – jako się rzekło – atrybut męskości, pielęgnacja i utrzymanie zarostu w estetycznych ryzach wymaga zabiegów i preparacji mogących się równać z damską toaletą. Olejki, balsamy, specjalne szampony, wosk, rozczesywanie, przycinanie trymerem, wreszcie odwiedziny u barbera – wiele czasu, energii i pieniędzy trzeba poświęcić, aby poczuć się męsko. Do codziennej pielęgnacji brody niezbędne są również akcesoria takie jak: kartacz (szczotka do brody, a nie pyza z mięsem), trymer, brzytwa, pędzel – najlepiej z włosia borsuka. **„Drwaloseksualność"** – wzbudzająca skojarzenia z nieokrzesaną samczością bujna broda wiąże się z metroseksualnym dbaniem o włosy na twarzy. Wiele trzeba poświęcić uwagi i czułości brodzie, aby wyglądała na naturalnie zaniedbaną. Idzie ochujeć albo dorobić się majątku na dorabianiu filozofii do golenia i niegolenia.

Choć *„barba non facit philosophum"* (**„broda nie czyni filozofem"**) – to jest filozof, który uczynił filozofię brody. Amerykanin Henry Pratt, pracownik Marist College w Poughkeepsie w stanie Nowy Jork, pochylił się nad filozoficznymi, estetycznymi i etycznymi aspektami męskiego zarostu. Zainspirował go średniowieczny filozof św. Anzelm, który stwierdził, że nie jest hańbą brak brody u żółtodzioba i gołowąsa, ale gdy mężczyzna, który może mieć brodę, nie zapuszcza jej – to zbrodnia. Podobnie brak sprawiedliwości nie jest wadą natury, która nie jest zobowiązana do sprawiedliwości, ale hańbi naturę, która jest zobowiązana postępować sprawiedliwie – powiada Anzelm. Henry'ego Pratta to przekonało i napisał uczoną rozprawę o brodach. **„Powinniśmy szanować piękno i tworzyć je, gdzie to tylko możliwe: jeśli ktoś jest w stanie wyhodować piękne włosy na twarzy, powinien to zrobić, ma to wartość moralną. Biorąc również pod uwagę, że należy być autentycznym wobec siebie – jeśli komuś rośnie zarost, to ma estetyczny obowiązek pielęgnować go"** – twierdzi Pratt. Dla potwierdzenia tej tezy przywołuje oblicza zarośniętych mężczyzn, którzy mieli niebagatelny wpływ na dzieje świata: Jezusa, Lincolna czy Świętego Mikołaja. Prawdopodobnie z powodu wyznawanego światopoglądu nie wymienił w tym katalogu Marksa, Darwina ani Freuda.

Jest też broda – z drugiej strony – reliktem przemijającego świata. Twarzowe owłosienie to przecież także symbol samczej pychy i patriarchalizmu. Pratt zdaje sobie sprawę z tego, że broda może budzić u współczesnego człowieka negatywne

Święte kalorie

Przez święta można się nawpierdalać, przytyć, a później nowo narodzony Jezus pomoże sadło zrzucić.

Rys. TOMASZ WIATER

W tłustej Ameryce wzięcie ma książka „Stworzona, by pragnąć" Lysy Terkeurst. O tym, jak wiara pomaga w chudnięciu.

3 zdrowaśki na wynos. Główne założenie jest takie – obżeramy się z powodu **„niedożywienia duchowego"**. A sposób na dożywienie jest jeden – Kościół i zdrowaśki.

Kobiety – twierdzi autorka – są szczególnie narażone na grzech łakomstwa, o czym świadczyć ma biblijna dyrdymałka z Ewą, rajem i jabłuszkiem. Diabeł w postaci węża wiedział, czym najłatwiej babę skusi – żarciem. **„Upadek ludzkości nastąpił w okolicznościach kuszenia kobiety jedzeniem. Dlatego wierzę, że Bóg traktuje tę sprawę bardzo poważnie"** – pisze Terkeurst.

Podstawowe założenie diety: gdy chce się żreć, to nie żremy, tylko się modlimy: **„Drogi Boże, mam ochotę na ciastka, ale zjem gotowane jajko. Dziękuję za to jajko"**. Albo: **„Boże, znajomi idą na meksykańskie jedzenie, które uwielbiam. Pomóż mi, Boże, cieszyć się ze zdrowszego jedzenia"**.

Bywa, że w modlitwy dietetyczne wtrąci się diabeł. **„Bóg jest daleko, a tymczasem frytki można kupić tuż za rogiem…"** – szepnie do otłuszczonego uszka. Dumnie odpowiadamy wtedy: **„Frytki mnie nie kochają!"**.

Jeśli będziemy modlić się szczególnie intensywnie, możemy liczyć na różne gratisy odchudzające. **„Modliłam się o męża, który by mnie zdopingował do ruchu. Bóg odpowiedział na moją modlitwę wyjątkowo hojnie!"** – opowiada Lysa, której trafił się mąż sportowiec, zmuszający ją do rekreacyjnego biegania.

Bez brzucha lepiej rucha. Zadaniem kobiet jest nie tylko odchudzanie siebie, ale i grubych mężów – dowiadujemy się z katolickiego portalu Aleteia.pl (**„Co zrobić, żeby mój mąż schudł. Kilka praktycznych porad"**). W praktyce oznacza to gotowanie dietetycznych obiadków, pilnowanie, żeby ślubny nie jadł *fast foodów* na mieście i duchowe wsparcie. Ale nie tylko. Jest i pomoc z góry. **„W czasie diety twojego męża możecie wspólnie prosić o wstawiennictwo św. Isnarda"** – czytamy. To włoski zakonnik żyjący w XIII w. **„Prowadził życie głębokiej pokuty, był jednak tak otyły, że pod koniec życia nie był w stanie opuścić swojej celi"**. Św. Isnard najlepiej rozumie, jak się żyje z piwnym brzuchem i ponoć pomaga w jego zrzuceniu.

Uwaga! Skutkiem ubocznym mężowskiej diety może być zwiększona częstotliwość stosunków seksualnych. **„Początkowo twój mąż może zachowywać się jak drapieżnik, który nie ma pod dostatkiem świeżego mięsa. Twoim zadaniem będzie więc odwrócić jego uwagę od głodu za pomocą kobiecego uroku"** – uprzedzają autorzy.

Głodne kawałki. Można też iść na całość i nie żreć wcale. Kościół odnotował w swoich nabożnych raportach

przypadki osób, które przez kilkadziesiąt lat żywiły się tylko poświęconymi wafelkami (najwyżej jednym dziennie), bez innej karmy czy nawet wody.

eprasa.pl 10b00941c8

emocje, próbuje więc pożenić posiadanie czupryny na facjacie z nowymi prądami intelektualnymi.

Sam filozof wyznaje raczej konserwatywne poglądy, ale wie, że nie ma co walczyć z wiatrakami. Jest jak jest – chłop potęgą już nie jest i basta. Zauważa więc myśliciel, że brodacz ma dzisiaj kilka opcji. Może olać względy estetyczne i nosić zaniedbany zarost, żeby nie obnosić się z samczą pychą. Może olać feministki i nosić wymuskaną brodę niczym pawi ogon. Może udawać, że broda i patriarchalizm nie pozostają ze sobą w związku lub wreszcie próbować małymi krokami odczarować zarost. Ostatnia opcja to zadanie na lata, dopóki wszyscy nie zostaną przekonani, że broda to po prostu broda, a nie twarzowe przedłużenie kutasa. W tym celu – przekonuje Pratt – należy namawiać feministów i feministki do zapuszczania zarostu na twarzy.

Poglądy Pratta są w pewnej mierze zgodne z poglądami innego konserwatysty, choć z nieco innego kręgu kulturowego. Murat Bayaral – turecki muzułmański kaznodzieja – ma jeszcze inny argument na dowód tego, że mężczyzna zobowiązany jest nosić widoczny zarost.

„Mężczyzna ma nosić brodę. To jedna z dwóch części ciała, która odróżnia go od kobiety. Gdy np. widzisz mężczyznę z długimi włosami, który nie nosi brody, z daleka może on wyglądać jak kobieta, ponieważ dziś kobiety i mężczyźni ubierają się podobnie” –

pouczał islamski mędrzec w tureckiej telewizji w 2017 r. Takie upodobnienie może zaś prowadzić do daleko idących konsekwencji. **„W takiej sytuacji mężczyzna ten może być źródłem nieczystych myśli”** – twierdzi Bayaral. Co oznacza, że gładko ogolony młodzieniec z długimi włosami jest wcieloną homopropagandą.

Na koniec zła wiadomość dla brodaczy: w męskiej brodzie jest więcej bakterii niż w psiej sierści. Rewelacje te ogłoszono w poważnym medycznym piśmie „European Radiology” po przebadaniu 18 mężczyzn (z brodami) i 30 psów (bez bród). Oznacza to, że Mariusz Kamiński jest bezpieczniejszy, całując bokserkę Tekilę, niż dając ciumka Macierewiczowi.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Przykład. Bawarska stygmatyczka Teresa Neumann w 1927 r. oznajmiła, że nic oprócz **„ciała Chrystusa”** wkładać do buzi już nie będzie. Jedzenia i picia wyrzekła się w intencji uzdrowienia mężczyzny z jej parafii, którego choroba **„została przeniesiona na jej gardło”.** Na prośbę jednego z biskupów niejedzącą ulokowano na 15 dni w szpitalu w celu szczegółowego zbadania jej przewodu pokarmowego. Tam – jak wieść katolicka niesie – Teresy przez całą dobę pilnowały pielęgniarki. Nie pozwalały jej nawet chodzić do kibelka – „jedynki” i „dwójki” robiła do plastikowych woreczków, których zawartość też badano.

Jak odnotowano, Neumann codziennie konsumowała tylko 1/8 **„ciała Chrystusa”.** Każdy kawałek wafelka był nasączony odrobiną wody. Niemka – dzięki opracowanej przez siebie diecie – miała ważyć 55 kilo, co dla wielu kobiet przeciętnego wzrostu jest masą pożądaną. Ani za dużo, ani za mało. Zdarzało jej się nawet ważyć mniej, bo w każdy piątek miała aerobik, tzn. wpadała w **„ekstazę pasyjną”** i **„przeżywała w swoim ciele Mękę Chrystusa”.** Bywało, że po fitnessie waga Teresy spadała o kilka kilogramów, żeby później wrócić do tych 55. Kolejnych badań nie przeprowadzono. Pozostaje nam wierzyć, że Neumann dietowała przez kolejne 35 lat. A dożyła lat 64. To nie tak dużo, ale do końca zachowała figurę, co zostało docenione – trwa jej proces beatyfikacyjny.

JUSTYNA CIEŚLAK

Czarna dziura

Refleksja na koniec roku: zgoda, przegraliśmy wybory. Zgoda, wszystko wskazuje na to, że przegramy następne – zważywszy na stan opozycji. Ale nie był to rok całkiem stracony.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Był to bowiem rok, w którym dość radykalnie zmienił się stosunek Polaków do Kościoła katolickiego i jego funkcjonariuszy. Od umownego ustępowania miejsca w tramwaju (umownego, bo kto kiedy widział księdza w tramwaju) do opluwania na ulicach.

Jestem przeciwna opluwaniu kogokolwiek na ulicach. Ale – jak mówi jedyna biblijna maksyma, która mnie przekonuje – kto sieje wiatr, ten zbiera burzę. Kler jest

rozsadnikiem agresji

wobec **„obcych”, „lewaków”,** a przede wszystkim wobec osób nieheteronormatywnych. Jest to agresja powszechna. Według danych Kampanii Przeciw Homofobii, 27 procent osób LGBT spotkało się z fizyczną agresją, 20 procent z groźbami przemocy, 18 procent z wyzwiskami. Nie sposób doprawdy przecenić zasług hierarchów Kościoła katolickiego w Polsce – i zwykłych księży – w motywowaniu i uzasadnianiu napaści na pedałów, lesby i przebierańców w całej wzniosłej polskiej homofobii. Jeśli teraz spotyka ich to samo traktowanie, które od lat fundują innym, to może znak, żeby przemyśleli swoje życie.

Jak zawodził w tygodniku „Sieci” niejaki ks. Królak z parafii św. Augustyna w Warszawie, **„duchowni są wyzywani nawet na ulicy, wystarczy przejść w sutannie ulicami Warszawy, by usłyszeć wyzwiska »pedofil«, »zboczeniec« albo inne obraźliwe wyrażenia”.** No to teraz wiecie, jak czują się geje, gdy spotykają na ulicach chrześcijan słuchających kazań arcybiskupa Jędraszewskiego.

Agresja ma to do siebie, że pączkuje. Że nie jest tak, iż świadomość społeczna przechodzi drogę od uniżoności do zdrowej nieufności i tam się zatrzymuje. Sutanna coraz częściej wywołuje napaści agresji. Prawicowe media pełne są lamentów na ten temat. W Głogowie ksiądz chodzący po kolędzie został zwyzywany i uderzony pięścią. We Wrocławiu bezdomny dźgnął księdza nożem. W Mosinie trzech 14-latków urządziło sobie imprezę w kruchcie: palili, pili piwo, jeden się wysikał. Ksiądz, który przyszedł ich opieprzyć, dostał w twarz. W Szczecinie trzej faceci wtargnęli do kościoła i chcieli **„odprawić mszę”,** poturbowali proboszcza i kościelnego, którzy próbowali im przeszkodzić. **„Sprawcy działali z powodu przynależności wyznaniowej poszkodowanych do Kościoła katolickiego, grożąc pokrzywdzonym natychmiastowym pozbawieniem życia i doprowadzając ich do stanu bezbronności”** – podała prokuratura.

Kler reaguje paniką, co jest akurat dość zrozumiałe. To sytuacje, z którymi nigdy wcześniej nie miał do czynienia, spędzając ostanie kilkadziesiąt lat w

błogim przeświadczeniu

o swoim szczególnym statucie. Gorzej, jeśli to przekonanie skłania duszpasterzy do oczekiwania wsparcia policji tam, gdzie powinni okazać miłosierdzie, pokorę i miłość bliźniego, które przecież mają wpisane w zakres obowiązków zawodowych. Jak wtedy, gdy wezwali policję do 13-latka, który schował hostię do kieszeni, albo gdy biskup wrocławski domagał się ścigania trojga ludzi, którzy przyszli złożyć akt apostazji i wkurwili się, że ksiądz odmówił ich przyjęcia. Prokuratura wystąpiła o aresztowanie „agresora” na 3 miesiące, a sąd odrzucił wniosek, bo opis agresji wyglądał tak: **„W pewnym momencie rozmowy w kancelarii parafialnej mężczyzna zdjął krzyż i wyciągnął go w stronę księdza, tuż przed jego twarz”.** Wyobraźmy sobie, jak bardzo przejęłaby się prokuratura, gdyby chodziło o księdza podtykającego krzyż pod twarz ateisty.

Apostazja to zjawisko, które wprawia czarnych w stan szczególnej konfuzji. Z jednej strony Kościół usiłuje ją ignorować – jak wszystko, co niewygodne. W materiałach Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego znajdujemy wiadomość sprzed prawie dekady: że **„liczba apostatów za okres 2006–2009 (łącznie)”** wyniosła 1057, a w samym roku 2010 – 459, wobec czego **„w związku ze stosunkowo niewielką skalą zjawiska, ISKK nie kontynuował prac badawczych aktów apostazji w Polsce”.**

Dzięki tej światłej decyzji nie wiemy, ilu Polaków wypisuje się dziś z papizmu – ale nie ulega wątpliwości, iż zainteresowanie tą procedurą wzrasta. Po premierze filmu Sekielskich liczba osób wchodzących na strony typu Apostazja.info czy Wystap.pl w poszukiwaniu instrukcji

odchrzczenia się

wzrosła dziesięciokrotnie. Ile z tych osób realizuje ten zamiar – nie wiadomo (sama mam to zaniedbanie na sumieniu) – ale możemy się domyślać, że sporo, wnioskując po reakcji kleru. Wspomniany ks. Królak lamentował organowi Karnowskich: **„Ostatnio modne zrobiły się apostazje, a więc świadome i oficjalne »wypisanie się« z Kościoła, ze spisu parafian. Jednak tacy petenci przychodzą nie tyle z zamiarem dokonania formalności, ile demonstracji światopoglądowej. Są aroganccy, podnoszą głos, z dziwną satysfakcją obrażają Kościół, często używając słów wulgarnych. Tacy goście czasem nagrywają rozmowy, licząc na jakiś skandal lub nieodpowiednie wątki w rozmowie”.**

To wszystko zjawiska, z którymi Kościół wcześniej nie miał do czynienia. Nikt nie nagrywał księży, gdy mówili: **„Co łaska, ale nie mniej niż tysiąc”,** żaden „pasterz” nie czuł się na cenzurowanym podczas rozmów z „owczarnią”. Teraz zaczęli się bać.

Oczywiście w tej zmianie świadomości fundamentalna jest rola roku filmu „Tylko nie mów nikomu” braci Sekielskich z maja 2019 r. Okazuje się – i to jest niewątpliwie pozytywna wiadomość – że nie mieli racji ci, którzy sądzili, że wśród Polaków katolików dominuje opinia, iż jest to **„atak na Kościół”,** przed którym trzeba duszpasterzy bronić, wybierając PiS. Jak wykazuje bezcenny raport „Krytyki Politycznej” na temat cynizmu politycznego Polaków, nawet twardzi wyborcy PiS mówią, że film Sekielskich **„wgniótł ich w fotel”** i że **„episkopat powinien się cały podać do dymisji, bo oni wszyscy są dobrze umoczeni”.** Jak zauważają autorzy raportu, zaskakująco nie przekłada się to na opinię o antyszambrującej w pałacach episkopatu władzy – ale w tym kontekście jest to akurat mniej ważne. PiS nagrabi sobie na innych poletkach – za to nie sposób przecenić wagi

załamania autorytetu

Kościoła, która wiąże się z tym dokumentem.

Co zresztą powinno nam uświadomić skalę problemu. Fakt, iż przekaz o zboczeńcach w sutannach ma taki oddźwięk w społeczeństwie, dowodzi tego, jak wielu Polaków spotkało się, osobiście albo pośrednio, z tym zjawiskiem. Jak wielu z nas ma zagrzebane gdzieś w pamięci z dzieciństwa doświadczenie obleśnego klechy, z którym dopiero dzisiaj ma odwagę się skonfrontować.

Mój ulubiony przykład to ks. Olgierd Nassalski – marianin, z którym zetknęłam się podczas mojej bardzo krótkiej przygody z papizmem za późnego Gierka. Zapamiętałam go, bo na jedynych rekolekcjach, na jakich w życiu byłam, przez 3 dni mówił do 8-latków o onanizmie – a w 2002 r. przeczytałam w „Przekroju” publikację reżysera Andrzeja Saramonowicza o jego doświadczeniach z ks. Nassalskim, który miał zwyczaj wsadzać chłopcom rękę w spodnie podczas puszczania slajdów z życia Świętej Rodziny. W tej opowieści ważne jest to, że wszyscy wiedzieli, co się dzieje. **„Swoista zabawa, którą my, uczniowie, prowadziliśmy między sobą, polegała na tym, by przyjść jak najwcześniej i usiąść jak najbliżej ściany, uniemożliwiając Łysemu dostęp do siebie. Spóźnialscy, dla których zostawały tylko miejsca na skraju, stawali się przedmiotem naszych drwin i docinków w drodze powrotnej do domów”** – wspomina Saramonowicz. I choć wtedy, w latach 70. czy 80., dzieci nie opowiadały o tym rodzicom – a nawet gdyby, to katoliccy rodzice nie lecieli z donosem na milicję, bo nie chcieli skarżyć się komunie na Kościół – to świadomość takich historii tkwi głęboko w mentalności wielu Polaków. Film Sekielskich i zadyma wywołana wokół niego przez prawicę były katalizatorem tego wspomnienia, które dziś przekłada się na szeroko pojęty upadek powszechności Kościoła kat.

Z czerwcowego raportu CBOS na temat młodzieży wynika, że już tylko 63 procent maturzystów uważa się za osoby religijne – dekadę temu było ich ponad 80 procent.

Uczestnictwo w lekcjach religii spadło z 93 do 70 procent – i to tylko dzięki wiernym ze wsi i małych miasteczek, W Warszawie, Poznaniu czy Łodzi katechizuje się mniej niż połowa uczniów szkół średnich.

„Autorytet Kościoła” zwija się coraz szybciej – i rok 2019 był czasem wielkiego postępu w tym procesie. Ostatnie 12 miesięcy to film Sekielskich, ujawnienie mrocznej historii prałata Jankowskiego, który latami

gwałcił dzieci

pod egidą świętej Brygidy, obalenie pomnika ks. Makulskiego – pedofila, który wybudował jeden z pięciu największych kościołów na świecie, pełne obnażenie mobbingowych i finansowych praktyk abp. Głódzia. To czas olbrzymiego postępu w niełatwym procesie emocjonalnej emancypacji Polski z czarnych macek.

Radujmy się! Alleluja!

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

REBUS 5

eprasa.pl 10b00941c8

Polska jest jedynym krajem w Europie, w którym działa policja religijna.

Strażnicy majtek

W Arabii Saudyjskiej na straży moralności stoi wszechwładny Komitet Krzewienia Cnót i Zapobiegania Złu – policja religijna zajmująca się egzekwowaniem przestrzegania szariatu. Polskim odpowiednikiem saudyjskich strażników jest katolicki Instytut Na Rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, który naciska na PiS, aby wprowadziło całkowity zakaz aborcji, a kobiety poddające się zabiegowi, żeby były karane więzieniem. Prawnik Ordo Iuris był członkiem ministerialnej grupy roboczej, która chciała wprowadzić ustawowy zapis, że sprawcą przemocy domowej nie jest osoba, która tylko raz dopuściła się pobicia.

Z władzą za pan brat

Ludzie z Ordo Iuris trzymają sztamę z władzą państwową. **Aleksander Stępkowski,** założyciel i pierwszy prezes instytutu, był wiceministrem spraw zagranicznych, a niedawno PiS zrobiło go sędzią Sądu Najwyższego w specjalnie utworzonej Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych.

Prof. Tadeusz Pietrucha wspiera Andrzeja Dudę w Narodowej Radzie Rozwoju.

Prof. Andrzej Kochański doradza wicepremierowi, ministrowi nauki i szkolnictwa wyższego Jarosławowi Gowinowi i ministrowi zdrowia Łukaszowi Szumowskiemu, dzięki któremu został konsultantem krajowym ds. genetyki klinicznej.

Dr hab. Krzysztof Wiak jest członkiem Rady Polityki Penitencjarnej przy ministrze sprawiedliwości. Zbigniewowi Ziobrze dobrą radą służy też **dr Tymoteusz Zych,** który został ulokowany w ministerialnym zespole ds. ochrony autonomii rodziny i życia rodzinnego. Zych współpracuje (jako konsultant) z minister rozwoju Jadwigą Emilewicz i wicepremierem, ministrem kultury i dziedzictwa narodowego Piotrem Glińskim, który wsadził go do rady Narodowego Instytutu Wolności rozdzielającego pieniądze organizacjom pozarządowym.

Jerzy Kwaśniewski był członkiem rad doradczych czterech ministrów sprawiedliwości. Teraz doradza Ziobrze w Zespole Monitorującym ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie.

Sekciarski rodowód

Tomasz Piątek ujawnił, że Ordo Iuris został założony przez członków globalnej sekty TFP (*Tradição, Família e Propriedade* –Tradycja, Rodzina i Własność), która wywodzi się z Brazylii. Według historyczki Gizele Zanotto TFP powstało jako **„instytucja totalna”.** W celu ujarzmiania ludzi organizacja stosowała metody znane z więzień, obozów koncentracyjnych i przytułków dla psychicznie chorych. Założycielem TFP był **Plinio Corrêa de Oliveira,** a prasa brazylijska tak opisywała jego imperium: **„Rozkoszna posiadłość (…) w północnej części São Paulo (…). Młodzi mężczyźni (…) ze szkarłatnymi proporcami marszowym krokiem paradują tam i z powrotem między kaplicą a małym basenem (…). Wstaje tu się o piątej rano – na kąpiel w zimnej wodzie, modlitwę, medytację i głośne czytanie z ksiąg prawnika Plinia Corrêi de Oliveiry (…), założyciela i najwyższego dowódcy TFP (…). Świeccy mnisi-żołnierze trenują nieustannie na wypadek wojny między aniołami i demonami, która, jak uczy Plinio, oznaczać będzie koniec świata (…). Oprócz funduszy, dostarczanych przez nielicznych, ale hojnych sponsorów, międzynarodowe oddziały organizacji (…) ślą swemu światowemu liderowi dobra ogólnie niedostępne dla zwykłego Brazylijczyka, np. kawior (…). Dwaj nowicjusze, Valmir de Oliveira i Mauricio Vistock, byli przetrzymywani w chlewiku, gdzie przez 12 godzin musieli kwiczeć: Jestem świnią!”.***

W 1995 r. francuska komisja śledcza zaliczyła TFP do sekt. W oficjalnym raporcie dla parlamentu organizację uznano za pseudokatolicką. Przed TFP ostrzegali wiernych biskupi z Brazylii oraz „Gość Niedzielny” wydawany przez Kurię Metropolitalną w Katowicach.

Próba zastraszenia

Powiązania z obozem władzy i sektą sprawiają, że Ordo Iuris czuje się bezkarny, w swych działaniach stosując formy nacisku na instytucje publiczne, stowarzyszenia, samorządy, instytucje kultury i placówki oświatowe, których działanie uznaje za wrogie swojej ideologii.

Studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego wysłali do rektora petycję, aby zakazał fundamentalistom katolickim organizacji w Collegium Novum seansów nienawiści

Ilustr. WŁODEK KIERUS

z udziałem nawiedzonej amerykańskiej antyaborcjonistki **Rebeki Kiessling,** która twierdzi, że walczy z aborcją, bo została poczęta w wyniku gwałtu, a z judaizmu nawróciła się za sprawą chłopaka, który złamał jej szczękę. Ordo Iuris poczuł się urażony protestem i wysłał do studentów **„wezwanie przedprocesowe”** z żądaniem przeprosin, wycofania petycji i wpłaty **„zadośćuczynienia za doznaną krzywdę w wysokości nie niższej niż 100 tys. zł”.** Na kwicie podpisał się adwokat Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris.

Wina Sheena

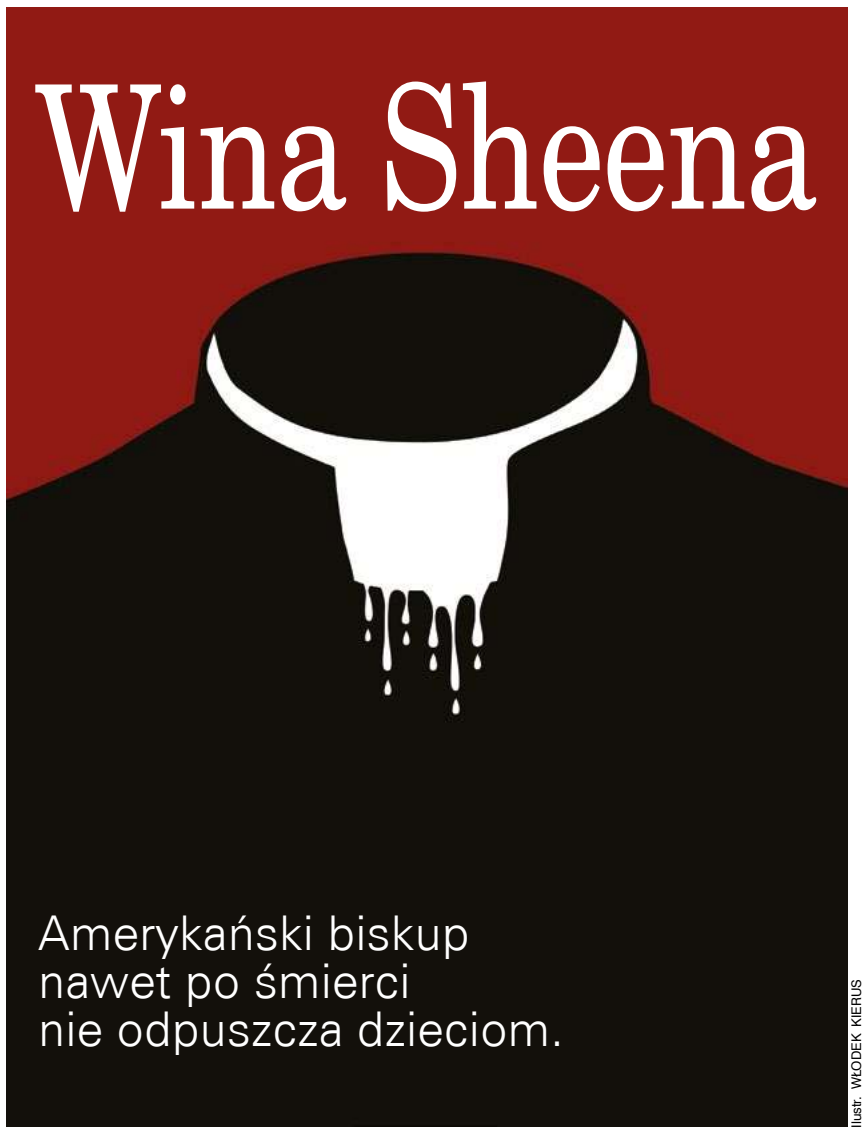

Amerykański biskup nawet po śmierci nie odpuszcza dzieciom.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Abepe Fulton John Sheen to prekursor dzisiejszych medialnych klechów oraz internetowych kaznodziejów. Urodzony 8 maja 1895 r. w El Paso chłopski syn dochrapał się wysokich stanowisk kościelnych i jako jeden z pierwszych duchownych zauważył i docenił potęgę środków masowego przekazu. Uznał, że można je wykorzystać w służbie propagandy religijnej. Posiadający skrojoną na miarę Amerykanów charyzmę telewizyjną przetarł szlak Rydzykom, Szustakom i innym, którzy teraz bombardują owce z głośników, ekranów i monitorów opowiastkami o Bozi.

Pierwszą audycję radiową „Life is Worth Living” („Życie jest warte przeżycia”) zaczął prowadzić w 1951 r. Szybko zjednał sobie słuchaczy, podając kościelne brednie w atrakcyjnym opakowaniu. Ten patent działa do dziś. Jeżeli mówca ma odpowiednią prezencję, głos i gadane, logiczne niedostatki w treści przemowy są mu wybaczone.

1. Zmarły w 1979 r. – a więc już za pontyfikatu J.P.2 – Sheen, choć nowoczesny w formie, pozostał wsteczny w treści. Nie był liberałem, przeciwnie – twardo trzymał się starych zasad. W telewizji występował w pełnym biskupim rynsztunku, co podobało się przyzwyczajonym do pajacerki w szołbiznesie pożeraczom hamburgerów. **„Nieraz uważamy coś za nowoczesne, ponieważ nie umiemy rozpoznać tego, co dawne. Mnóstwo tzw. nowatorskich idei to w rzeczywistości stare błędy, którym nadano nowe nazwy”** – twierdził kościelny gwiazdor. Przyklaskiwali mu ważniejsi od niego. **„Dobrze pisałeś i mówiłeś o Panu Jezusie! Jesteś wiernym synem Kościoła”** – pocieszał starego i schorowanego Amerykanina papież Wojtyła w czasie wizyty w USA. **„Prorok czasów”** – mówił o nim wcześniejszy lokator Piotrowego stolca, ulubieniec Żydów Pius XII.

2. Za życia Fulton Sheen osiągnął wiele. Był na okładce „Time'a”, co łączy go z Hitlerem, Stalinem i Trumpem. Dwukrotnie odebrał Emmy – jedną z czterech najważniejszych nagród kulturalnych w USA, przyznawaną za produkcję telewizyjną. To z kolei stawia go w jednym rzędzie z Jennifer Aniston, Tomem Hanksem czy Billem Cosbym. Towarzystwo tego ostatniego nie jest ostatnio zbyt pożądane ze względu na to, iż siedzi on w pierdlu za przestępstwa seksualne.

Do kompletu nagród brakuje Sheenowi tylko aureoli. Zrozumiałe, że Kościół kat. postanowił uhonorować swojego wybitnego propagandzistę miejscem w poczcie świętych. Ten sam Kościół w osobie papieża Franciszka tę koronację aureolą opóźnia. Poszło mniej więcej o to, co z Billem Cosbym.

Wszystko było już dopięte na ostatni z wielu guzików sutanny. Proces beatyfikacyjny przebiegł pomyślnie i czcigodny sługa Boży abepe Sheen miał zostać ogłoszony błogosławionym 21 grudnia 2019 r. Tymczasem **„Stolica Apostolska zadecydowała o przełożeniu daty beatyfikacji na wniosek kilku członków Konferencji Biskupów, którzy poprosili o ponowne rozważenie sprawy”** – czytamy w oświadczeniu, które wydał bepe Daniel Jenky, ordynariusz diecezji Peoria, rodzimej diecezji niedoszłego błogosławionego.

Na teflonowym obrazie życia Sheena zaczęły pojawiać się rysy. **„Niezależnie od tego, jak bardzo lubisz lody, nie sprawiałoby ci przyjemności, gdyby ktoś wciskał ci je do gardła. Nigdy nie będziesz szczęśliwy, robiąc rzeczy, których nie chcesz robić. Dlatego Bóg dał człowiekowi wolną wolę, aby mógł wybierać rzeczy, które lubi, zamiast zmuszać go, aby je zaakceptował”** – pisał Sheen w swoim „Wstępie do religii”. Niektórzy twierdzą, że nie umiał egzekwować tej zasady od podwładnych.

„Proces beatyfikacyjny danej osoby musi zarazem obejmować analizę jej całego życia. W tym kontekście diecezja Rochester wzięła pod rozwagę okres, w którym Fulton Sheen piastował stanowisko biskupa Rochester. Przed ogłoszeniem beatyfikacji diecezja Rochester za pośrednictwem nuncjusza apostolskiego przekazała diecezji Peoria oraz Kongregacji Kultu Świętych dokumentację wyrażającą niepokój dotyczący kontynuacji procesu beatyfikacyjnego arcybiskupa Sheena bez dodatkowego zbadania jego roli w przydzielaniu kapłanów do parafii. Inni hierarchowie podzielali ten niepokój i wyrażali go. Nie istnieją skargi przeciw arcybiskupowi Sheenowi, które dotyczyłyby jego osobistego niewłaściwego zachowania i w tej kwestii nie zostały poczynione żadne insynuacje” – brzmi dalsza część biskupiego oświadczenia.

Znaczy to tyle, że sam arcybiskup wprawdzie nie molestował, ale – jak śpiewał Kaczmarski o Juliuszu Cezarze – **„milcząc, zabaw nie zabraniał”.** Tak się składa, że niebawem światło dzienne ujrzy raport Prokuratora Generalnego Nowego Jorku na temat pedofilii i jej tuszowania. Wątpliwości budzą kontakty Sheena z ks. Gerardem Gulim, oskarżonym o molestowanie wielu dzieci. Sheen, jako biskup Rochester, miał mu dać pracę, mimo że było już wiadomo o jego występkach. Amerykańscy hierarchowie, aby uniknąć skandalu, zaapelowali do Franciszka, by wstrzymał się z wynoszeniem na ołtarze postaci nie do końca krystalicznej.

3. Zwolennicy twardej linii Kościoła widzą w sprawie drugie dno. Przypuszczają, że lewacki Franciszek wespół z poplecznikami ze Stanów sabotują beatyfikację Sheena, bo jest on symbolem konserwatyzmu i ikoną walki o wartości przez obecnego papieża deptane. Polskim wyrazicielem tego toku myślenia jest Tomasz Terlikowski, który wprawdzie ostatnio zelżał w przekazie, ale jego serduszko nadal pika w rytmie chorału gregoriańskiego. **„Przełożenie beatyfikacji arcybiskupa Fultona Sheena na wniosek kilku biskupów amerykańskich sprawia wrażenie decyzji politycznej. Jakby chciano nie dopuścić do wyniesienia na ołtarze kapłana i biskupa o ortodoksyjnych poglądach, żeby nie wzmacniać konserwatywnego nurtu w amerykańskim katolicyzmie. Niechęć części najbliższych współpracowników Franciszka i jego samego do tego nurtu amerykańskiego Kościoła nie jest niczym nowym. Chciałbym się mylić, ale… nie widać innego wyjaśnienia”** – komentował decyzję papieża.

Nie śmiem polemizować z Terlikowskim, że tuszowanie pedofilii leży w jądrze katolickiej doktryny. W końcu to on jest wybitnym znawcą katolickiej doktryny, a nie ja.

„Ostatecznym potwierdzeniem świętości kandydata na ołtarze jest cud, którego nie da się wyjaśnić naturalnie. Taki cud się wydarzył za wstawiennictwem arcybiskupa Fultona Sheena. To Niebo potwierdziło jego świętość. Wszystko inne to polityka” – uzupełnił nasz ulubiony redaktor. Z tym cudem to już w ogóle wyższy poziom ironii i absurdu. Sheen, żeby zostać błogosławionym, pośmiertnie… wskrzesił martwego niemowlaka. Tak przynajmniej twierdzi para z Peorii, której dziecko przyszło w 2010 r. na świat martwe, ale po godzinie modlitw za wstawiennictwem arcybiskupa ożyło. Lepszej puenty niż Watykan nie wymyślę.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

eprasa.pl 10b00941c8

„To histeryczna próba zastraszenia. Osobliwy jest także sposób dostarczenia pisma, którego adresatami są zupełnie przypadkowe osoby. Jego autor grozi sprawą karną, co jest niezgodne z zasadami etyki adwokackiej” – mówił adwokat prof. Jan Widacki.

Zastraszaniem studentów zainteresował się Rzecznik Dyscyplinarny Izby Adwokackiej w Warszawie, który wszczął postępowanie dyscyplinarne przeciwko Kwaśniewskiemu. Przez prawie 2 miesiące bezskutecznie próbowałem się dowiedzieć od rzecznika prasowego Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie, co się dzieje w sprawie. W końcu otrzymałem zdawkową odpowiedź, że **„postępowanie dyscyplinarne jest w toku”.** Można przypuszczać, że krzywda Kwaśniewskiemu się nie stanie.

Kontaktu z „NIE” unika też dyrektorka Zespołu Szkół nr 31 w Warszawie Maria Witomska-Rynkowska. Ordo Iuris zażądał od kuratorium oświaty i wojewody mazowieckiego **„podjęcia kroków prawnych”** w związku z wyjazdem uczniów do gdańskiego Teatru Wybrzeże na przedstawienie „Śmierć białej pończochy”. Zdaniem ekstremistów religijnych nastolatkowie zostali zmuszeni do oglądania **„obscenicznego spektaklu teatralnego”,** który **„zawierał fragmenty drastyczne, wulgarne i mogące obrażać uczucia religijne”.** Ordo Iuris domaga się przykładnego ukarania belfrów, którzy zorganizowali wyjazd.

Jak się dowiedziałem, kuratorium oświaty podjęło już stosowne czynności. Chciałem porozmawiać z dyrektorką, nauczycielami i uczniami. Witomska-Rynkowska nie odpowiedziała na mój mail. Gdy zadzwoniłem, sekretarka spuściła mnie na drzewo, mówiąc, że dyrektorki nie ma i nie będzie w najbliższym czasie. Pedagodzy boją się, że kontakt z dziennikarzem „NIE” mógłby stanowić pretekst do postawienia im zarzutu?

Instrukcja dla prokuratorów

Szczytem bezczelności było pismo do Zbigniewa Ziobry, w którym Ordo Iuris zarzucił prokuraturze, że niezbyt gorliwie ściga osoby, które pomagają kobietom usunąć ciążę. Chodzi o tych, którzy udzielają rad lub informacji, jak i gdzie przeprowadzić zabieg. Zdaniem fanatyków religijnych kluczowe jest samo pomocnictwo czy podżeganie. Ziobro rozesłał pismo do wszystkich prokuratur w Polsce z zaleceniem, aby śledczy przyłożyli się do pracy (sic!).

„Nie wiem, jak to możliwe, że opinia prywatnego podmiotu bez żadnego trybu staje się stanowiskiem podmiotu publicznego. To anomalia. W prokuraturze obowiązuje zasada hierarchiczności i zależności służbowej. Dlatego pomysły Ordo Iuris stają się w pewnym sensie poleceniem służbowym. Bo jak to inaczej rozumieć?” – nie krył zdziwienia prof. Marcin Matczak.

Inwigilacja szkół

Instytut współpracuje też z resortem edukacji narodowej, aby zakazać wstępu do szkół organizacjom pozarządowym promującym tolerancję, prawa człowieka i edukację seksualną. W tym celu przygotowano wykaz organizacji, przed którymi należy **„chronić dzieci”.** Dostało się m.in. Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego, której prezeską jest Ewa Junczyk-Ziomecka, minister w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Niepokój katolickich rygorystów wzbudziły prowadzone przez fundację warsztaty „Bądź jak Karski – ćwiczenia z empatii i szacunku”. Z kolei w przypadku Fundacji Edukacji Społecznej autorzy raportu dostrzegli, że **„wyraża poparcie dla wprowadzenia obowiązkowej, rzetelnej i neutralnej światopoglądowo edukacji seksualnej dla gimnazjalistów i licealistów”.**

W marcu 2018 r. doszło do spotkania przedstawicieli MEN i Ordo Iuris. Ustalono, że kuratorzy oświaty baczniej będą się przyglądać, które organizacje prowadzą zajęcia w szkołach. **„Chcemy przypomnieć dyrektorom szkół za pośrednictwem kuratorów oświaty o konieczności uzyskania pozytywnej opinii rodziców dotyczącej działalności organizacji czy instytucji w szkole”** – tłumaczyła rzeczniczka MEN. A wystarczy, że znajdzie się kilku nawiedzonych rodziców, aby dana organizacja nie weszła na teren szkoły.

Dr Iwona Chmura-Rutkowska, pedagożka z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, zamieściła na Facebooku apel: **„Instytut Ordo Iuris inwigiluje szkoły i zastrasza dyrektorki i dyrektorów, które i którzy, odpowiadając na potrzeby dzieci i rodziców, prowadzą od lat we współpracy z organizacjami pozarządowymi profilaktykę antyprzemocową, działania antydyskryminacyjne i przeciwdziałające wykluczeniom. (…) Drodzy Rodzice, jeśli w waszej szkole są wrażliwi i mądrzy ludzie w kadrze pedagogicznej, którzy pomagają waszym dzieciom rozwijać empatię, szacunek, akceptację dla innych, którzy wyciągają wasze dzieci z opresji, gdy doświadczają nietolerancji i przemocy – to wspierajcie ich!”.**

Lustracja organizacji

Aby prześwietlić wroga, Ordo Iuris zażądał od podpadniętych organizacji (m.in. Fundacji Feminoteka, Stowarzyszenia Marsz Równości w Lublinie, Fundacji Inicjatywa Kobiet Aktywnych z Olsztyna) danych dotyczących działań finansowanych ze środków publicznych od początku ich działalności. Chce wiedzieć m.in. kiedy, w jakim celu i kto dokładnie im te pieniądze ofiarował i na co organizacje je wydały. Zażądał kopii wszelkich umów, porozumień, decyzji i aktów prawnych związanych z ich działalnością.

„Chodzi o dręczenie i gnębienie naszego środowiska, być może w jakimś stopniu również próbę zastraszenia” – mówił Dominik Marciniak z łódzkiej Fabryki Równości.

Chodzi też o to, żeby zastraszać władze samorządowe, które takiego wsparcia udzieliły, np. składając donosy do prokuratury na prezydentów i burmistrzów miast, że przeznaczyli pieniądze niezgodnie z prawem. Odpowiedni paragraf zawsze się znajdzie.

Ekstremiści religijni wspólnie z MEN torpedują też „Tęczowy Piątek” – dzień, który poświęcony jest w szkołach na promowanie akceptacji i szacunku wobec młodzieży LGBT. Placówki, które wzięły udział w kampanii, stały się celem ataku. Ordo Iuris wysłał do szkół zapytania, jakie organizacje działały na ich terenie, czy współpracują z Kampanią Przeciw Homofobii, czy mają pozytywną opinię rady rodziców na temat współpracy z organizacjami, czy akcja była obowiązkowa, a nawet czy uczniowie, którzy włączyli się w nią, zostali zwolnieni ze sprawdzianów.

„Tam, gdzie to miało miejsce, dojdzie do szczegółowej analizy, czy nie zostało złamane prawo oświatowe. Trwa również analiza, czy organizatorzy akcji nie złamali prawa, rozsyłając do szkół materiały, które zawierały elementy agitacji wyborczej. Takie działania są zakazane w szkołach!” – przypomniało MEN.

Przeciwko lekcjom nienawiści

Podobnie histeryczną reakcję wywołały zapowiedzi samorządów, że w podległych im szkołach prowadzone będą zajęcia o mowie nienawiści. Ordo Iuris określił inicjatywę jako indoktrynację uczniów i próbę dławienia dyskusji o tożsamości narodowej, tożsamości małżeństwa, roli rodziny i rodziców w wychowaniu dziecka i roli religii. Aby storpedować inicjatywę, rygoryści moralni przygotowali wzory oświadczeń dla rodziców, odmawiających zgody na udział ich pociech w takich lekcjach. **„Według konstytucji rodzice są pierwszymi wychowawcami. Oni ochronią swoje dzieci przed politycznym hejtem lepiej niż urzędnicy”** – zakomunikował Jerzy Kwaśniewski, a MEN temu przyklasnęło, ogłaszając, że **„rodzic ma prawo do decydowania o tym, jakie inicjatywy będą obecne w szkole, a obowiązkiem dyrektora jest uzyskanie na to zgody rodziców”.**

Katolickim ajatollahom nie spodobało się nawet to, że młodzież uczciła zamordowanego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza, biorąc udział w marszu przeciwko hejtowi i nienawiści. W filmie promującym wydarzenie organizatorzy podali, że wspiera ich Piotr Kowalczuk, wiceprezydent Gdańska. Ordo Iuris zażądał wyjaśnień. Kowalczuka pytano, czy udzielając wsparcia, **„był świadomym, że zgromadzenie organizowane jest w godzinach zajęć szkolnych, a organizatorzy wzywają uczniów do świadomego uchylania się od obowiązku nauki”.** Wiceprezydent nie krył zdumienia: **„Jestem zszokowany. Odbieram to pismo jako ściganie nas”.**

Od czasu przejęcia władzy przez PiS Ordo Iuris poczyna sobie coraz śmielej. Przyjdzie taki dzień, że bojówki fanatyków będą chodzić po domach, by sprawdzać, czy Polacy żyją zgodnie z dziesięciorgiem przykazań.

ANDRZEJ SIKORSKI
sikorski@redakcja.nie.com.pl

* Tomasz Piątek „Błogosławiony owoc twej miłości i nienawiści. Ordo Iuris i brazylijska sekta”, „Gazeta Wyborcza” nr 73/2017.

Wieści z kruchty

✚ W 110 polskich parafiach zainstalowano terminale płatnicze – wynika z danych Fundacji Polska Bezgotówkowa. To kropla w oceanie, gdyż w Polsce jest ok. 10 tys. parafii. Liczba terminali zapewne wzrośnie, gdyż Konferencja Episkopatu Polski rozpoczęła kampanię, która ma zachęcić parafie do ich instalowania. Wszystkie parafie mają przynajmniej przez rok korzystać ze zwolnienia z opłat za dzierżawę terminalu i przyjmowania płatności bezgotówkowych. Okres ten możliwy jest do przedłużenia do 2,5 roku. Standardowo korzystanie z terminali płatniczych wiąże się z opłatami ok. 50 zł miesięcznie za dzierżawę i ok. 0,5-0,6 proc. wartości transakcji. To kolejna ulga finansowa dla Kościoła. A wszystko w trosce o wygodę wiernych.

✚ Na krakowskim Rynku Głównym od ponad dwudziestu lat urządzana jest Wigilia dla potrzebujących i bezdomnych. Wigilię przygotowywało około 150 osób. Posiłki i prezenty wydawało 50 wolontariuszy. Sponsorowali przedsiębiorcy z Krakowa i całej Polski. W kolejce po wigilijne potrawy ustawiło się wiele osób. Przybyłych witał prezydent Krakowa Jacek Majchrowski. Tegoroczna Wigilia dla potrzebujących w Krakowie różniła się tym od poprzednich, że – po raz pierwszy w historii – nie przyszedł na nią nikt z krakowskiej kurii metropolitalnej zarządzanej przez abepe Marka Jędraszewskiego. Choć zaproszenie zostało wysłane. Bezdomni nie okazali rozczarowania. Gorzej, gdyby zabrakło barszczu z uszkami.

✚ Na platformie Netflix – także w Polsce – obejrzeć można film „Pierwsze kuszenie Jezusa”, wyprodukowany przez brazylijską grupę komików Porta dos Fundos z Rio de Janeiro. W filmie Jezus jest gejem i przyprowadza do domu swojego chłopaka, którego chce przedstawić Maryi i Józefowi. Wszyscy palą marychę i ogólnie jest wesoło. Do tej pory na świecie list protestacyjny przeciwko pokazywaniu filmu podpisało 1,5 miliona osób. Film jest opisany jako mroczna komedia i ma kategorię wiekową 16+ ze względu na wulgarny język.

✚ Uczestnicy pogrzebu w Wydminach wezwali policję. Uznali, że ksiądz, który przyjechał na pogrzeb, był pijany. Wikary Piotr M. się zaperzył. Tłumaczył, poprzedniego dnia grał w piłkę, a po grze bolały go nogi i wziął tabletki na rozkurcz mięśni. Policja przebadała księdza alkomatem i stwierdziła 2,5 promila.

✚ W 2013 r. w legnickim kościele św. Jacka podczas udzielania komunii ksiądz upuścił hostię. Zgodnie z kościelnymi zasadami umieszczono ją w naczyniu z wodą i czekano, co się wydarzy. Na hostii ponoć pojawiła się krwistoczerwona plamka. Zaczęto badania. Niektórzy eksperci stwierdzili, że mają do czynienia z fragmentem tkanki mięśnia poprzecznie prążkowanego, podobnego do mięśnia serca w agonii. Inni podważali te opinie. Mimo to przebarwienie na hostii uznano za „wydarzenie o znamionach cudu”. Teraz głos zabrała watykańska Kongregacji Nauki Wiary. Hostia będzie wystawiona do adoracji w legnickiej kaplicy. Watykan nakazał rejestrować wszelkie nadzwyczajne wydarzenia, które będą temu towarzyszyły. Codziennie wzejdzie Słońce i codziennie zajdzie.

✚ Posłanka Magdalena Biejat z lewicy uznała, że w Sejmie nie powinien wisieć krzyż. Zastrzegła jednak, że na razie lewica nie planuje projektu w sprawie symboli religijnych w miejscach publicznych. Posłanka Biejat jest przewodniczącą sejmowej komisji polityki społecznej i rodziny. Natychmiast podniosły się prawicowe głosy, że Biejat należy z przewodniczenia komisji odwołać. Zaczęto zbierać podpisy w tej sprawie. Prawica chce Biejat ukrzyżować i zrobić z niej męczennicę.

✚ Posłanka lewicy prof. Joanna Senyszyn uznała, że krzyż to „zbite deski”, za pomocą których katolicy „oznaczają teren”. Za Senyszyn pospieszył przepraszać natychmiast wiceprzewodniczący SLD Andrzej Szejna: „Nie pozwolę na obrażanie uczuć religijnych” – powiedział. Szejna, nie bądź miękką deską robiony.

✚ W związku z tym, że ostatnio odnotowuje się coraz więcej niewyjaśnionych wydarzeń związanych z Najświętszym Sakramentem, powstał Interdyscyplinarny Ośrodek Badania Muzealiów, Relikwii i Zdarzeń Eucharystycznych. Powołał go ks. prof. Włodzimierz Wołyniec, rektor Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu. Badania mają być finansowane z ofiar składanych przez wiernych, subwencji, darowizn, spadków, z funduszy zleceniodawców badań oraz przede wszystkim z budżetu wydziału teologicznego, czyli z pieniędzy publicznych. Czyli cuda będą badane za państwowe pieniądze. Życie naprawdę przerasta kabaret.

Rys. TOMASZ WIATER

✚ Mecenas Maciej Zaborowski, pełnomocnik ks. Tymoteusza Szydły oświadczył, że jego klient nie został i nie planuje zostać ojcem. Tym samym uciął plotki rozpalające umysły i serca Polaków. Ks. Szydło skierował prośbę „do Ojca Świętego o przeniesienie go do stanu świeckiego, by uregulować jego pozycję kanoniczną i nie pozostawiać go w konflikcie sumienia”. W piśmie do papieża ks. Tymoteusz zawarł również deklarację uruchomienia procedury uzyskania dyspensy od celibatu. A jednak…

✚ Prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia w sprawie ks. Łukasza A. z parafii w Zabłudowie w Podlaskiem. Księżulo miał przez internet gawędzić z 14-latkiem i domagać się od niego erotycznych fotografii. Chłopiec był pensjonariuszem domu dziecka znajdującego się w pobliżu parafii wikarego. Białostocka kuria postanowiła nie komentować sprawy. Bo i co tu komentować.

✚ Poseł PO Paweł Olszewski skierował do ministrów spraw wewnętrznych oraz obrony narodowej pytania dotyczące toruńskich obchodów urodzin Radia Maryja. Polityk ma wątpliwości w sprawie zaangażowania w te uroczystości policji oraz Marynarki Wojennej. Policja czuwała nad bezpieczeństwem świętujących, a Marynarkę Wojenną reprezentowała orkiestra, która zapewniała oprawę muzyczną. Wszystko to z budżetu odpowiednich ministerstw. Radio Maryja ma słuchalność na poziomie 1,1 proc., ale słuchalność w sferach rządowych wynosi prawie 100 proc.

✚ W projekcie budżetu Białej Podlaskiej na przyszły rok wpisano zajęcia z jogi prowadzone dla mieszkańców w lokalnym parku. Zaprotestował – „jako katolik” – białostocki radny Zjednoczonej Prawicy Sławomir Potocki. „Joga to grzech” – powiedział. Urzędnicy zaczęli się tłumaczyć, że „zajęcia z jogi nie były i nie będą finansowane, ponieważ są prowadzone nieodpłatnie przez pasjonatki ze stosownymi uprawnieniami, to inicjatywa społeczna, wyraz zapotrzebowania na takie zajęcia mieszkańców Białej Podlaskiej, o czym świadczyło bardzo duże zainteresowanie”. Ależ przecież nie chodzi o to, czy za pieniądze czy nieodpłatnie. Uczenie jogi i jej uprawianie jest otwieraniem drzwi szatanowi. Radny ma rację. W parku wolontariuszki niech nieodpłatnie prowadzą zajęcia z piosenek pielgrzymkowych.

✚ W parafii w Kościelniku parafianie przy zakupie opłatka dostali kartki od proboszcza, które ksiądz będzie odbierał wraz z kopertami podczas kolędy. Parafianie mają je wypełnić, podając dane osobowe, adres i kwotę deklarowanej „dobrowolnej daniny kościelnej”. Wywołało to oburzenie parafian. Proboszcz ks. Czesław Misiewicz nie rozumie oburzenia. Przecież to na barkach parafian leży utrzymanie kościoła. Nie licząc utrzymania księdza i plebanii, trzeba płacić za prąd, wywóz śmieci, ścieki, podatki gruntowe i od nieruchomości. A remonty? Kwoty deklarowane przez rodziny pozwalają na zaplanowanie działań. Ekskomuniką tych oburzonych, ekskomuniką, księże proboszczu.

✚ Przed sądem w Gdańsku stanął ks. Michał L., oskarżony o dwukrotne zgwałcenie 17-letniej dziewczyny. Jeszcze niedawno pełnił posługę w parafii w Rumi. Smaczku sprawie dodaje fakt, że gdy kilka lat temu sprawa wyszła na jaw, arcybiskup Sławoj Leszek Głódź przeniósł ks. Michała do innej parafii. Do gwałtów doszło w 2011 r. w parafii Matki Boskiej Bolesnej w Gdańsku. Głódź zaczął przenosić księdza z miejsca na miejsce: do parafii Trójcy Świętej w Wejherowie, następnie do parafii Wniebowzięcia NMP w Żukowie, do św. Antoniego w Brzeźnie, do św. Mikołaja w Gdyni i ostatecznie do św. Józefa i Judy Tadeusza w Rumi.

✚ Nie wiadomo, w związku z czym – czy prośbami o „daniny”, czy doniesieniami o molestowaniu dzieci – ale w badaniach CBOS dotyczących ról społecznych księża znaleźli się bardzo nisko w rankingu: – Na 26. miejscu na 31 profesji. Gorzej wypadli politycy i maklerzy bankowi.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 10b00941c8

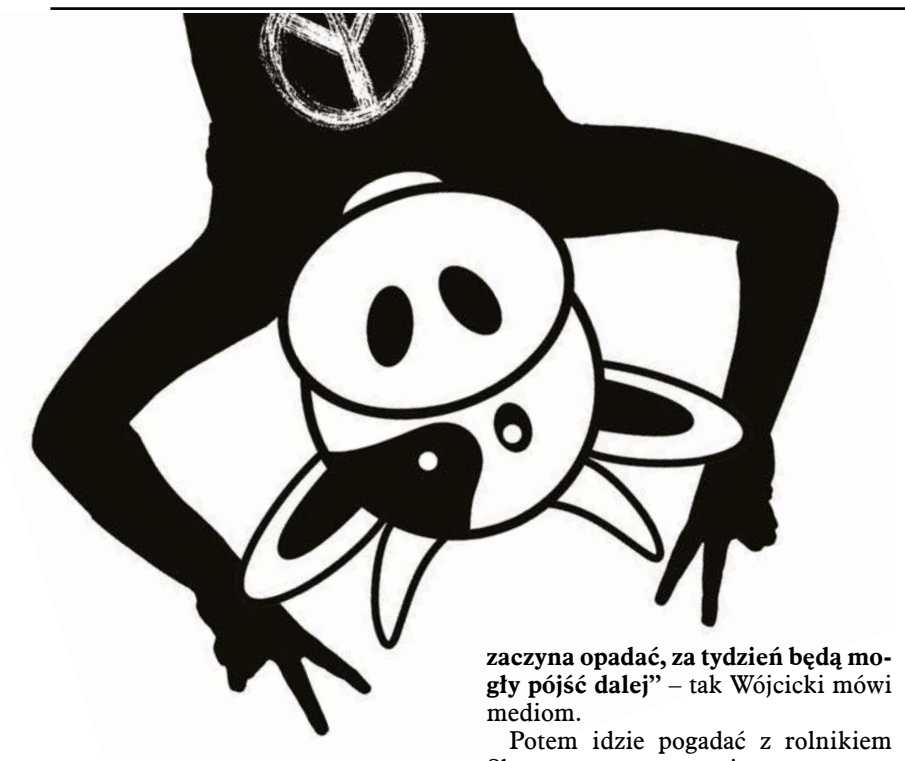

Wolne sądy wolne krowy

W ciągu dwudziestu lat mieliśmy czterech prezydentów, dziewięciu premierów i cholera wie ilu ministrów rolnictwa. Ale stado wolnych krasul w gminie Deszczno było i jest tylko jedno.

Rok 1999. Nad Wartą w Ciecierzycach rolnikowi Skorupie ucieka 20 krów. Zamieszkują na rozlewisku.

Rok 2004. Polska wchodzi do Unii Europejskiej, a krowy wchodzą na pola uprawne na terenie gminy Deszczno i gmin sąsiednich. Ze względu na to, że chodzą również drogami publicznymi, zaczynają stanowić zagrożenie w ruchu lądowym. Z powodu włażenia na teren prywatny są nawet posądzane o naruszenie miru domowego.

Zaniepokojona ludność molestuje władze lokalne, policję i służby weterynaryjne. Władza przysyła weterynarza z kolczykami. Weterynarz dociera do kilkunastu krów i zakłada im oznaki legalizacji. Tym krowom i bykom, do których nie dotarł – czyli około pięćdziesięciu – kolczyków nie zakłada. Rolnikowi Skorupie jako nominalnemu właścicielowi też zresztą nie.

Rok 2010. Krowy trafiają do mediów ze względu na pozostawanie na wyspie, która powstała, gdy Warta wylała. Na miejsce przyjeżdża władza gminna w osobie wójta Wójcickiego.

„Wygląda na to, że mają tam sporo miejsca. I raczej nic im nie będzie. Bo one i tak głównie tam się pasą, więc teraz trawę poskubią. Warta zaczyna opadać, za tydzień będą mogły pójść dalej” – tak Wójcicki mówi mediom.

Potem idzie pogadać z rolnikiem Skorupą w towarzystwie weterynarza. Rolnik Skorupa zapiera się znajomości z rogacizną, twierdząc, że właścicielem krów z wyspy jest zapewne jego brat, też rolnik Skorupa.

Wójt i weterynarze zaczynają zatem nachodzić drugiego rolnika Skorupę w celu wypracowania wspólnego stanowiska, a nawet rozwiązania problemu.

Negocjacje urywają się, gdy drugi rolnik Skorupa zapowiada, że nie podejmie działań prowadzących do zakolczykowania rogacizny, gdyż **„człowiek chce ustanawiać prawo i rządzić innymi, a tylko Bóg ma takie możliwości”.**

Lata 2011–17. Żeby pozbyć się mediów, wójt umywa ręce, przekazując sprawę krów z wolnego wybiegu lubuskiemu oddziałowi Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. W związku z tym do drugiego rolnika Skorupy pielgrzymować zaczynają urzędnicy agencji. Próbują zmusić go do zalegalizowania krów, czyli do zakolczykowania. Drugi rolnik Skorupa nie daje się przekonać. ARiMR wnosi zatem stosowny pozew do sądu. Sąd orzeka, że drugi rolnik Skorupa jest właścicielem bydła, a ponieważ uchyla się od zakolczykowania, zasługuje na grzywnę.

Środek karny nie działa. Liczba swobodnej rogacizny rośnie, miejscowi brylują w lokalnych i ogólnopolskich mediach, skarżąc się na niedolę związaną z zagrożeniem przez krasule.

Media wywołują do tablicy wójta, napuszczają ARMiR, agencja idzie do sądu, który karze pozwanego kolejnymi grzywnami. Grzywny nie są płacone. I tak w kółko. Zwierząt wyłapać i zabić też nie ma jak, bo do tego potrzebne jest sądowe stwierdzenie, że zwierzęta są zaniedbywane. A nie są. Radzą sobie tak dobrze, że w grudniu 2017 r. jest ich już 130.

Rok 2018. W marcu do Ciecierzycy ktoś ściąga aktywistów z Animals. Ich wizyta owocuje wpisem na Facebooku, że **„wezwana została policja oraz lekarz weterynarii, który zdecydował o uśpieniu wycieńczonego, wiele dni leżącego cielaka. Kolejne leżące zwierzę, dorosły byk, dostał elektrolity dożylnie, a wieczorem nasi inspektorzy dowieźli zwierzęciu wodę”**. Jak na ludzi walczących o wolność dla zwierząt hodowanych na futra, aktywiści robią coś dziwnego: informują media, że stado z Ciecierzyc cierpi.

Apelem prozwierzątkowców władza się przejmuje. Uznaje, że najwyższy czas, aby męczarnię rogacizny zakończyć. Co w praktyce przekłada się na decyzję o wyłapaniu krasul, ich uboju i utylizacji. Tak bowiem stanowi polskie prawo.

Przez kolejne miesiące do Ciecierzyc kilka razy wpada telewizja. Pokazuje, że brykające wolno krowy mają się dobrze.

Ale oficjalne papiery powodują, że Sąd Rejonowy w Gorzowie podtrzymuje decyzję o likwidacji stada.

W obliczu werdyktu niezawisłego sądu wojewodzie lubuskiemu i pani weterynarz nie zostaje nic innego, jak wystąpić przed kamerami i obwieścić, że **„krowy trzeba zabić, ponieważ nie wiadomo, jaki jest ich stan zdrowia, bo od lat nie miały wykonywanych niezbędnych badań i były poza jakąkolwiek opieką weterynaryjną”**. Pani weterynarz dodaje, że **„ze względu na brak badań i to, że zwierzęta rozmnażały się bez kontroli i same się żywiły, nie mogą być dalej hodowane oraz nie mogą trafić do ubojni, gdzie ich mięso mogłoby zostać wprowadzone do obrotu”.**

Rok 2019. Wojewoda Władysław Dajczak apeluje do Ministerstwa Rolnictwa o pieniądze na pozbycie się problemu 170 krasul. Minister Ardanowski przyznaje na ten cel 350 tys. zł.

Wójt Deszczna może zamieścić w biuletynie zamówień publicznych **„zapytanie ofertowe o wartości poniżej 30 000 euro dotyczące wyłapania i zagonienia stada krów (max. 170 szt.) do tymczasowej zagrody zapewnionej przez Wykonawcę, zlokalizowanej w miejscu wskazanym przez Zamawiającego wraz z transportem do miejsca ich odbioru przez specjalistyczne samochody ciężarowe oraz ich utrzymaniem do momentu zabrania ich przez odpowiednie służby lub inne uprawnione osoby. Czas niezbędny do wyłapania całego stada do momentu odebrania go przez służby weterynaryjne, nie dłużej niż 30 dni od dnia zlecenia”.**

Do maja bydlęta zostają wyłapane i zapędzone do zagrody na obrzeżach wsi. Dziennie opieka nad stadem kosztuje samorząd ok. 3,6 tys. zł. Nic zatem dziwnego, że władza lokalna dąży do jak najszybszego ostatecznego rozwiązania rogatej kwestii.

Znów się nie udaje. Na miejscu pojawiają się stada prozwierzątkowców, baczących, czy nikt nie chce zabrać skoszarowanego bydła do ubojni. W ślad za nimi pojawiają się dziennikarze.

Mnożą się apele o darowanie rogaciźnie życia.

Najpierw pęka Ministerstwo Rolnictwa, oznajmiając że **„ostateczne decyzje dotyczące dalszych losów nieoznakowanego stada krów jeszcze nie zapadły. Ustalenia i konsultacje w tej sprawie prowadzone są przez Inspekcję Weterynaryjną”.**

Niemal jednocześnie

chęć zaopiekowania się krowami deklarują organizacje zajmujące się ochroną zwierząt. Najważniejsze okazują się kalkulacje wyborcze PiS. Z nich wynika, że ludzie lubią, gdy władza jest dobra dla zwierzątek.

W związku z tym dyrektor biura Jarosława Kaczyńskiego Radosław Fogiel pisze, że **„Pan Poseł Jarosław Kaczyński skierował dwukrotnie interwencję do Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi”.** Nie może mu nie zawtórować prezydent. **„W takim razie zwieramy szyki i mam nadzieję, że stado z Deszczna zostanie uratowane. Jest wola. A to jest najważniejsze”** – mówi Andrzej Duda.

29 maja minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski może poinformować, że krowy będą żyć. **„Zostaną odizolowane w jednym z państwowych gospodarstw”** – mówi.

Błyskawicznie przeprowadza się operację prawno-administracyjno-sądową, wskutek której właścicielem stada krów, zamiast rolników Skorupów, staje się Biuro Ochrony Zwierząt – organizacja społeczna.

Nowe właścicielstwo nie przeszkadza temu, że przez kolejny miesiąc za utrzymanie liczącego już prawie 200 sztuk stada płaci gmina Deszczno.

Stado krów parkuje na terenie rezerwatu Santockie Zakole. Właściciel rezerwatu winszuje sobie za tę usługę 2160 zł dziennie.

Biuro postanawia, że przewiezie krowy do rolników, którzy chcą je przyjąć i zagwarantują, że żadne ze zwierząt nie zostanie wołowiną. Stado z Ciecierzyc ma trafić nad Zalew Szczeciński, ale zgłaszający zmienia zdanie. Pojawia się pomysł zakotwiczenia krasul w Naczkowie pod Opolem. Ale najpierw okazuje się, że BOZ nie ma pieniędzy na transport, a minister Ardanowski nie da już ani złotówki, później mieszkańcy Naczkowa protestują przeciwko planom wprowadzenia dzikich krów.

Krowy, jak od dwudziestu lat były na terenie gminy Deszczno, tak są tam do dziś.

Przyczyniają się do plajty właściciela. Ponad 60 tys. zł miesięcznie powoduje, że organizacja nie ma już pomysłu na swoje funkcjonowanie. Pozyskanie kolejnych darczyńców jest niemożliwe. Biuro Ochrony Zwierząt znajduje się w tej samej sytuacji, co dwie dekady temu rolnik Skorupa.

Krowy wędrują znowu. Główny Inspektorat Weterynarii wydaje oświadczenie zaczynające się od słów: **„Powiatowy Lekarz Weterynarii w Gorzowie Wlkp. otrzymał dziś zawiadomienie o ponownym, swobodnym przemieszczaniu się bydła na terenie gminy Deszczno. Przeprowadzona przez Inspekcję Weterynaryjną urzędowa kontrola potwierdziła rozproszenie się, w okolicach miejscowości Borek (gmina Deszczno), pozostawionych bez opieki zwierząt”.**

Zwierzęta zapędza się za druty. Ale dla wszystkich kwestią czasu jest, kiedy znowu dadzą dyla, mając aktywistów, państwo i Unię Europejską, a nawet prezesa i prezydenta pod ogonem.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ilustr. WŁODEK KIERUS

REBUS 6

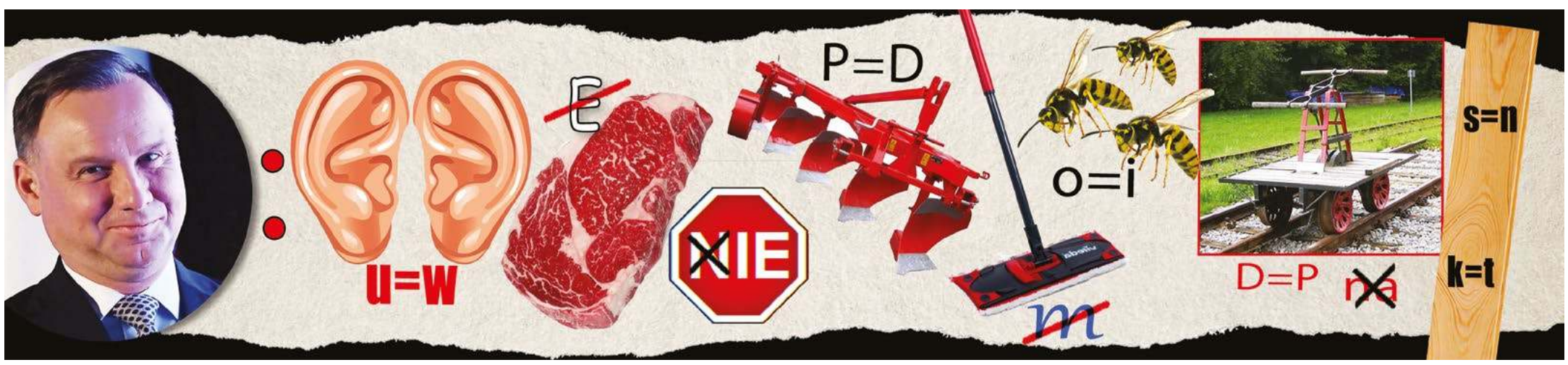

eprasa.pl 10b00941c8

Wieści gminne i inne

58-letni mieszkaniec Lublina, jadąc autobusem, ocierał się o 15-latkę. Następnie wysiadł z pojazdu na tym samym przystanku i odszedł w ustronne miejsce placu Litewskiego, gdzie zwalił konia. Postronni obserwatorzy zawiadomili policję, która siłami trzech tajnych agentów ujęła onanistę. Jak twierdzi policja, za przestępstwo innej czynności seksualnej grozi mu do ośmiu lat więzienia.

20 lat posiedzi w więzieniu student Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, który 150 razy sprzedał jeden i ten sam telefon komórkowy na portalu aukcyjnym, wyłudzając od kupujących ponad 250 tys. zł. Sąd Rejonowy w Opolu wymierzył studentowi karę łączną za 150 przestępstw. Rzecznik sądu tłumaczył, że sąd jest niezawisły, a 20 lat w pierdlu mieści się w granicach ustawowych wymiaru kary łącznej za podobne przestępstwa. Gdyby wszystkie wyroki za 150 przestępstw zsumować do kupy, wyszłoby 29 lat, wyrok jest więc umiarkowanie dolegliwy.

Sąd Rejonowy w Chorzowie uznał, że w kontekście sytuacyjnym i obowiązujących w społeczeństwie norm obyczajowych nie było obraźliwym stwierdzenie: „Pokażcie ryje" użyte przez kierowcę wobec kontrolujących go policjantów drogówki, gdy odwrócili się plecami, bo kontrolowany chciał ich nagrać telefonem komórkowym. W rozumieniu sądu słowo „ryj" to określenie przedłużenia odcinka szczęki i żuchwy występującego u niektórych zwierząt – świń i dzików. Chodzi o zwierzęta ryjące w ziemi w poszukiwaniu pokarmu. W słownikach „ryj" występuje również jako pospolite określenie ludzkiej twarzy (np. w powiedzeniu „zamknij ryj"), jest synonimem takich słów jak „morda, pysk, facjata, japa, paszcza" – nie może ono zatem znieważać funkcjonariusza publicznego.

51-latek z Otwocka umieścił psa rasy yorkshire terrier w pralce automatycznej, a następnie uprał, wypłukał i odwirował. To pewnie dlatego że na pralce nie było znaczka zakazującego umieszczania psów w bębnie maszyny piorącej. Np. na mikrofalówkach znaczki są, dzięki czemu nikt już, nawet my, nie suszymy psów w tych urządzeniach. O wyczynach pralniczych tatusia policję poinformowała córka. Sąd kazał aresztować mężczyznę na miesiąc, pies bowiem nie przeżył. Czy zaszkodziło mu pranie, płukanie czy odwirowanie – tego media nie podają.

Kanadyjczycy ze spółki Central European Petroleum, prowadząc badania geologiczne metodami sejsmograficznymi, wykryli między Międzyzdrojami a Świnoujściem oraz na wyspie Wolin ogromne pokłady ropy i gazu. Starczyłoby tego na 30 lat. Tak w każdym razie wynika z raportów telemetrycznych, które powstały w rezultacie pomiarów. Oby to tylko nie była prawda.

Rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych Stanisław Żaryn powiedział, że materiały zgromadzone w lubelskiej delegaturze ABW świadczą o tym, iż islamski terrorysta miał rozważać zamach na galerię handlową w Puławach (województwo lubelskie). Niedoszły zamachowiec dżihadysta pochodzi z Ukrainy.

Dwóch osadzonych w Zakładzie Karnym nr 1 w Strzelcach Opolskich pozwało gminę Strzelce Opolskie przed sąd, ponieważ smród nad więziennym spacerniakiem jest nie do wytrzymania. Więźniowie utrzymują, że stan powietrza zagraża ich zdrowiu i życiu, które wycenili na 3 tys. zł każdy. Małgorzata Kornaga, rzeczniczka strzeleckiego ratusza, twierdzi, że władze miasta od wielu lat prowadzą działania zmierzające do poprawy jakości powietrza w Strzelcach Opolskich. Widać nieskutecznie, skoro mieszkańcy sięgają po tak drastyczne środki protestu.

Marianna P., która – co rzadko się kobietom zdarza – była komendantką posterunku policji w Witnicy, już nią nie jest. Koledzy odebrali jej prawo jazdy, a przełożeni stanowisko, bowiem policjantka pijana pojechała na stację benzynową po wódkę, a jej obsługa spisała numery auta i poinformowała kogo trzeba. Chcąc uniknąć aresztowania, kobieta zabarykadowała się w domu, którego drzwi musiała wyważać specjalnie wezwana brygada antyterrorystyczna. Niekiedy nam się zdaje, że przesadne działania wobec pijanych kierowców stanowią większe zagrożenie niż oni sami.

W Gdańsku w sklepie jubilerskim mieszczącym się na terenie galerii handlowej skradziono zegarek, którego cena wynosiła 144 tys. zł. Oczywiście nie można nikomu kraść zegarków, jednak wydaje nam się, że ten, kto podobne produkuje w rzeczonej cenie i sprzedaje, nie prowadzi świata do niczego dobrego. Przypuszczalnie sikor za 144 tys. zł mierzy czas równie dokładnie jak ten za 100 zł. Wywołuje jednak kryminogenną pożądliwość.

Do wielu nieszczęść dojdzie zapewne w Chełmie, gdzie jest najwyraźniej za dużo pieniędzy w kasie miejskiej. Władze wdrażają kosztowny system eMandat Enterprise mający strażnikom miejskim ułatwić dochodzenie należności za kary nałożone na psie kupy i obsikiwanie kiosków. To oczywiście jeszcze bardzo długo nie będzie działać dobrze, podobnie jak system Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców, zdublowany zresztą przez podobny system Ubezpieczeniowego Funduszu Gwarancyjnego, które ujawniają prawdziwe dane tylko w niektórych przypadkach. Nie jest prawdą, że nie musicie mieć przy sobie, jadąc samochodem, dowodu zawarcia ubezpieczenia OC oraz kwitu z badań technicznych. To pierwsze lepiej mieć, i to w dwóch egzemplarzach, na wypadek gdybyście mieli incydent, w którym uszkodzicie komuś zderzak i trzeba podać poszkodowanemu numer polisy. Przekonał się o tym prowadzący tę rubrykę, któremu sprostowanie nieprawidłowego numeru nadwozia samochodu uwidocznionego w polisie zajęło 2 miesiące i udało się po trzeciej próbie. A zapewne spółka Allianz nie różni się w kulturze pracy od innych firm ubezpieczeniowych.

Studenci z Politechniki Świętokrzyskiej skupieni w Lotniczym Kole Naukowym budują symulator lotu szybowca. Urządzenie ma być gotowe pod koniec przyszłego roku. Na wszelki wypadek nie będziemy wracać do sprawy, aby nie stawiać panów inżynierów w niezręcznej sytuacji.

37-letni mieszkaniec Bartoszyc widział w mieście smoki, księżniczki, dziewice oraz gusła o imionach Hamlet i Omlet. Policję wezwała matka, a policja stwierdziła, że omamy wzrokowe wywołane zostały zażywaniem przez przerośniętego syna substancji niedozwolonych. Powoli zaczynamy rozumieć, na czym polega przyjemność zażywania dragów i dlaczego ludzie ryzykują lata w więzieniu dla tych prozaicznych zdawałoby się substancji.

Na powierzchni 76 ha Łazienek Królewskich w Warszawie żyje ok. 250 wiewiórek. Badania prowadzone przez pracowników SGGW wykazały, że są one leniwe i przekarmione. Z powodu braku psów, będących ich naturalnymi wrogami, większość życia spędzają na ziemi, zamiast uganiać się po konarach drzew. Do tego jedzą za dużo, co obniża ich zdolności parzenia się, a zatem zachowania wielkości populacji. Naukowcy straszą, że przenoszą wściekliznę, co ma wprowadzić chyba wrogość między tymi zwierzętami i spacerowiczami. Pogorszyć basiom warunki socjalne, ale poprawić naturalne!

Rysunki TOMASZ WIATER

Schronisko dla bezdomnych zwierząt w Białymstoku wstrzymało przed świętami Bożego Narodzenia adopcję szczeniąt – zgodnie z mającą kilkuletnią tradycję akcją „Pies to nie prezent". Tradycja ta zniweczyła inną białostocką tradycję zwaną „Zostańmy przyjaciółmi". Po świętach podarowane dzieciom szczeniaki ze schroniska wyrzucane były ponownie na bezdomność w akompaniamencie takich właśnie słów.

R.J.

Doniesienia oparte zostały na publikacjach z prasy lokalnej, w której tyrania prawdy nie obowiązuje. Mogą więc prezentować nieco wypaczony obraz rzeczywistości, za którego stan prawny nasza redakcja nie bierze odpowiedzialności.

Homofob wśród homofobów

Do Małgorzaty Daniszewskiej.

Jak może Pani pozwolić na publikowanie na łamach tygodnika „NIE" pseudodziennikarskich wypocin przygłupa, homofoba, antysemity i seksisty Łukasza Piotrowicza, który nie przebiera w środkach i sposobach, żeby przypodobać się innym homofobom pracującym w Pani redakcji?!

Łukasz Piotrowicz w swoim artykule pt. „O finlandyzację Polski", który zamieściliście na pierwszej stronie tygodnika „NIE" 50/2019, pokazał swój prymitywizm homofoba, profanując jednocześnie zawód, etykę i estymę prawdziwego dziennikarza.

Jego słownictwo (cyt.: „panna Sanna jest cudownym dzieckiem dwóch pedałek", „nie zdecydowała się jednak na kontynuowanie seksualnej kariery matek i do rodziny wprowadziła element falliczny w postaci heteroseksualnego partnera z penisem", „wychowanie przez dwie samice nie pozostało bez wpływu na jej psychikę i prowadzenie się w dorosłym życiu", „żeby nie zaraziły się wirusem pedalstwa" itp.) bez cudzysłowów jako cytowanych wyrażeń świadczy o jego własnych poglądach i braku kultury.

Stwierdzam, że swoim chamstwem, fobiami, i swoją pseudodziennikarską twórczością Łukasz Piotrowicz ubliża, budzi niesmak i oburzenie.

Tak to zwykle bywa, gdy kryptogej (Łukasz Piotrowicz) bojąc się „wyjść z szafy" i w obawie przed wyrzuceniem z grona homofobów, jakim jest redakcja „NIE" – wyżywa się na społeczności LGBT.

Proszę także pamiętać, że homofobia to dewiacja występująca u prymitywnych ludzi heteroseksualnych i należy ją leczyć.

Tak właśnie owocuje indoktrynacja religijna, której zostaliście poddani w dzieciństwie i w młodości przez kler kk i religijnych rodziców, a która w waszych umysłach pozostaje aż do śmierci. Tylko bowiem ludzie inteligentni potrafią się z tego otumanienia wyzwolić.

Dziwne jest, że ani w stosunku do kleru, ani do rządzących nie stosujecie takiej wulgarnej krytyki, jak w stosunku do LGBT.

Kleru i rządzących się boicie, a uważacie że LGBT jest słabe, bezbronne i z ich strony wam nic nie zagraża. Nic bardziej mylnego.

O waszej homofobicznej propagandzie zawiadomię odpowiednie gremia i organizacje walczące o prawa człowieka.

Z okazji Nowego Roku wszystkim homofobom w redakcji „NIE" życzę wszystkiego najgorszego.

Jesteście bardzo złymi ludźmi.

C.H.

Nowinki technologiczne

No i jak się mają teraz oszczercy twierdzący że tzw. Ściana Wschodnia to ostoja ciemnoty i zacofania? A to w naszym Lublinie nastąpiła epokowa fuzja odwiecznej tradycji z nowoczesną techniką i uruchomiono pierwszy ofiaromat! Jestem pewien, że na tym się nie skończy i wkrótce będziemy świadkami istnej rewolucji technicznej.

Najbardziej palącą potrzebą wydaje się instalacja spowiadomatów. Ileż to razy każdy z nas odczuwał nagłą potrzebę opowiadania o swoich występkach i niecnych czynach – szczególnie zjawisko to występuje nad ranem po ostrej popijawie; gdzie nam wtedy szukać kapłana, który tego wysłucha? Niechby chociaż maszyna ze zmyślnym algorytmem dała się wyżalić i pokutę odpowiednią naznaczyła.

W wersji rozbudowanej, w połączeniu z komuniomatem, nakarmi nas jeszcze opłatkiem i tak odrodzonych na nowo pchnie do życia.

Nic nie stoi na przeszkodzie, aby wprowadzić chrztomaty i ślubomaty. Tu jedynie fantazja twórcy może ograniczać długość i bogactwo interfejsu wyboru opcji ceremonii – od zwykłego psiknięcia wodą aż do chórów anielskich, baloników, białych gołąbków, deszczu płatków różanych i co tam jeszcze można sobie zamarzyć. Oczywiście wszystko odpowiednio wycenione i ściągane z karty po ostatecznej akceptacji zamówienia.

Niestety i nieuchronnie pojawi się konieczność skorzystania z pogrzebomatu. Tu sprawa będzie trochę bardziej skomplikowana technologicznie, gdyż urządzenie z zasady powinno być mobilne. Na szczęście już wchodzimy w erę pojazdów autonomicznych i internetu 5G, można więc te nowinki przetestować w formie dostojnego samobieżnego karawanu, który poza transportem potrafi chorusowym głosem wygłaszać stosowne formułki, prowadzić zaśpiew i oprawę muzyczną. W wersji *de luxe* można wykorzystać nawet drony, na początek tylko dla klientów poddanych wcześniej kremacji.

Myślę, że te wszelkie nowości technologiczne zostaną przyjęte przez wiernych z zadowoleniem; dostępne w każdej chwili, bez konieczności kontaktu z naburmuszonym księdzem i przykrości targowania ceny usługi. A naszym utrudzonym kapłanom pozwoli to wreszcie cieszyć się życiem – towarzyskie spotkania, egzotyczne podróże, pilnowanie biznesów i co tam kto jeszcze lubi. Uwolnienie od uciążliwości obcowania z gawiedzią niewątpliwie przyczyni się do wzrostu liczby tzw. powołań i rozkwitu podupadającej profesji. Czego wszystkim życzę.

Marek Szyc, Lublin, od teraz Kadzidlana Dolina

„Gdybym był Marianem"

1. Ponieważ miałbym zero szans na to, że mi cokolwiek przebaczą, to przeszedłbym do ofensywy. Jako szef NIK natychmiast – zgodnie z uprawnieniami – zarządziłbym kontrolę wszystkich jednostek centralnych, a przede wszystkich Kancelarii Premiera, Kancelarii Prezydenta, ministerstw: sprawiedliwości, obrony narodowej i co najmniej kilku innych. Tym samym popłoch wzbudziłbym totalny. A wyniki – w ramach „niekontrolowanych" przecieków poszłyby do mediów. Niech suweren zna, jakich... ma.

2. Dla pewności, aby uniknąć choć części planu B, brałbym do roboty swoją kawę w termosie i kanapki. Na ostre zatrucie ołowiem specjalnie nikt sposobu nie ma.

3. W samochodzie służbowym nawet słowa bym z nikim nie zamienił. Jedynie nagle kierowcy podsunąłbym karteczkę z adresem, gdzie ma jechać, aby niczego nieświadomi mechanicy wyniuchali mikrokamerki i podsłuch w aucie.

4. Jako szef wykorzystałbym najpierw przysługujący mi urlop wypoczynkowy, a później przez najbliższe 5 lat dawałbym sobie urlop bezpłatny. Wystąpienia publiczne scedowałbym na zastępców.

Suwerenek

Rebus 1: Buntownik z powodem. Rebus 2: Orła jego lotów potęga. Rebus 3: Zapomniał wół, jakim prokuratorem był. Rebus 4: Radość na starość. Rebus 5: Kłamstwo ma krzywe usta. Rebus 6: Wszystkie długopisy prezydenta. Rebus 7: Chciwość ci wszystko wybaczy.

REKLAMA

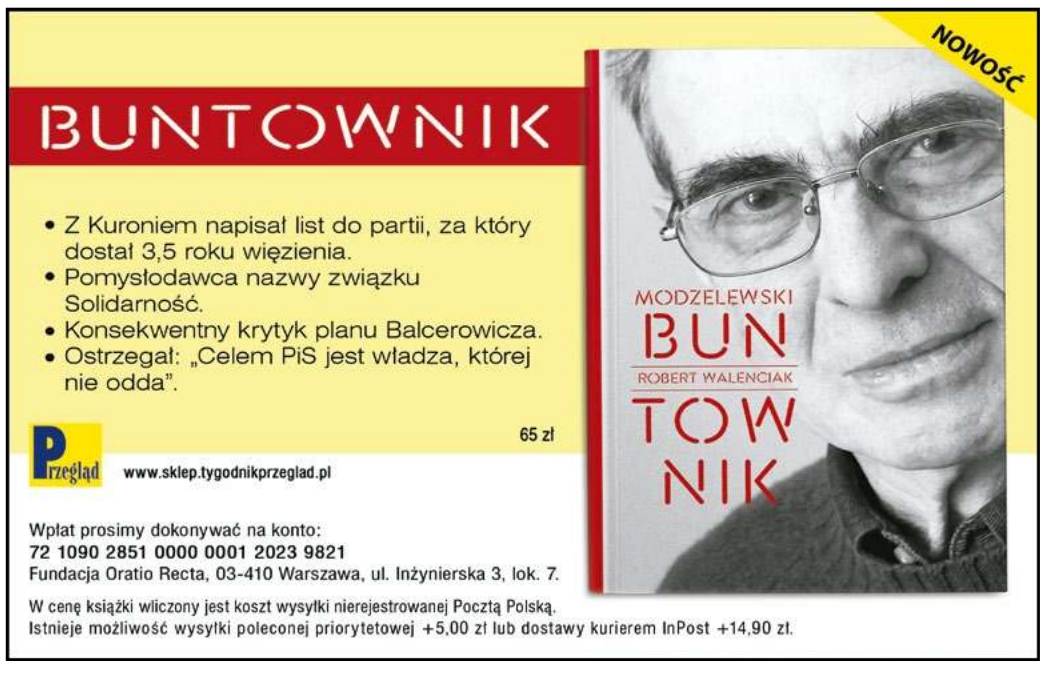

eprasa.pl 10b00941c8

PARTIA PRACY NA CZARNO

Brytyjskiego lewaka sukces zakończony upadkiem.

Obserwując brytyjskie media, odnoszę wrażenie, że klęska Labour Party pod kierownictwem Jeremy'ego Corbyna znacznie bardziej niż torysów cieszy „centrolewicowców" – niegdysiejszą elitę Labour Party, która brzydzi się pryncypialną lewicowością Corbyna, albowiem wierzy w wieczną przyjaźń pracy z kapitałem, a także Wielkiej Brytanii z USA.

Ta grupa podjęła już raz – w roku 2016 – próbę wywalenia Corbyna z roboty, wtedy jednak twardo przeciwstawiły się temu partyjne doły, których liczebność podwoiła się za jego czasów i wyraźnie z jego powodu. Ponad 160 tysięcy osób wstąpiło do Labour Party, gdy ogłosił on chęć kandydowania na szefa partii; 185 tysięcy osób wniosło specjalną opłatę członkowską w wysokości 25 funtów, która pozwalała im głosować w drugich partyjnych wyborach – wtedy, gdy elita partyjna próbowała się go pozbyć. Łamy związanego z Labour Party dziennika „The Guardian" zapełniły się wtedy antycorbynowskimi apelami: ich nastrój najlepiej oddawał list najpierw najbardziej kochanego, a później (nie bez powodu) najbardziej znienawidzonego lidera laburzystów z XXI w. – Tony'ego Blaira: **„Nawet jeśli mnie nienawidzicie, nie spychajcie Partii Pracy w przepaść".**

Ilustr. WŁODEK KIERUS

Nienawiść i miłość

Im bardziej nie znosiła Corbyna partyjna góra, tym bardziej kochały go doły. Lewak bez trudu zachował fotel szefa partii, wygrywając w pierwszej turze, z nawet większą przewagą niż za pierwszym razem (61,8 do 59,5 procent). W 2017 r. wbrew ponurym przewidywaniom kierowana przez Corbyna Labour Party zdobyła 40 procent głosów, co oznaczało wzrost poparcia o 10 proc. w stosunku do poprzednich wyborów – największy w powojennej historii skok popularności Partii Pracy z wyborów na wybory.

Jeremy Corbyn z roku 2019 nie różni się niczym od tego z 2017. Czemu zatem jego partia poniosła totalną klęskę, która skłoniła lidera do ogłoszenia jeszcze tej samej nocy, że odchodzi?

Na początek gwoli ścisłości: w stosunku do wyborów z 2017 r. Partia Pracy straciła nie aż tak dużo, bo 8 proc.; torysi zyskali zaledwie 1. Olbrzymia zmiana w wielkości klubów parlamentarnych – prawica zyskała 48 mandatów, lewica straciła 60 – to efekt pojebanej ordynacji zwanej ***first past the poste***, czyli ordynacji większościowej bez drugiej tury – takiej jak u nas do Senatu i rad gmin. Jednomandatowe okręgi przynoszą taki właśnie efekt: w większości okręgów większość głosów idzie do kosza, zwycięzca często bierze 20–30 procent głosów i to wystarcza, skoro ma ich więcej niż inni kandydaci.

Co oczywiście nie unieważnia faktu, że lewica przegrała i to zajebiście.

Pytanie brzmi: dlaczego?

Wina Polaków

Odpowiedź antycorbynistów jest prosta: przez Corbyna. Był niepopularny **„na progach"** – czyli podczas kampanii bezpośredniej, gdy kandydaci chodzą po domach, stukają do drzwi i proszą o głosy mieszkańców. I ci kołaczący do drzwi kandydaci Labour Party spotykali się z jednoznacznie negatywnym odbiorem lidera – słyszymy. Trudno ocenić, na ile jest to prawda – zważywszy, że politycy, dzielący się tym doświadczeniem, to nieodmiennie przeciwnicy Corbyna od początku jego władzy w partii.

Jeśli spojrzeć na liczby – wzorzec jest wyraźny i nie łączy się osobowością lidera. Z sześćdziesięciu mandatów, które Labour Party straciła, 52 straciła w okręgach, które w referendum opowiedziały się za brexitem. To najboleśniejsza strata: północne, niegdyś górnicze regiony, zamordowane przez Margaret Thatcher. Od lat 80. ludzie głosowali tam wyłącznie na czerwonych. Tym razem, po raz pierwszy, zagłosowali na konserwatystów, którzy obiecali, że skończą brexitowy serial i wyprowadzą UK z UE.

Myślę na marginesie, że nie sposób przecenić roli Polaków w tym procesie. Polaków, którzy przyjeżdżali do regionów od czterech dekad gnębionych plagą bezrobocia, skwapliwie godząc się na gorsze warunki pracy i płacy, nie zapisując się do związków zawodowych, chętnie występując w roli łamistrajków. Dla mieszkańców tych regionów niewyrazista postawa Labour Party wobec brexitu, z ogólnym przechyłem w stronę pozostania w UE, była nasączona zdradą.

Z drugiej strony – kolejne 6 mandatów Labour Party straciła w Szkocji, gdzie wyrugowała ją Szkocka Partia Narodowa, lewicowi narodowcy, twardo opowiadający się za Unią. Dla szkockich wyborców Partia Pracy była zbyt miękka w swoim przywiązaniu do idei **„pozostania".**

Wybory były w jasny sposób skonstruowane wokół dylematu: wyjść czy pozostać. Labour Party, usiłując usatysfakcjonować zarówno postępową miejską inteligencję, która była za pozostaniem, jak i tradycyjny robotniczy elektorat, który kategorycznie domagał się wyjścia, nie usatysfakcjonowała nikogo. I to był podstawowy problem Labour Party w tych wyborach.

Z Palestyńczykami

Choć zgoda – był też i drugi. I była to morda antysemity konsekwentnie dorabiana Corbynowi przez jego licznych przeciwników. Gdy dziś czytamy brytyjską prasę, **„niesmak wobec antysemityzmu Labour Party pod kierownictwem Corbyna"** wylewa się z łamów tyle konserwatywnych, ile tzw. lewicowych.

Rzekomy antysemityzm Corbyna – i partii pod jego kierownictwem – wiązał się ze stosunkiem lidera do kwestii palestyńskiej. Corbyn jest od kilkudziesięciu lat wierny sprawie walki o prawa Palestyńczyków mordowanych masowo przez siły zbrojne Izraela – i, uczciwie mówiąc, trudno sobie wyobrazić jakiegokolwiek człowieka radykalnej lewicy, który mógłby mieć w tej sprawie inne zdanie: to tak oczywisty konflikt między silnym i słabym, potężnym i zdesperowanym.

Atoli jednym z narzędzi potęgi Izraela w tym konflikcie jest szantaż moralny. Corbyn został okrzyknięty antysemitą, gdy usiłował przeciwstawić się włączeniu bez poprawek do kodeksu etycznego Labour Party definicji antysemityzmu opracowanej przez Międzynarodowy Sojusz na rzecz Pamięci o Holokauście (IHRA). Zawiera ona m.in. stwierdzenie, iż antysemickie jest oskarżanie polityki Izraela o rasizm. Zastraszony oskarżeniami o antysemityzm komitet wykonawczy Labour Party przyjął definicję IHRA w całości, wobec czego Corbyn zaproponował dopisanie zdania stwierdzającego, iż **„nie ogranicza to wolności wypowiedzi na temat polityki Izraela i praw Palestyńczyków".** Laburzystowska posłanka nazwała z tej okazji swego szefa **„antysemickim rasistą",** a 3 największe żydowskie gazety w Wielkiej Brytanii opublikowały wspólne oświadczenie stwierdzające, iż rząd pod kierownictwem Corbyna będzie stanowił **„egzystencjalną groźbę dla życia Żydów w UK".**

Do tego doszło kilka innych zarzutów, doprawdy fascynujących: np. taki, że z dekadę temu jako szeregowy poseł Corbyn wziął udział w obchodach Dnia Pamięci Holokaustu, gdzie głównym mówcą był Hajo Meyer, ocalały z Holokaustu Żyd, znany z surowej krytyki polityki Izraela wobec Palestyńczyków.

„Z wielkim bólem obserwuję podobieństwa między tym, czego doświadczyłem w Niemczech przed rokiem 1939 i dzisiejszym losem Palestyńczyków"

– mówił 85-letni wówczas były więzień Auschwitz, a część sali obrzucała go za to obelgami, do których Corbyn się nie przyłączył, co było dowodem jego antysemityzmu. Inny to taki, że złożył wieniec na grobie ofiar izraelskiego ataku bombowego w Tunisie w 1985 r.

Na ścianie

No i oczywiście była kwestia antysemickiego muralu. Mural nosił tytuł „Wolność dla ludzkości" i przedstawiał grupę bankierów grających w „Monopoly" na planszy wspartej na plecach nagich skulonych postaci, białych i ciemnoskórych. Jeden z sześciu bankierów miał pejsy, reszta wyglądała zdecydowanie aryjsko – ale ten jeden wystarczył. Mural – jako antysemicki – został skuty ze ściany prywatnego domu w londyńskim Tower Hamlets. **„Jesteś w dobrym towarzystwie"** – napisał Corbyn do autora fresku na portalu społecznościowym. **„Rockefeller zniszczył mural Diego Rivery, bo zawierał wizerunek Lenina".** Za ten akurat komentarz Corbyn kila razy przepraszał, ale przecież jest on **„całkowicie niewybaczalny".**

Kwestia smaku

Aha – jest jeszcze jeden powód labourzystowskiej klęski, który pojawia się w komentarzach – chociaż głównie niebrytyjskiej prasy. Taki, że Jeremy Corbyn – 70-letni brodaty cyklista z wyraziście radykalnym poglądami – jako kandydat na szefa rządu był w oczach Brytów całkiem nie do przyjęcia.

Jeśli wziąć pod uwagę, że Bryci zagłosowali za tym, żeby premierem pozostał Boris Johnson, argument o dobrym smaku staje się całkiem absurdalny.

Jaka zatem była prawdziwa przyczyna klęski Labour Party? Zapewne należy jej szukać – w różnych proporcjach – w niemożliwej do wyważenia pozycji wobec brexitu, czarnym piarze i nielojalności we własnych szeregach.

Ale warto też pamiętać, że owa totalna klęska oznacza, ze Labour Party zdobyła głos co trzeciego Brytyjczyka. Zagłosowało na nią ponad 10 milionów ludzi.

Bardzo czekam, kiedy polska lewica zacznie ponosić takie klęski.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

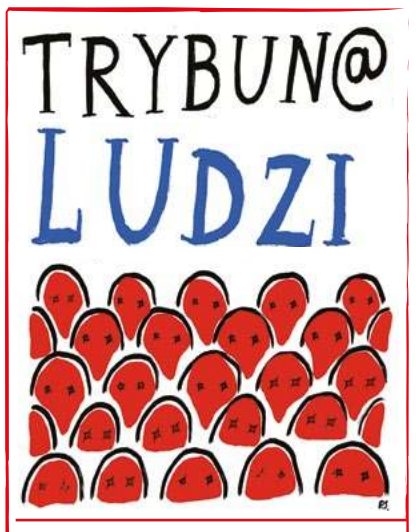

A czego życzycie Polsce?

Facebook

Iza Ryżek: Życzę, żeby Polska tak miała, jak oni mają. I żeby oni tak mieli, jak my nie mamy.

Roxanne Stark: Szybkiego powrotu do zdrowia.

Karol Mackiewicz: By budyń wywoływał odruch wymiotny.

Tomasz Browarny: Żeby nigdy nie zabrakło jej tego, co najcenniejsze, czyli węgla kamiennego i brunatnego.

Tomasz von Dembinski: Czegokolwiek dobrego by jej życzyć, i tak nie wiedziałaby, co z tym zrobić.

Łukasz Wójciak: Polsce nic nie można życzyć, ponieważ wszystko, co najlepsze, już ją spotkało dzięki naszym rządzącym.

Milan Matlosz: Kochać wszystkich, nikogo nie oszczędzać!

Rafał Włodarz: Cytując klasyka: „Jeszcze 4 Ziobra".

Filip Tytus Wojtasiewicz: Żeby ostatni zgasił światło.

Kuba Kowalski: Jerzego Urbana na fotelu prezydenta.

Tomasz Orchid: Życzę Polsce, by została zaanektowana przez Finlandię.

Wojciech Bukała: Opola w Zakopanem.

Maria Elżbieta Sankowska: Złej zmiany.

Elwira Karolina Dębowska: Obniżki akcyzy.

Daniel Len: Ma trwać. Trwa mać.

Forum

Komandor: Cokolwiek byśmy życzyli i tak będzie wspak...

Czarna_Mańka: Żeby każdy Prezes miał swojego Banasia.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE" i Facebooka.

REBUS 7

eprasa.pl 10b00941c8

Nie masz większego nad „Lewego”.

Nieboski Lewandowski

Lewandowski a sprawa polska. Ani krzty ironii nie ma w tych słowach. Miliony Polaków – chyba można tak powiedzieć – powierzyły honor narodowy nogom bramkostrzelnego napastnika.

Zbliżający się koniec roku to czas ogłaszania rankingów.

Ósma lokata

Roberta Lewandowskiego w organizowanym przez redakcję „France Football” plebiscycie „Złotej Piłki” wywołała poruszenie w całym kraju. W powszechnym przekonaniu Polaka skrzywdzono, powinien być co najmniej w pierwszej trójce. Gdyby ktoś rzucił w internecie hasło do wyjścia na ulice w obronie Lewandowskiego, zapewne demonstracje byłyby liczniejsze i gwałtowniejsze niż te popierające niezależność sędziów. Ilu ludzi zastanawia się, czy sędziowie są nadzwyczajną kastą, czy też obrońcami trójpodziału władzy? Na pewno mniej niż tych, którzy z zapartym tchem śledzą wyczyny polskiego napastnika.

Zacznijmy od tego, czy Lewandowskiego rzeczywiście skrzywdzono, a jeśli tak, to kto dokonał tego haniebnego czynu. Oskarżać nie ma kogo ani nie ma gdzie urządzać protestacyjnych wieców. Konkurs organizuje „France Football”, ale to nie redakcja ustala kolejność na liście. Swoje typy przedstawiają dziennikarze z ponad stu krajów. I to właśnie ten fakt jest „winowajcą” ósmej lokaty Polaka. Po prostu

niemiecka ekstraklasa,

choć uznawana za jedną z pięciu najlepszych w Europie, nie cieszy się popularnością w świecie i w licznych krajach – zwłaszcza afrykańskich – jej mecze w ogóle nie są transmitowane. Dziennikarze nie mogli tam głosować na Lewandowskiego, bo nie oglądali go w akcji. Mecze naszej reprezentacji, której kapitanem jest Lewandowski, też nie są śledzone w świecie z zapartym tchem.

W Polsce Bundesliga wzbudza duże zainteresowanie (za to w tym sezonie nie oglądamy francuskiej League 1, też zaliczanej do wspomnianej piątki), ale głównie dlatego że gra w niej Lewandowski, a także w składach zespołów jest sześciu innych Polaków. W ogóle Bundesliga od dawna uchodzi za „polską” ligę. Od momentu jej założenia w 1962 r. w najwyższej klasie rozgrywkowej w Niemczech grało blisko stu naszych rodaków.

W niemieckich rozgrywkach Lewandowski bije

rekord za rekordem.

W 304 dotychczasowych występach (w barwach Bayernu Monachium i Borussii Dortmund) zdobył 220 bramek. W generalnej klasyfikacji najlepszych strzelców Bundesligi wszech czasów daje mu to trzecie miejsce, dzielone z Juppem Heynckesem, a sezon się przecież jeszcze nie skończył. Wyprzedza go Klaus Fischer (268 goli) i niesamowity Gerd Müller, którego rekordu – 427 trafień – chyba już nigdy nikomu nie uda się poprawić; zresztą od jego czasów zmieniła się rola środkowych napastników na boisku.

Lewandowski jest liderem tabeli strzelców trwających rozgrywek Bundesligi i Ligi Mistrzów. Są to jednak – jeśli można tak powiedzieć – lokalne sukcesy, które nie muszą elektryzować głosujących w plebiscycie „Złotej Piłki” ekspertów z Afryki, Australii czy Oceanii. Oni patrzą na Lionela Messiego i Cristiano Ronaldo.

Na niekorzyść polskiego piłkarza przemawia też fakt, że nie wikła się w skandale, jest wzorową głową rodziny, często włącza się w akcje charytatywne i nie lubi się tym chwalić (fakt, że dużą kwotą wsparł chorego chłopca, wyszedł na jaw, gdy okazało się, że fundusze na rzekomą operację zbierał oszust), sensownie lokuje pieniądze, słowem – przypomina postać z czytanki dla grzecznych dzieci. Ludzie chyba jednak bardziej interesują się sportowcami trafiającymi na łamy kolorowych gazet nie tylko przy okazji osiągnięć na arenach. Może dlatego że łatwiej się z nimi utożsamiać? Tymczasem każda opowieść o Lewandowskim brzmi

jak laurka.

Muszę bardzo uważać, żeby nie popaść w taki ton, a i tak najprawdopodobniej mi się to nie uda. No bo do czego można się przyczepić? Gdy jest w słabszej formie, a każdy futbolista ma takie okresy, za często wykłóca się z sędziami. Innego powodu do krytyki nie widzę. Oczywiście nie jest człowiekiem bez skazy, bo takich nie ma, ale nic ze złych rzeczy nie przedostaje się do opinii. Swego czasu, gdy w Borussi Dortmund prócz Lewandowskiego grali Jakub Błaszczykowski i Łukasz Piszczek, zwracano uwagę, że z polskimi zawodnikami nie łączą go dobre relacje, ale obie strony dementowały pogłoski o kłótniach, najwyżej zwracano uwagę, że nie każdy kolega z pracy musi być przyjacielem poza nią.

Ilustr. WŁODEK KIERUS

„Złotej Piłki” Lewandowski nie dostał. A czy wygra plebiscyt „Przeglądu Sportowego” na dziesięciu najlepszych polskich sportowców? Rozstrzygnięcie w styczniu. Jedno można już teraz powiedzieć. Plebiscyt wiele stracił z dawnego prestiżu.

Czytelnicy najstarszego polskiego dziennika sportowego (w ostatnich latach zgodnie z duchem czasu dołączyły do grona organizatorów stacje telewizyjne) wybierają najlepszego sportowca od 1926 r. Tylko szwedzki „Svenska Dagbladets guldmedalj” ma o rok dłuższą historię od polskiego konkursu. Wyniki tradycyjnie ogłaszane są podczas Balu Mistrzów Sportu i zarówno w okresie przedwojennym, jak i za niesłusznego powojennego ustroju ten bal okazywał się jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym wydarzeniem towarzyskim sezonu. Sport był w modzie i przedstawiciele najróżniejszych elit za swój obowiązek uznawali pokazanie się na sali pełnej medalistów. Teraz jest więcej innych atrakcji, a pokazywanie się w towarzystwie gwiazd stadionów nie jest obowiązkowe.

O przedwojennych balach mogę powiedzieć tyle, ile przeczytałem w publikacjach lub usłyszałem od żyjących jeszcze uczestników. Jako dziennikarz „Przeglądu Sportowego” w latach 70. minionego wieku chadzałem na te bale i mogę zaświadczyć, że sław z najróżniejszych dziedzin na nich nie brakowało. Bilety były piekielnie drogie i niedostępne w wolnej sprzedaży; trzeba było mieć niezłe znajomości, aby je nabyć. Dziennikarze naszej gazety dostawali wejściówki po zniżkowej cenie, ale przezornie usadzano nas nie w głównej sali restauracyjnej hotelu „Europejskiego”, lecz w podziemnym barku, potocznie zwanym „Kamieniołomami”. Przezorność organizatorów była uzasadniona –

chodziło o to, żeby na głównej sali balowej pijani pracownicy nie zbrukali prestiżu najstarszej polskiej gazety organizującej drugi najstarszy w świecie plebiscyt na najlepszych sportowców.

Bal kończył się nad ranem tradycyjnym śniadaniem, na które podawano jajecznicę. Muszę opierać się na źródłach pisanych i mówionych, bo do śniadania nigdy nie udało mi się dotrwać w stanie świadomości.

Istniał

zapomniany już zwyczaj,

że poszczególne redakcje urządzały plebiscyt w swoim gronie i publikowały wybraną dziesiątkę. „Przegląd” drukował dziennikarskie typy na pierwszej stronie, pod logo pisma, które je wcześniej opublikowało. Było to szczególnie ważne dla lokalnych lub branżowych pisemek, bo tylko w ten sposób mogły się dać poznać szerszej publiczności, toteż uważnie pilnowały, czy ich typy i winieta medium zostały opublikowane.

Gdyby ten zwyczaj przetrwał, a plebiscyt cieszył się dawnym prestiżem, zapewne urządzilibyśmy głosowanie w gronie naszych dziennikarek oraz dziennikarzy i ogłosili wyniki na łamach „NIE”. Czy na pierwszym miejscu swojej listy najlepszych w 2019 r. umieściłbym nazwisko Roberta Lewandowskiego? Zapewne tak, choć oczywiście musiałbym najpierw sam sobie odpowiedzieć na pytanie, czy wybieramy sportowca najlepszego, czy najpopularniejszego? Odpowiedź brzmi: chodzi o najlepszego, a zarazem najpopularniejszego sportowca. Zresztą porównywanie wyników osiąganych w różnych dyscyplinach nie ma głębszego sensu i jest wyłącznie zabawą.

Największy sukces sportowy, w mijającym roku – moim zdaniem – odniósł mistrz świata w motocyklowych wyścigach na żużlu Bartosz Zmarzlik. W długiej historii tej niezmiernie popularnej w naszym kraju dyscypliny udało się to Polakowi dopiero po raz trzeci. Gdyby brać pod uwagę wynik sportowy, pierwsze miejsce Zmarzlika nie podlegałoby dyskusji. Kłopot w tym, że *speedwayem*, zwanym u nas żużlem, pasjonują się kibice tylko w kilkunastu krajach. Nazwisko Zmarzlika na pewno nie jest więc znane milionom kibiców na świecie.

Prawdziwą popularność

daje piłka nożna, oglądana w większej liczbie krajów niż należy do ONZ.

Lewandowski nie odniósł w tym roku spektakularnych sukcesów z klubem Bayern Monachium. W poprzedniej edycji Ligi Mistrzów drużyna odpadła w 1/8 finału. Przy obecnym systemie eliminacji i szczęśliwym losowaniu zakwalifikowanie się reprezentacji Polski do finałów mistrzostw kontynentu trudno uznać za sukces, prędzej trzeba mówić o obowiązku drużyny chcącej uchodzić przynajmniej za europejskiego średniaka. Sukcesem może być dopiero dobry wynik podczas przyszłorocznego turnieju finałowego.

Warszawska Legia, w której Lewandowski zaczął poważne treningi, oddała mu za pośrednictwem sekretarki kartę zawodniczą. Za 500 zł kupił ją wówczas III-ligowy podstołeczny Znicz Pruszków. Trenerom Legii zarzuca się, że lekkomyślnie wypuścili z rąk taki diament wart ponad 100 mln euro. Ja się im nie dziwię ani tym bardziej się z nich nie wyśmiewam, bo Lewandowski nie jest utalentowanym piłkarzem. Miał jedną ważną umiejętność: potrafił się znaleźć w odpowiednim miejscu i czasie pod bramką rywali. Z wyszkoleniem technicznym bywał nieco na bakier. Jeszcze rok, 2 lata temu nie wdawał się w pojedynki na boisku, bo sam chyba nie wierzył w swoje możliwości. Teraz nierzadko – używając piłkarskiej gwary – wkręci w trawę kilku obrońców, zanim celnie strzeli na bramkę. Od kilku lat bezbłędnie wykonuje rzuty karne. Sztuczki techniczne, które tak podziwiamy u wielu zawodników, nigdy nie były najmocniejszą stroną mojego kandydata do zwycięstwa w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. Do wszystkiego dochodził powoli i – zabrzmi to jak banał – ciężką pracą.

Lewandowski ma 31 lat, wszedł w wiek, w którym sportowcy starają się jak najdłużej utrzymać

wysoki poziom.

Natomiast Lewandowski, znów wpadnę w formułę laurki, wciąż się rozwija, z sezonu na sezon gra lepiej. Polak występuje na pozycji wysuniętego środkowego napastnika, a jest to pozycja nieco już archaiczna. Grają na niej Jamie Vardy (32 lata), Olivier Giroud (33 lata), Edin Džeko (33 lata). Żaden nie zdobył nawet punktu w klasyfikacji „Złotej Piłki”. I nikt z tego powodu nie protestuje.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Ćwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Łaniewska.
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7°– 17°.
(koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: **str. 1–32 – 18.12.2019 r.**

eprasa.pl 10b00941c8

– Ho, ho, ho, hooo! – zapiszczała święta Mikołaini i dotknęła dżojstika, żeby przyhamować sanie z polimerów.

Hybrydowe renifery parsknęły cyfrowo, ale posłusznie zwolniły. Sanie zawisły nad domami świątecznie oświetlonymi ledowymi lampkami.

– Coś jest nie tak z dachami – powiedziała Mikołaini. – Kurwa, gdzie się podziały wszystkie kominy?

Rzeczywiście: na żadnym dachu jak okiem sięgnąć nie było ani jednego komina.

– Niska emisja – wyjaśnił renifer Rudolf Czerwononosy.

– To jak mam podarować prezenty?

– Przez internet! – ryknął ze śmiechu renifer Rufus Jednorogi.

Mikołaini, zwana też Babką Mrozową, żart renifera puściła mimo uszu. Zaparkowała sanie na pierwszym lepszym podjeździe i spojrzała na smartfon.

– Maryś Banaś – przeczytała. – To chłopiec czy dziewczynka?

Gdyby Rufus miał ramiona, to by nimi wzruszył. Na wszelki wypadek Mikołaini włożyła do worka lalkę Elsę z „Krainy lodu 6” i mechanicznego Iron Mana z „Avengers. Obrońcy galaktyki”. Zastukała do drzwi i niepewnie pisnęła: – Ho, ho, ho, hooo.

Otworzył łysawy mężczyzna w odświętnym ubraniu.

– Wreszcie – burknął, wpuszczając Babkę Mrozową do środka i przedstawiając jej tykowatego faceta o niezdrowej cerze. – To mój mąż Henryk.

Święta jeszcze raz sprawdziła imię w smartfonie.

– Maryś… To dziewczynka czy chłopiec?

Henryk wzruszył ramionami.

– Trans – odpowiedział jego mąż.

W holu pojawiło się dziecko. Miało nie więcej niż dziesięć lat, spódnicę na szelkach, duński sweter i trampki.

– Byłaś… Byłeś grzeczne? – zapytała Mikołaini, uśmiechając się firmowo.

– Chuj cię to obchodzi – odparło, a ojcowie jak jeden mąż wznieśli wzrok ku górze, dając gościni do zrozumienia, co myślą o manierach dzisiejszej młodzieży.

Babka Mrozowa pokręciła głową.

– Gdybyś było grzeczne, dostałobyś Elsę albo Iron Mana, a tak to dostaniesz figę z makiem – syknęła.

– Jak to?! A rózga?! – krzyknęło dziecko i zaniosło się płaczem.

– Maryś jest na etapie eksperymentowania z sadomasochizmem… – Henryk uśmiechnął się przepraszająco.

– Tak? – zapytała Mikołaini, a potem z całej siły kopnęła dziecko w brzuch. – Wesołych świąt.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

by **blagier Urban**

Świętej Łucji

W ciągu dwóch miesięcy od przyznania Nobla ta wredna Tokarczuk stała się świętością, ikoną, symbolem, dźwignią światowego zainteresowania jej krajem, czynnikiem zespalającym społeczeństwo w adoracji pisarki. Wielbienie noblistki przekroczyło granice. W tej parszywej sytuacji Duda, Morawiecki i Gliński nie mogli już dłużej narażać swojego politycznego interesu. Pospieszyli z gestami należnymi noblistce, a więc gratulacjami, chociaż ta wredna suka opowiedziała się za federacją europejską, czyli upaństwowieniem kontynentu. I za nadaniem kluczowej roli regionom, a nie państwom. I tak PiS przełyka żabę imieniem Olga. Podrzucam nacjonalistom ostatnią dobrą szansę obrzydzenia Tokarczuk: ona jest jaka jest, ale w Sztokholmie miała chujową suknię. W końcu więcej ludzi gapiło się na kieckę niż przeczyta kupione przez się książki, które teraz wypada eksponować w salonie.

Świętego Tymoteusza

Poseł PiS Mularczyk ogłosił pretensje do szwedzkiego króla, że do złotego medalu dla Polki nie dołączył przeprosin za potop szwedzki. Król, owszem, jest chamem, ale przecież znaczna część polskiego narodu szlacheckiego w XVII wieku poparła Szwedów.

Świętej Natalii

Sakiewicz atakuje integralność Ukrainy, ale symbolicznie, bo w odróżnieniu od Putina nie ma wojsk. Ukraińskie terytoria zachodnie „Gazeta Polska” nazywa Kresami, czyli zgłasza polskie pretensje terytorialne. Ma to związek z tym, że ukraińscy celnicy uniemożliwili dostarczenie świątecznych paczek polskim kombatantom na Ukrainie, gdyż nałożyli na nie cła. Miałem to samo z Ameryką. Będąc rzecznikiem rządu, chciałem posłać śpiwory i koce bezdomnym z Nowego Jorku. Rząd Stanów Zjednoczonych uniemożliwił ich ocieplenie, stosując cła zaporowe.

Świętej Teodozji

Sędzia Paweł Juszczyszyn z Olsztyna wydał wyrok utrudniający zagarnianie sądów przez PiS, stał się więc przedmiotem nagonki. Już wykryto, że jest on groźnym przestępcą, ponieważ w 2015 r., prowadząc, przekroczył szybkość. Bezkarność za wariacką jazdę przysługuje kierowcom Służby Ochrony Państwa, dawniej BOR. Ostatnio szofer jednego z wielu wicepremierów jechał jak samobójca. Chronienie kierowców SOP przed odpowiedzialnością zagraża życiu obecnych dygnitarzy. Podejrzewam więc, że limuzyny szaleją na polecenie Kaczyńskiego żądnego wakatów w swojej ekipie.

Świętej Leokadii

„Wyborcza” zamieściła reportaż wskazujący na to, że prezydent Duda spędza noce na tweetowaniu i że infantylnie gaworzy. Przez to za dnia przesypia możliwość wetowania ustaw gryzących się z konstytucją. Pałac zapewnia, że bredząc nocami, Duda nie korzysta z wyręki swoich urzędników. Sam prezydent zapewnia, że – tu cytat – jest „userduchowiony”. Jezus, Maria! Jak Owsiak!

Świętej Malwiny

Podczas demonstracji opozycji Władysław Frasyniuk wezwał społeczeństwo: „Jebać PiS i się nie bać!”. Posłanka PiS Joanna Borowiak twierdzi, że przez to dostała list: „Żebyś zdechła”. Gdyby to życzenie się spełniło, Frasyniuk dostałby dożywocie za morderstwo, chociaż seks różni się od agonii. Jebanie sprawia przyjemność, a zdychanie bynajmniej. Debata trwa.

Świętej Maryny

Wybitna pisarka Dorota Kania napisała dużo o także dobrze piszącej Tokarczuk. Należy ona do utalentowanych pisarzy, cóż – twierdzi Kania – gdy jej poglądy są wymierzone we własną ojczyznę. Jak rozumiem, ojczyzna Tokarczuk jest za szeroko zakrojona. Jej wyróżnienie ma za intencję obrzydzenie narodowi wybitnych pisarzy wolnych od liberalizmu. Noblistka 2018 r. jest równie wredna jak stalinówa Szymborska, która przyjęła nagrodę należną Herbertowi, Różewiczowi, Rymkiewiczowi i Liberze. Dzieje się tak, bo szwedzkim Noblem rządzi Michnik. Ciekawe, że do alternatywy dla Szymborskiej Kania zalicza Różewicza, który napisał komedię „Do piachu” o bezsensie polskiej partyzantki i w ogóle bohaterszczyzny. Tokarczuk – pisze Kania – pluje na

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Polskę razem ze Stasiukiem i Dehnelem. I uwaga: Olga Tokarczuk, cytuję, „dostała nagrodę Nike za swoje »Księgi Jakubowe«, wybitną książkę, do której pisarka w fatalny sposób dopisała własną ideologię”. Niestety red. Kania prześlepiła to, że dopisywaczka własnych poglądów do swoich dzieł na pustej głowie nosi zawsze dredy.

Świętej Otylii

Azor jest pisowatym pudlem. Sam nigdy nie zaszczeka, zawsze przyłącza się do chóru.

Świętego Innocentego

Dostałem pismo od prokurator Moniki Fidos z prokuratury Łódź-Polesie w sprawie o czyn i na podstawie artykułów. Prokuratura nie będzie ścigać Marka Bohatkiewicza o zniesławienie osób w internecie, bo osoby same mogą oskarżać przed sądem. Święte słowa. Pismo to zawiadamia mnie, że Polesie znajduje się teraz w Łodzi, że istnieje prokuratorka Fidas, jest kobietą i że chodzi po ziemi Marek Bohatkiewicz, który znieważa. Był podejrzany o znieważenie takich osobistości jak poseł Szczerba, wiceprezydent stolicy Rabiej, Biedroń, Trzaskowski, red. Lis, euro-Lewandowski, Ikonowicz – brat Gesslerowej, Wałęsa i Balcerowicz. Przypuszczam, że wszystkie te osobistości teraz ścigać będą prokurator Monikę Fidas za to, że je znieważyła, zestawiając w swojej odmowie ścigania z takim jak ja parszywcem.

Świętej Matyldy

Przerzuciłem grube dzieło historyczne IPN, książkę Przemysława Gasztolda „Towarzysze z betonu. Dogmatyzm w PZPR 1980–1990”. Nie jest to pierwsza książka historyczna, z której dowiaduję się, że w PZPR byłem gorliwym bojownikiem o demokrację i wolność słowa. Jak na Goebbelsa stanu wojennego przystało. Autor książki nie wie jednak o moim realnym udziale w zwalczaniu betonu. Otóż spełniłem funkcję kapusia. Trwało plenum KC PZPR, na którym wojowały frakcje. Daty ani numeru nie pamiętam, bo trzeba wiedzieć, że Komitet Centralny numerował posiedzenia. Do mnie do biura przyjechał znajomy dziennikarz. Rozgorączkowany powiedział, że jedzie wprost z redakcji betonowej „Rzeczywistości” i że oni tam teraz dzielą się pieniędzmi, które pobrali w ambasadzie Syrii. Dziennikarz ten zgodził się opisać to pod nazwiskiem w liście do gen. Jaruzelskiego, a ja wysłałem donos szefowi na salę obrad. Czy działo się coś dalej, nie wiem lub nie pamiętam. Ja rzucam trop, a wy go łapcie, historycy. Oczywiście Syria była tylko pośrednikiem w finansowaniu z zewnątrz partyjnego betonu.

Świętego Kosmy

Po co ja żyję? Żyje się, żeby żyć, w tym dla różnych przyjemności. Dziś zaliczyłem do nich móżdżek cielęcy – jedyne, co lubię po polsku. Żyję też, ponieważ uśmiercająca choroba zagnieździła się w innych, a nie we mnie. I co, mam się z tego powodu powiesić?

Świętej Iwony

Z nekrologów w ogólnopolskich gazetach wynika, że codziennie umiera około sześciu profesorów doktorów habilitowanych. Biorąc pod uwagę tygodniową liczbę wydań dzienników, oznacza to 1200 wakatów rocznie. Nie odliczam przechodzących na emeryturę, ponieważ zasilają uczelnie prywatne. Rząd powinien pomyśleć, jak uprofesorzyć cały aktyw partyjny PiS. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 78

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 10b00941c8